



NAGRODA STRAŻNIK PAMIĘCI – POŚMIERTNIE DLA KS. ISAKOWICZA-ZALESKIEGO



**Kulisy tajemniczego powrotu
Wiesława Walendziaka do Polsatu**



**Kim jest Péter Magyar,
który rzuca wyzwanie
Viktorowi Orbánowi?**

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 46/604 12-17 LISTOPADA 2024
CENA 11,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO PRZECZY

**WOJCIECH
CEJROWSKI:**

**POLSKA ZNOWU
NIE JEST
NIEPODLEGŁA**



**Pandemia chorób przewlekłych,
czyli biznes przeciw zdrowiu**

Czerwona kartka dla globalistów

**CZY PREZYDENT
TRUMP ZAKOŃCZY
WOJNĘ
NA UKRAINIE**



ŁAGODNA KOMORA HIPERBARYCZNA

w Twoim gabinecie fizjoterapeutycznym

Rozbuduj ofertę o jedną z **najpopularniejszych metod regeneracyjnych** na rynku i zacznij odpowiadać **na potrzeby każdego klienta**.



omnioxy.com



- ✓ Zwiększ swoje przychody, dzięki innowacyjnemu urządzeniu, które nie wymaga Twojego udziału podczas zabiegu, dzięki czemu możesz przyjąć więcej klientów i równocześnie zarabiać więcej.
- ✓ Łagodna komora hiperbaryczna OMNIOXY pozwala na dotarcie do nowych grup docelowych oraz stanowi wsparcie wielu terapii manualnych.
- ✓ Dołącz do fizjoterapeutów, którzy pracują wydajnie.



Co mówią Rehabilitanci o współpracy z OMNIOXY?



Od momentu pierwszego kontaktu z firmą, wiedziałem, że będzie to fajna i owocna współpraca. Kontakt telefoniczny, szkolenie i oczywiście serwis jest na najwyższym poziomie. Wiedza, pasją oraz doświadczenie ludzi z OMNIOXY, daje wielki komfort w prowadzeniu biznesu. Cytując klasyka "OMNIOXY robi różnicę".

Jakub "Spina" Wójcik [Fizjoterapeuta](#)



Zabiegi tlenoterapii hiperbarycznej oprócz samego aspektu czynników fizjologicznych przyczyniły się również do poprawy funkcji poznawczych. Zawodniczki reagują szybciej i wiążę się to również z poprawą ich samopoczucia. Zalecam stosowanie łagodnej hiperbarii tlenowej w regeneracji powysiłkowej oraz w regeneracji po kontuzjach.

Norbert Wrzeński [Fizjoterapeuta drużyny koszykarskiej kobiet VBW Arka Gdynia](#)



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wielkie wycie salonów

Nic nie cieszy mnie bardziej niż obserwacja reakcji liberalnych ekspertów i analityków, którzy wreszcie musieli stanąć oko w oko z nieuchronnym, a więc ze zwycięstwem znienawidzonego i demonizowanego Donalda Trumpa. Przez kilka miesięcy budowali prawdziwą atmosferę grozy, tym zabawniej, że teraz muszą dokonywać zwrotu i zjadać własny język. No bo przecież, jeśli brać na poważnie ich oświadczenia, analizy i prognozy, w tej chwili na czele największego zachodniego imperium stanął „faszysta do szpiku kości”, „najbardziej niebezpieczny człowiek w Ameryce”, „fan metod Adolfa Hitlera”, ktoś, kto posługuje się retoryką Mussoliniego, Hitlera i Stalina, chce wyprowadzić wojsko na ulice i aresztować swoich przeciwników. Wszyscy ci znawcy od siedmiu boleści nie potrafili wzbudzić na tyle dużego strachu w wyborcach, żeby uniemożliwić Trumpowi powrót po czteroletniej przerwie do władzy. Pozostało im teraz to, co potrafią najlepiej, a więc oburzanie się, wykonywanie dramatycznych gestów, jednym słowem: wielkie wycie.

Nie ma zatem wątpliwości, kto te wybory przegrał. Ich wynik to klęska globalistów, zwolenników jednego światowego rządu, liberalnych i lewicowych elit, które pragnęły narzucić światu ideologię klimatyczno-migracyjno-genderową. Lud ich odrzucił. Amerykański lud, wyśmiewany, wyszydzany i wykpiwany, podniósł głowę i wbrew nachalnej propagandzie wielkich mediów i korporacji postanowił postawić na kandydata, który obiecywał odzyskać dla niego Amerykę. Kandydata, który powstrzyma zalewającą USA falę migracyjną i przywróci elementarne poczucie porządku i prawa, systematycznie niszczone przez ideologów nowej inżynierii społecznej.

Wydaje się, że jeśli Trump zrealizuje swoje obietnice, to w gronie przegranych znajdą się neokonserwatywni ideolodzy wielkiej wojny, dla której wstępem był konflikt na Ukrainie. Większość amerykańskich wyborców nie była w stanie zrozumieć, i słusznie, jaki jest cel polityki zagranicznej Joe Bidena wobec Ukrainy. Nakładanie kolejnych sankcji na Rosję, połączone z dostawami broni dla Kijowa i coraz większymi pieniędzmi na podtrzymanie rządów Wołodymyra Zełenskigo, to droga donikąd. Posunięcia te nie osłabiły Rosji, ale ją wzmocniły. Nie prowadziły do uratowania Ukrainy, ale przyczyniały się do jej coraz słabszej pozycji negocjacyjnej. Były też – co amerykański podatnik musiał dostrzec – coraz bardziej kosztowne. W efekcie prowadziły też do wzmocnienia bloku BRICS, a więc skupiły przeciw Ameryce największych graczy globalnego Południa. Najkrócej mówiąc, wybory przyniosły klęskę zwolenników wojny bez końca, wojny bez jasno określonych i realistycznych celów, wojny, która w każdej chwili mogła wyrywać się spod kontroli i zamienić w konflikt globalny. Nie jestem na tyle naiwny, żeby przyjąć, że samo zwycięstwo Trumpa doprowadzi do pokoju na Ukrainie, tym niemniej szanse na to rosną.

Zwycięstwo Trumpa to też dobry znak dla tych wszystkich sił politycznych w Europie, które bronią suwerenności narodowej, przeciwstawiają się brukselskiej urawniłowce i nie chcą słyszeć o budowie centralistycznej Unii. Hasło „Make America great again” można łatwo przetłumaczyć na: „Make nation great again”. Dość narzucanych odgórnie planów przez wąską klikę pseudospecjalistów. Tak, sukces Trumpa to znak dla wszystkich sił narodowych i konserwatywnych: z lewicowo-liberalnymi elitami można wygrać.

Dlatego w pierwszej mierze ze zmiany władzy w Waszyngtonie powinien cieszyć się premier Węgier, Viktor Orbán. On pierwszy jako jedyny przywódca europejski postawił na Trumpa i wspierał go systematycznie nawet wówczas, gdy, jak dwa lata temu, wydawało się, że nowego prezydenta USA czeka raczej odsiadka w więzieniu, a nie powrót do Białego Domu. Wyśmiewany i karcony przez eurokratów premier Węgier postawił na właściwego konia i, jestem pewien, będzie umiał teraz to wykorzystać dla swojego kraju.

Znacznie trudniej powiedzieć, co zmiana w Waszyngtonie oznacza dla Polski. Według Mariusza Błaszczaka sukces Trumpa powinien prowadzić do dymisji Donalda Tuska – słowa te jednak, przykro to powiedzieć, obnażają mizери polskiej myśli politycznej. Wyrażają one przecież postawę dworaka i myślenie służalcze, a nie suwerennościowe. Owszem, obecnie rządząca koalicja znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wprawdzie próbuje teraz dokonywać szybkiej korekty kursu, ale nie da się ukryć, że bezwarunkowo wspierała antytrumpową krucjatę, czego dowodzi wysłanie do Waszyngtonu jako ambasadora Bogdana Klicha, zwolennika tezy o szaleństwie Trumpa.

Jednak niezależnie od tego, że Tusk ot tak nie zniknie, na pewno kilka rzeczy pozytywnych się wydarzy. Po pierwsze, z Warszawy wyjedzie Mark Brzezinski, który pełnił tu dość osobliwą funkcję gubernatora genderyzmu na Polskę i zaplecza Platformy. Po drugie, skończą się, i to szybko, amerykańskie zachwyty nad przywracaniem przez ministra Adama Bodnara tzw. praworządności. Mówiąc po ludzku – koniec z kryciem łamania prawa przez tuskowców. Nie mając nad sobą parasola ochronnego z USA, będzie im znacznie trudniej. Cóż, dobre i to. ©

TEMAT TYGODNIA

18 ŁUKASZ WARZECHA

NIEULECZALNA MURZYŃSKOŚĆ

Kolonialna mentalność ma się dobrze

22 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

BARDZO KRÓTKA PAMIĘĆ TUSKA

23 PIOTR WŁOCZYK

KOLEJNA WOJNA DOMOWA?



NAGRODA STRAŻNIK PAMIĘCI 2024

10

NIEUSTĘPLIWY STRAŻNIK

Pośmiertna nagroda dla ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego

12 KRZYSZTOF MASŁOŃ

BUDZICIEL SUMIEN

KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KONFEDERACI WE MGLE

Zaprzepaszczona szansa

29 PIOTR SEMKA

POWRÓT WIESŁAWA WALENDZIAKA

32 ROZMOWA Z PAULINĄ MATYSIAK

NIE MA MIEJSCA NA PODWÓJNE STANDARDY

34 KAROL GAC

MACIEREWICZ NA CELOWNIKU

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK

BEZCENNY OUTSIDER

Autobiografia autora „Dnia Szakala” i „Psów wojny”

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, GRY, MUZEA

OPINIE

44 JAN FIEDORCZUK

TŁUSTE KOTY TUSKA

Chory system III RP

48 OLIVIER BAULT

CZAS CHRONIĆ DZIECI PRZED PORNOGRAFIĄ



HISTORIA

50 GRZEGORZ MAJCHRZAK

KULISY POWSTANIA RZĄDU MAZOWIECKIEGO

„Premier wszystkich Polaków”

54 RADOŚŁAW WOJTAŚ

„NIEMIEC TEŻ CZŁOWIEK”?

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

ARMIA KIMA U PUTINA

Korea Północna murem za Rosją

62 JACEK PRZYBYLSKI

BROŃ PRZYSZŁOŚCI

64 MACIEJ SZYMANOWSKI

WĘGIERSKA NADZIEJA LEWICY

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI

BUDŻET CENTRALNEGO PLANOWANIA

Unijne środki popłyną w innych kierunkach

ŻYCIE I NAUKA

72 MARIUSZ JAGÓRA

PANDEMIA CHOROBY PRZEWLEKŁYCH

Biznesowy sojusz przeciw zdrowiu

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PLREDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharzyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew ZapertPORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz ŻygadoSTUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoedytka: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-StefaniakRYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Evan Vucci/AP/East News**WYDAWCA: **Orle Pióro SA**Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł LisickiMARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl**Poczta Polska** https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Droży Czytelnicy!

Dziękujemy
za wszystkie
Państwa
listy i e-maile.

Przypominamy, by
korespondencję
elektroniczną
kierować na adres:
listy@dorzeczy.pl.

Białe pudełko

Z ciekawością
przeczytałem
artykuł **Joanny**
Bojańczyk „Między
placem a Pała-
cem” [...] Miałem
okazję widzieć wiele
centrów miast z ich
drapaczami chmur
i zwykle je porów-
nuję z naszą stolicą.
Niestety, porówna-
nia te nie wypadają
dla niej korzystnie.
Świat się zmienia
bardzo szybko
i teraz architektura
centrów wielu stolic
nawet tzw. krajów
rozwijających się
robi lepsze wrażenie.
Drażni mnie
zawsze skrzywiony
wieżowiec z wy-
stającym pazurem
słynnego Libeskin-
da, a pozostałe
wieżowce również
nie budzą estetycz-
nych wrażeń.

Gdyby to ode
mnie zależało, to
dodałbym do draż-
niącej monotony
bieli tego budynku
(MSN) delikatne,
pastelowe elementy
barwne, wypełnia-
jące część prostokąt-
nych fragmentów
elewacji [...].

Ryszard Jankiewicz

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy,
że 21 października 2024 r. zmarł w Turynie
opatrzone świętymi sakramentami



Piotr Chełkowski

*Wielki człowiek, humanista, orientalista.
Autor wielu książek o historii i kulturze islamu.*

*Urodzony w 1933 r. w Lublińcu. Studiował
orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim
oraz aktorstwo w krakowskiej szkole teatralnej.*

*Kontynuował studia orientalistyczne
w School of Oriental and African Studies w Londynie.*

*W 1968 r. uzyskał doktorat z literatury perskiej
na Uniwersytecie Teherańskim.*

*W latach 1968–2012 profesor studiów
bliskowschodnich i islamskich New York University.
Dyrektor i wieloletni dziekan tego wydziału.*

*Pasja Piotra Chełkowskiego do teatru i sztuk
performatywnych przerodziła się w zainteresowanie
mystyką Bliskiego Wschodu, szyickim teatrem
religijnym, jego rytualnym językiem oraz
architekturą i sztuką islamu.*

*Był stypendystą amerykańskiej fundacji Ignacego
Paderewskiego. W 1977 r. otrzymał nagrodę
Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.*

*W 2011 r. w uznaniu działalności naukowej oraz
wysiłków na rzecz budowania mostów między
religiami i cywilizacjami oznaczono Piotra
Chełkowskiego Krzyżem Komandorskim Orderu
Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Wyrazem uznania
społeczności akademickiej NYU dla działalności
dydaktycznej otrzymał dwukrotnie nagrodę Golden
Dozen Award for Excellence in Teaching.*

*Był laureatem wielu amerykańskich nagród
i stypendiów, m.in. Smithsonian
oraz Hoover Institutions. W 2023 r. Uniwersytet
Jagielloński odznaczył Piotra Chełkowskiego
medalem „Plus ratio quam vis”.*

*Członek Polskiego Instytutu Naukowego
w Nowym Jorku.*

*Mieszkając w Nowym Jorku,
nie tracił kontaktu z Polską. Był przyjacielem
i wsparciem dla wielu rodaków.*

żona Goga, córka Monika, syn Piotr z rodzinami

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Linia Franciszka” na Miodowej



PIOTR SEMKA

Pałac arcybiskupów warszawskich, z racji stołecznego charakteru miasta, to bardzo ważne miejsce na mapie polskiego Kościoła. Właśnie objął go abp Adrian Galbas. Zastąpił kard. Kazimierza Nycza, który w lutym przyszłego roku przekroczyć ma wiek emerytalny. Arcybiskup Galbas ma 56 lat. Jeśli dopisze mu zdrowie, to wiek emerytalny osiągnie dopiero za 19 lat. To niemal epoka.

Arcybiskup Galbas to wzorcowy reprezentant linii „Kościola synodalnego”. Swój entuzjazm dla zmian głosi bez większych wątpliwości. Reprezentował polski Kościół na pierwszej sesji spotkań synodalnych w Rzymie. Był też na europejskim spotkaniu synodalnym w Pradze w lutym 2023 r. To z jego diecezji pochodzi Aleksander Bańka – polski, świecki koordynator procesu synodalnego. Tak samo z wydziału teologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach wywodzi się ks. Grzegorz Strzelczyk, który jest ważnym propagatorem synodalności w polskim Kościele.

Nominację dla Galbasa bardzo ciepło przyjęli tacy kibice platformy

w koloratkach jak np. ks. Kazimierz Sowa. Na ożywioną współpracę z nowym metropolitą warszawskim liczy też środowisko „Więzi” – promotor ruchu reformatorskiego świeckich w polskim Kościele. Arcybiskup Galbas – obok kard. Grzegorza Rysia i prymasa Wojciecha Polaka – to hierarcha kompletnie nieznany przez media liberalne za zdecydowane wprowadzanie „linii Franciszka” nad Wisłą.

Z ważnych stolic arcybiskupich do obsadzenia przez Rzym zostały już tylko Kraków i Poznań. Jeśli i one zostaną obsadzone kolejnymi entuzjastami synodalności, to powstanie swoisty network, który może być pewny silnej pozycji w Stolicy Apostolskiej z racji specjalnych relacji z kard. Konradem Krajewskim. Papieski jałmużnik ma spory wpływ na decyzje w sprawach polskiego Kościoła. Pojawiają się głosy, że taki nieformalny pięciokąt hierarchów na linii Warszawa – Gniezno – Łódź z ewentualnymi nowymi nominatami na fotele arcybiskupie w Krakowie i Katowicach może mieć znacznie więcej do powiedzenia w kluczowych sprawach

polskiego Kościoła niż formalna struktura episkopatu.

Po nominacji abp. Galbasa pojawiły się kłóśliwe uwagi niektórych komentatorów, że bezprecedensowa decyzja odwołania metropolity katowickiego zaledwie po dwóch latach posługi to dowód na „krótką ławkę” kandydatów nadających się na tak wysokie stanowisko w polskim Kościele. Jest raczej dokładnie na odwrót. To zadeklarowanych zwolenników linii synodalnej jest w Polsce niewielu i dlatego pontifex musiał odwołać Galbasa z Katowic, aby obsadzić bardzo ważną placówkę w Warszawie. A wątpliwości, które wielu polskich biskupów z episkopatu ma wobec chaotycznej i niejasnej doktrynalnej linii synodalnej, to raczej objaw zdrowej ostrożności niż dowód zacofania.

Można obawiać się, że coraz częściej będziemy słyszeć przeciwstawienie: światli hierarchowie z Łodzi, Warszawy i Gniezna kontra ciemny episkopat. Oby ta obawa się nie spełniła, a polski Kościół zachował roztropną ostrożność wobec hurraoptymizmu synodalnych zmian. © ©

PAWEŁ LISICKI
WYRÓŻNIONY

Redaktor naczelny „Do Rzeczy” został wyróżniony nagrodą Anioł Stróż Ziemi Wołomińskiej. Kapituła nagrody doceniła całokształt działalności dziennikarskiej i pisarskiej Pawła Lisickiego, a także – jak podkreślano – jego drogę zawodową, w której dał wyraz dziennikarskiej niezależności. Kapituła konkursu podkreśliła znaczenie pisarstwa Lisickiego: religijnego i historycznego, dotyczące Kościoła katolickiego, reformacji, stosunków polsko- i katolicko-żydowskich. (luz) © ©

dwaj panowie



Wyjaśniamy. Media spinowane przez Rafcia tyknęły bez namysłu historyjkę o tym, że Campus Rafcia był nawet sponsorowany przez International Republican Institute (IRI), co oznacza, że Rafcio ma otwartą drogę do Dobrego Donalda. Cóż, IRI z obecną Partią Republikańską nie ma wiele wspólnego. Co więcej, od początku kariery politycznej Trumpa zajmowało się jego aktywnym zwalczaniem.

Najlepiej pewne sprawy pokazać na przykładach. Zatem pokazujemy: wspomniany niby konserwatywny IRI zaprosił podczas ostatnich wyborów w Mołdawii jako obserwatora niejaką Danutę Hübner, a więc prawdziwy symbol prawicowości. Nie dziwi nas więc info od zagranicznych wiewiórek, które twierdzą, że jest w USA oczekiwanie, żeby trumpiści rozgonili obecny skład IRI na cztery wiatry.

Wygrana Dobrego Donalda w Ameryce stworzyła problem Złemu Donaldowi w Polsce. Teraz wypada bowiem wystawić takiego kandydata na prezydenta, który nigdy nie lżył Trumpa. A to oznacza, że PeŁo musi wystawić kogoś z PiS. W sumie jest to możliwe, gdyż jest tam Radek Sikorski, który nie kryje poczucia wyższości amerykańskich postępowych elit. Wyjaśniamy – tu nie chodzi o liberalne elity. Radek pogardza wszystkimi, gdyż uważa, że jest mądrzejszy od wszystkich.

Zmiana w Ameryce już wywołała poważny problem w polskim MSZ. Jak wiadomo, na placówkę

w Waszyngtonie wybierał się Bogdan Klich, który rzutem na taśmę zaliczył w październiku test z języka lengtydź. Niestety, złe języki mówią, że Klich może zostać z tym angielskim jak Himilsbach.

Wyjaśniamy: Radek oficjalnie wspiera Klicha, ale nieoficjalnie poważnie się zastanawia, czy w ramach ugłaskiwania nowego lokatora Białego Domu nie posłać na placówkę jednak kogoś całkiem legalnie. Znaczący w uzgodnieniu z polską osobą głowy państwa. Jak bowiem wiadomo, prezydent Andrzej Sebastian odmawia podpisania nominacji Klichowi, skazując go na los chargé d'affaires. Problem w tym, że nie tylko w PeŁo, lecz także w jej otoczeniu niewiele jest osób, które wcześniej nie zelżyłyby publicznie Trumpa. Inna sprawa, że mało który był tak wymowny w tej kwestii jak małżonka naszego szefa dyplomacji.

Tymczasem w neo-TVP. Szefem redakcji zagranicznej telewizji w likwidacji został niejaki Robert Góralczyk, ksywa Chińczyk. Właściwie nie tyle ksywa, ile stwierdzenie faktu. Góralczyk w istocie jest bowiem półkrwi Chińczykiem po kądzieli. Ma opinię faceta, którego przez życie pchali ojciec i stryj. Wszystkich łączy fakt, że zostali zarejestrowani jako współpracownicy bezpieki już to wojskowej, już to cywilnej. Swojego czasu prezes TVP Andrzej Urbański zrobił Roberta szefem placówki w Pekinie. A owoców pracy było niewiele, więc placówkę po cichu zwinęto i obecnie w Pekinie nie ma przedstawiciela firmy w likwidacji.

Po Krakowie krąży plotka, że na sprzedaż zostały wystawione udziały jednej z prywatnych uczelni. A konkretnie udziały, które mają należeć do żony byłego już włodarza tego miasta – Jacka Majchrowskiego. Podobno żona Majchrowskiego – a niektórzy utrzymują, że nawet sam Majchrowski – chce opylenia tych udziałów za sumkę, która pozwoli na spokojną starość. I to być może w krajach cieplejszych niż Polska. Za amerykańską Expatsi podpowiadamy: tylko Meksyk. Ewentualnie Kolumbia. ©©

No i stało się! Dobry Donald z Waszyngtonu powraca do Waszyngtonu! Tęskniłmy. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Wyczekujemy też powrotu do Vistula Country namiestnik Georgette Mosbacher. Hot dogi u niej w ogrodzie smakowały jak żadne inne.

Ameryka to jednak piękny kraj. Choć aktualnie w hysterii. Fani Harris obcinają sobie z rozpaczys włosów na TikToku, liberalni dziennikarze płaczą na wizji i zapanowało powszechne oczekiwanie powrotu do niewolnictwa, faszyzmu oraz mięsizmu. Właściciele jednej z firm organizujących emigrację z USA – Expatsi – opowiedzieli w mediach, że zainteresowanie ich ofertą wzrosło o 90 proc. Oni sami uciekli przed Trumpem jeszcze w 2016 r. Dokąd? Do Meksyku. Trudno wyobrazić sobie spokojniejszy, bardziej postępowy i demokratyczny kraj, prawda? No, może jeszcze Kolumbia.

Tymczasem w PiS pewna taka konsternacja. Nowogrodzka bowiem koncertowo przerzuciła szansę, którą jest wygrana Trumpa. Zamiast wyjść i powiedzieć, że można wygrać wbrew mediom, elitom, kłamstwom i lewym wyrokom neosędziów i wystarczy mówić prawdę, prezes wyszedł i powiedział coś tam, coś tam. Dobra wiadomość jest natomiast taka, że Dominik Tarczyński faktycznie sprawdził się w USA jako łącznik w Trumpem. Nie tylko dzięki świetnej znajomości języka lengtydź.

Kolejny policzek czeka PiS w Ameryce już w grudniu. Otóż odbędzie się tam impreza International Democracy Union (IDU), międzynarodówki prawicowej, do której należy ok. 80 ugrupowań i koalicji z całego świata, m.in. niemieckie CDU i CSU. I brytyjscy torysi. Czy też Włosi od Giorgii Meloni. Na imprezie tej do IDU zostanie przyjęta partia Orbána. Z tego, co słyszeliśmy, aplikacja PiS nawet nie została jeszcze złożona.

Propozycja międzynarodówek prawicowych – Rafcio Trzaskowski chwali się, że utrzymuje dobre kontakty z ludźmi Trumpa i szykuje „ważne spotkania z otoczeniem Partii Republikańskiej”.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zmierzch Protektora

Czarna środa – tak nazwali ten dzień „dziennikarze” i „eksperci” TVN24, choć siedzieli na tle mapy USA prawie jednolicie czerwonej – okazała się jeszcze czarniejsza, niż sądzili, bo nim zdążyli się otrząsnąć po „niusach” o miażdżącym zwycięstwie republikanów, przyszła kolejna hiobowa wieść: w Niemczech rozpadła się koalicja rządowa.

Zostawmy na boku spory fachowców – czy to skutek wieści zza oceanu czy przypadkowa zbieżność – bo „prawicowa” partia liberalna już od jakiegoś czasu wiedziała, że im dłużej trwa w rządzie z lewicą, tym mniejsze ma szanse przetrwania następnych wyborów (ciekawe, czy nasz PSL też zleca takie badania). Podobno kanclerz Scholz wciąż

jeszcze wierzy, że uda mu się namówić do „wielkiej koalicji” opozycyjnych chadeków – ci się nie kwapią, ale Scholz szermuje argumentem, że jeśli dojdzie do wcześniejszych wyborów, to wygra je AfD, więc i tak trzeba będzie w obronie systemu zawrzeć „kordonową” koalicję. Opinia publiczna, już na tę okoliczność zbadana, chce jednak nowych wyborów i odejścia Scholza jak najszybciej, choć wszyscy są zgodni, że to tylko pogłębi chaos.

Niemcy stały się „chorym człowiekiem Europy”. Zapatrzone w utopię „państwa europejskiego” pod swoim przywództwem, „bezemisyjnej” gospodarki opartej na ruskim wodorze i wynikającej z obu tych „przewag” europejskiej mocarstwowości równorzędnej

wobec siły USA i Chin doprowadziły się do gospodarczej katastrofy. Teraz przyszedł czas na jej dopełnienie – katastrofę polityczną. Kraj, który ma ambicję rządzić całą Europą, nie jest w stanie sam stworzyć stabilnego rządu. A ponieważ tak samo jest od dłuższego czasu z Francją, to polskie bezmyślne przekonanie „bądźmy w Europie, a wszystko się dobrze ułoży”, stanowiące tożsamościowy fundament rządzącej obecnie koalicji, staje się coraz bardziej groteskowe.

Nie dość, że z ambasady USA zniknie niedługo koleżka zawsze chętny wesprzeć go selfikiem lub propagandowym tłem, to jeszcze traci Tusk głównego protektora. Ciekawe, co teraz zrobi? Pewnie się wścieknie. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nie trać głosu!

Zwolennicy PiS cierpliwie czekają na kandydata, na którego głosować poleci im partia. Zwolennicy Konfederacji już wcześniej ze spokojem przyjęli decyzję partii o odwołaniu kandydata, który reprezentował ich cztery lata temu i uzyskał ponad milion głosów. Choć nasze społeczeństwo z taką rezerwą traktuje partię (dwie największe, walczące ze sobą o władzę, nie mają razem nawet 100 tys. realnych członków), to jednocześnie bezwzględnie poddaje się dyspozycjom ich central. Naprawdę jesteśmy „wielkim sztandarem narodowym”, ale „żadnym społeczeństwem”. Norwid, kiedy to pisał, bał się, że „ludzie serdeczni” go za to „powieszą”.

Co więc powinna robić opinia konserwatywna, dla której od emocji partyjnych ważniejsze są konkretne interesy suwerenności i cywilizacji chrześcijańskiej?

Przed wszystkim pamiętać, że dopóki wybory są wyborami, dopóty żaden wyborczy magowie ich nie zaczarują. Nikt nie zna wyniku drugiej tury. Niech sobie partie szukają kandydata, który będzie się podobał. Natomiast opinia konserwatywna powinna poprzeć kandydata, który będzie ją reprezentował; w polityce, nie tylko w deklaracjach. Kandydata, który – jeśli zostanie prezydentem – podejmie wszystkie konieczne decyzje służące suwerenności, cywilizacji życia, prawom rodziny. A jeśli w drugiej turze nie

wygra – to pozostanie umocowanym rzecznikiem racji chrześcijańskich i narodowych, o mandacie silniejszym od poszczególnych, branych osobno, partii większości. A jak nie wejdzie do drugiej tury – będzie w naszym imieniu negocjował zakres poparcia dla kandydata, którego w drugiej turze będziemy mogli poprzeć.

Jeśli jednak pozostaną nam tylko kandydaci PiS, i Konfederacji – to żaden nie powinien za wcześniej być pewnym naszego poparcia w pierwszej turze. W przeciwnym wypadku mogliby szybko się przestać z opinią konserwatywną liczyć. Trzeba o tym pamiętać, bo najłatwiej stracić własny głos, gdy za bardzo się marzy o głosach cudzych. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



krysztopa 8622 Tupańska

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O trzech idiotkach

Trzy panienki, zapewne studentki uniwersytetu w Bolonii, postanowiły błysnąć w sieci z okazji maskarady Halloween. Wpadły na makabryczny pomysł przywołania traumy „lat ołowiu”, jak Włosi nazwali ponury, krwawy czas lewackiego terroru morderców Czerwonych Brygad.

Zrobiły sobie osobliwe zdjęcie w dzielnicy uniwersyteckiej i wrzuciły z dumą na platformę X: dwie dziewczę, z głupawym uśmiechem na twarzy, trzymając czerwoną płachtę z napisem „Brigate Rosse” i symbolem organizacji, pięcioramienną gwiazdą w kole. Jedna ma w ręku butelkę szampana. Trzecia klęczy pod płachtą i dzierży w dłoniach kopię pierwszej strony dziennika „La Repubblica” z marca 1978 r.

z napisem „Moro porwany”. Dziewczyna ubrana jest w granatowy garnitur, białą rozchełstaną koszulę i krawat. Jak Aldo Moro, trzykrotny premier Włoch, gdy 9 maja 46 lat temu na via Caetani w Rzymie w bagażniku czerwonego renault znaleziono jego ciało. Jak wówczas wyjaśnili zideologizowani mordercy w listach rozesłanych do mediów, Aldo Moro, „więzień i wróg ludu”, po 55 dniach procesu Sądu Ludowego został skazany na śmierć. Zabili go 12 strzałami z pistoletu. Pozostawił żonę i czworo dzieci.

Sto metrów od miejsca, w którym panienki sfotografowały natchnioną inscenizację, biegnie via Valdonica, przy której 23 lata temu komando Nowych Czerwonych Brygad położyło trupem wracającego do domu rowerem

bezbronnego prof. Marca Biaggio, rządowego eksperta od prawa pracy. Dla obranych z rozumu lewaków był „burżuazyjnym imperialistą wyzyskującym proletariat”.

Naturalnie fotka wrzucona do sieci zrobiła furorę. Rozeszła się błyskawicznie jak zaraza. Włoska młodzież miała ubaw po pachy.

W „latach ołowiu” w zamachach lewackich, a także skrajnie prawicowych bojówek, zginęło ponad 400 osób. Blisko 2 tys. odniosło rany. Dziś, za sprawą piorunującej mieszanki głupoty z Internetem, w oczach młodych Włochów ofiary tej tragedii zasługują jedynie na kretyński, żałosny żart i łyk szampana prosto z butelki. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Nieustępliwy Strażnik

Już po raz 12. tygodnik „Do Rzeczy” przyznał statuetkę Strażnik Pamięci za dbałość o naszą tożsamość narodową i pamięć. W tym roku, ze względu na pośmiertne uhonorowanie głównego laureata oraz jego wybitny życiorys, redakcja zrezygnowała z podziału na dotychczasowe kategorie. Tegoroczną statuetkę Strażnik Pamięci otrzymał bowiem pośmiertnie ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski

Redakcja tygodnika „Do Rzeczy” od 2013 r. wyróżnia osoby i instytucje, które pielęgnują i promują polską tożsamość oraz naszą historię. Pomimo tego, że plebiscyt od samego początku cieszy się ogromną popularnością, lista tych, których należy uhonorować, wciąż się nie wyczerpuje. W tym roku redakcja „Do Rzeczy” zdecydowała, że tytuł Strażnik Pamięci otrzyma pośmiertnie ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, znany ze swojej nieustępliwości i konsekwentnej walki o pamięć oraz prawdę, o czym szerzej pisze w tym numerze Krzysztof Masłoń (str. 12).

DBAJĄC O PAMIĘĆ

W 2013 r. pojawiła się w redakcji „Do Rzeczy” myśl, by uhonorować tych, którzy pielęgnują pamięć o naszej tożsamości i pokazują to, co w polskiej historii wielkie. – To była pierwsza nagroda, w której prezentowano taki sposób patrzenia na polską historię. Nie działały takie organizacje jak np. Instytut Pileckiego, a istniejące niechętnie odnosiły się do kwestii tożsamości narodowej. To była mentalność pedagogiki wstydu – wspomina redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki. Redakcja zdecydowała się na trzy kategorie – Twórca, Instytucja i Mecenaz.

Szybko okazało się, że koncepcja jest trafiona, a największe zainteresowanie czytelników wzbudziła pierwsza kategoria, dająca możliwość uhonorowania konkretnej

osoby, która swoimi działaniami przyczynia się do odnowienia pamięci. Już w pierwszej edycji konkursu do redakcji wpłynęło kilkaset zgłoszeń. Kandydatów do nagrody mogą bowiem zgłaszać listownie i e-mailem sami czytelnicy. W ciągu ostatnich 11 lat redakcja „Do Rzeczy” wręczyła kilkadziesiąt nominacji i wyróżnień, gromadząc wokół Strażnika Pamięci wyjątkowe grono tych, którzy cenią sobie polskość.

– Strażnik Pamięci to nagroda, która dotyczy małych i ogromnych. Wspólnym mianownikiem są ludzie, bo przecież za wyróżnionymi instytucjami też kryją się konkretne osoby, dla których wartość historii Polski i przenoszenia tej wiedzy, z pokolenia na pokolenie, jest nie do przecenienia [...]. Nic nie jest tak ważne dla narodu, jak docenienie umiejętności opowiadania sobie i przekazywania własnej historii. Historia Polski jest piękną historią, warto o tym pamiętać – podkreśla zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy” Piotr Gabryel.

Strażnicy Pamięci to bowiem nie tylko twórcy, lecz także ludzie, którzy odpowiadają za działania większych i mniejszych instytucji – muzeów, stowarzyszeń czy fundacji podejmujących nowe inicjatywy. Jednocześnie redakcja docenia podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególnie sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną. – Kiedy wymyśliłmy kategorię Mecenaz, polskie firmy – nawet spółki Skarbu

Państwa – z rezerwą patrzyły na pomysł wspierania działalności patriotycznej – wspomina Paweł Lisicki.

STRAŻNICY W MHP

W ubiegłym roku gala nagrody Strażnik Pamięci odbyła się w nowo otwartym gmachu Muzeum Historii Polski. Kapituła uznała wówczas, że obok nagród głównych zostaną wręczone także wyróżnienia w każdej z kategorii.

W kategorii Mecenaz nagrodę Strażnik Pamięci otrzymała Telewizja Polska SA za „finansowanie filmów i sztuk teatralnych poświęconych polskiej historii i trosce o polską niepodległość”. – W jednym z wywiadów prezes TVP Mateusz Matyszkowicz powiedział, że „telewizja publiczna jest częścią państwa polskiego. I dbanie o jej dobro jest elementem walki o niepodległe państwo polskie”. To prawda. Tym bardziej cieszy, że na antenach Telewizji Polskiej znajdziemy wiele wartościowych produkcji, które przybliżają Polakom naszą historię i troszczą się o naszą tożsamość. Znacząco zwiększono również budżet przeznaczony na kulturę, dzięki czemu coraz częściej gości ona w naszych domach, a korzystają na tym nie tylko Polacy, lecz także polscy twórcy – mówił w laudacji redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl Karol Gac.

Statuetkę Strażnik Pamięci 2023 w kategorii Instytucja otrzymał prof. Piotr Gliński, ówczesny minister kultury i dziedzictwa narodowego. Redakcja ty-

godnika „Do Rzeczy” uznała „determinację i skuteczność, z którymi prof. Gliński dążył do zbudowania Muzeum Historii Polski”. – To nagroda dla instytucji, którą jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Gdyby nie wizja i wola polityczna Lecha Kaczyńskiego, a później Jarosława Kaczyńskiego, to my tego wszystkiego nie moglibyśmy zrobić. Na szczęście wiele osób i instytucji uwierzyło w tę wizję, którą zrealizowaliśmy wspólnie – mówił prof. Gliński.

Statuetkę Strażnik Pamięci 2023 w kategorii Twórca otrzymał Jacek Komuda za „wielką wartość twórczości literackiej dla budzenia i zachowania polskiej pamięci historycznej”. Redakcja szczególnie doceniła takie powieści jak „Diabeł Łańcucki” i „Banita” z czasów sarmackich oraz „Hubal”, „Westerplatte” i „Wizna” z czasów drugiej wojny światowej. – Nasz laureat posiadał bowiem niezwykły talent nie tylko do zajmującego opowiadania o średniowiecznej chwale Polski. Co najmniej równie dobrze wychodzi mu wciąganie czytelników do świata szlacheckiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów walczącej z Moskwą czy tragicznych walk polskich bohaterów Września ’39. Wszystkie te książki łączy jedno: arcyciekawa akcja, bohaterowie, w których nie ma ani grama plastiku, i wielka historia, która opowiedziana jest



FOT. WOJCIECH STRÓŻYŃSKI/REPORTER

tak, jak wydarzyła się naprawdę – mówił redaktor naczelny miesięcznika „Historia Do Rzeczy” Piotr Włoczyk.

Podobnie jak w latach ubiegłych portal DoRzeczy.pl przyznał również nagrodę specjalną. Otrzymał ją ks. Tomasz Trzaska, kapelan Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, ekspert Biura do spraw Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. – Laureat nagrody specjalnej portalu DoRzeczy.pl to człowiek, którego największą troską jest życie. Z jednej strony troszczy się o nie tu i teraz, poprzez zaangażowanie w edukację, profilaktykę oraz wsparcie dla osób dotkniętych dramatem samobójstwa. Z drugiej strony, nasz laureat o życie dba, przypominając nam bohaterskie życia tych, których już nie ma. Robi to poprzez posługę kapłańską w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL – mówiła podczas laudacji Zuzanna Dąbrowska-Pieczynska z portalu DoRzeczy.pl.

Na koniec gali wręczono nagrodę specjalną Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM przyznawaną pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. Otrzymała ją słowacka dyplomatką Dagmar Babčanová, ambasador przy Stolicy Apostolskiej. – Jej dom przez lata służył jako miejsce spotkań i swobodnej dyskusji dla wolnych ludzi i prodemokratycznych środowisk. Za swoje zaangażowanie, prześladowana w komunistycznej Czechosłowacji – przypomniał w laudacji ówczesny dyrektor Instytutu prof. Maciej Szymanowski.

Do uczestników gali napisał m.in. prezydent Andrzej Duda, który przekazał organizatorom okolicznościowy dar – flagę Rzeczypospolitej Polskiej. „Biało-czerwona flaga to jeden z najczcigodniejszych symboli Rzeczypospolitej. Jednoczy ona i umacnia pokolenia Polaków, będąc świadkiem historii ojczystej i widomym znakiem patriotyzmu” – napisał prezydent, dodając, że flaga „przypomina o najdawniejszych tradycjach i skarbach kultury naszej narodowej wspólnoty”. „Niech i dziś jej widok pobudza każdego z nas do wykorzystywania własnych talentów i pasji dla wspólnego dobra oraz zbudowania nowoczesnej, bezpiecznej i silnej Rzeczypospolitej” – zachęcał Andrzej Duda. **(K.G.)**

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Laureaci Nagrody Strażnik Pamięci

	Mecenas	Instytucja	Twórca
2023	Telewizja Polska SA	prof. Piotr Gliński	Jacek Komuda
2022	Lasy Państwowe	Narodowy Bank Polski	prof. Ryszard Legutko
2021	Poczta Polska SA	Stowarzyszenie Rodzina Piaśnicka	ks. prof. Waldemar Chrostowski
2020	prezes PGE Wojciech Dąbrowski	Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris	prof. Wojciech Roszkowski
2019	Polskie Linie Lotnicze LOT	Stowarzyszenie Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu	Wojciech Tomczyk
2018	Polska Grupa Energetyczna	Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej	prof. Marek Jan Chodakiewicz
2017	Fundacja PGNiG oraz Maciej Radziwiłł	Stowarzyszenie Rodzina Ponarska	Jarosław Marek Rymkiewicz
2016	Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych	Stowarzyszenie Memoriał	Twórcy filmu „Wołyń”
2015	Artur Nowakowski i Bogdan Kaczmarek	Maciej Świrski – Reduta Dobrego Imienia	Dariusz Malejonek (wraz z Pannami Wyklętymi)
2014	Tauron Polska Energia	Polskie Radio	prof. Andrzej Nowak
2013	Bank Zachodni WBK	IPN, Minister Sprawiedliwości, Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie i Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa	Autorzy serialu „Czas honoru”

Nie zdążyliśmy przyznać mu nagrody Strażnik Pamięci za jego życia zakończonego w styczniu tego roku. Ale był laureatem wielu innych wyróżnień, po których spotykał się – jak powiedział mi, gdy w 2007 r. odwiedziłem go w podkrakowskich Radwanowicach, gdzie zajmował się niepełnosprawnymi umysłowo – „z reakcjami histerycznymi, z pogranicza obsesji. Nagrody czy wyróżnienia, jakie mnie spotykają, tylko je potęgują”. Jedne z tych nagród cenił, inne jakby mniej. W 2008 r. odesłał przyznany mu przez redakcję „Tygodnika Powszechnego” Medal św. Jerzego. W 1997 r. otrzymał go za „zmaganie ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym”. Po latach, gdy ten sam „Tygodnik...” podważył informacje, które zebrał, badając sprawę hierarchy kościelnego zarejestrowanego jako TW „Filozof”, napisał: „Moja skromna osoba nie pasuje do innych laureatów owego medalu”. A chodziło mu, co następnie wyłuszczył, o „takie autorytety moralne jak Adam Michnik, Tadeusz Mazowiecki, Tadeusz Pieronek czy Józef Życiński. Myślę, że osoby te z tej decyzji naprawdę cieszą się. Od dziś bowiem mogą być wyłącznie we własnym sosie”. Ksiądz Adam Boniecki skomentował to wtedy tak, że „wielcy ludzie są niekiedy bardzo wrażliwi na swoim punkcie”. Może, tyle że w tej akurat kwestii ks. Tadeuszowi chodziło o to tylko, że skoro domaga się uczciwego rozliczenia się z niechlubną przeszłością od wikarych i proboszczów, to niby dlaczego ochronie podlegać mają arcybiskupi.

W podobny sposób zachował się, gdy na spotkaniu dawnych działaczy podziemia jeden z nich, płacząc, przyznał się, że był współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Przytulił go wtedy, ucałował i powiedział: „Jeśli robotnik był w stanie przeprosić, przyznać się, to księży, którzy donosili, też to powinni zrobić”.

Do tytułów też się nie przywiązywał. W latach 1997–2006 był kanonikiem honorowym archidiecezji krakowskiej, który to tytuł otrzymał od kard. Franciszka Macharskiego (w 1983 r. udzielił mu święceń kapłańskich) w uznaniu zasług w pracy z osobami niepełnosprawnymi umysłowo. Zrezygnował z niego, protestując przeciw pomówieniom pod swoim adresem. A te nie należały do takich, nad którymi przejść można było do porządku



Budziciel



Krzysztof Masłoń

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski troszczył się o niepełnosprawnych intelektualnie, wskazywał współpracowników SB w Kościele, domagał się szacunku dla ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Zawsze wybierał prawdę



sumień

dziennego. Oskarżany był – ni mniej, ni więcej – o rozbijanie jedności Kościoła.

Po jego wypowiedziach na temat księży współpracujących ze Służbą Bezpieczeństwa otrzymał z kurii zakaz zabierania głosu w kwestii lustracji duchowieństwa. Efekt był taki, że proboszczowie odmawiali mu prawa do głoszenia kazań, gdyż obawiali się reakcji zwierzchników.

– Od roku – opowiadał mi – odprawiam msze najzupełniej prywatnie, w tutejszej kaplicy. Jestem też duszpasterzem Ormian w Polsce i kiedyś chciałem spotkać się w pewnym mieście z jedną ze wspólnot ormiańskich. Specjalnie pojechałem tam wcześniej, zaszedłem do proboszcza, a on mi mówi: „Proszę księdza, nie mam nic przeciw Ormianom, ale ksiądz jest oskarżony o rozbijanie jedności Kościoła i ja nie mogę udostępnić księdzu świątyni”.

– Rozbijanie jedności Kościoła! To jest zarzut straszny! Zarzut stawiany Marcinowi Lutrowi czy Janowi Husowi! – mówił wyraźnie wzburzony.

HISTORIA: TUTAJ I TERAZ

W jednym ze swoich wierszy – bo był też poetą! – zatytułowanym „Dzieciństwo” pisał: „Otrzymałem w spadku ormiańską duszę / lwowski akcent / kresowy patriotyzm / ukraińską tęsknotę za Bogiem”. Pewnie za to wszystko dostawać będzie, gdy np. zaprotestuje przeciwko uznaniu przez Ukrainę Stepana Bandery za bohatera narodowego, anonimowe groźby i „wyroki śmierci”. Dużo wcześniej nazwany zostanie „Tuhaj-bejem”, „niepoczytalnym nienawistnikiem”, a gdy mocno zaangażuje się w sprawę lustracji duchowieństwa, prymas Glemp nie ugrzyje się w porę w język i określi go jako „nadubowca”, za co zresztą przeprosi, poniewczasie.

Postępował zgodnie z głoszonymi wartościami. Dlatego całkiem niedawno, w zeszłym roku, stanął w obronie ks. kard. Adama Sapiehy, zmarłego w 1951 r. Księcia Niezłomnego Polskiego Kościoła, po tym, gdy holenderski dziennikarz Ekke Overbeek oskarżył go o molestowanie seksualne kleryków, za jednym zamachem uderzając w Jana Pawła II, który jakoby miał o tym wiedzieć, ale nie dopuścił do ujawnienia prawdy. „Gazeta Wyborcza”, jakżeby inaczej, nagłośniła sprawę, a wtedy ks. Tadeusz,

FOT. ADAM CIEŚTOWSKI / FORUM

■ sam rzecznik osób wykorzystywanych w dzieciństwie przez księży, piętnujący wypadki pedofilii wśród duchowieństwa, udowodnił, że holenderski autor bazował na zeznaniach księdza, tajnego współpracownika UB o pseudonimie Luty, którego nawet Urząd Bezpieczeństwa miał za człowieka zdegenerowanego i skonfliktowanego z władzą kościelną. Z jego aktami zapoznał się ks. Tadeusz w czasie kwerendy w IPN przeprowadzonej przez niego w trakcie pisania książki „Księża wobec bezpieki”.

A o tym, dlaczego w 2005 r. po raz pierwszy przekroczył próg archiwum IPN w Wieliczce, wyjaśniał w przedmowie do tamtej książki. Otóż dowiedział się wtedy, że znajdują się tam zarówno jego akta – jako figuranta – jak i kaseta nakręcona podczas przesłuchań i rekonstrukcji wydarzeń z 1985 r., kiedy to dwukrotnie został napadnięty i ciężko pobity przez funkcjonariuszy SB (według oficjalnej wersji za pierwszym razem sam się poparzył – Jerzy Urban przekonywał, że „chory człowiek poparzył się w piwnicy świecą” – a za drugim: sam związał!). „Zapoznanie się z zachowanym materiałem było doświadczeniem porażającym – pisał – i to nie tylko dlatego, że wspomniana kaseta wideo przypominała bolesne dla mnie sprawy. Najgorsze było odkrycie, że wśród wielu wspaniałych i gorliwych kapłanów archidiecezji krakowskiej, w tym osób, które znałem i ceniłem, znaleźli się w czasach PRL także tajni współpracownicy SB. Zwróciłem się z tym problemem do władz kościelnych. Na pierwszy list nie dostałem odpowiedzi, na drugi odpisano mi lakonicznie, polecając mnie opiece Matki Boskiej. W końcu po kolejnej próbie uzyskania jakiegoś stanowiska w tej kwestii usłyszałem, że są to sprawy, które dzisiaj nikogo już nie interesują, i że najlepiej, abym – jak argumentowano: dla dobra Kościoła – dał sobie z tym spokój”.

Nie dał. A historia pozostanie jego pasją, choć zawsze zgłębiać ją będzie z myślą, co wynika z niej dla nas dzisiaj: tutaj i teraz. I upominać się będzie o pamięć o zamęczonych, zgwałconych i skrzywdzonych, tak jak stał po stronie robotników w czasie pierwszej Solidarności i stanu wojennego i jak otoczył opieką tych, którym była ona najbardziej potrzebna, dzieciom niepełnosprawnym intelektualnie i ich rodzinom. Troszczył się o ich prawa i o ich publiczny

wizerunek, świadomy, że oni sami tego nie robią. Wojciech Bonowicz celnie nazwał go księdzem znakiem. Symbolizował to, że te wszystkie „Muminki” „mogą się czuć bezpiecznie, że nic im się nie stanie, nawet jeśli cały świat wywróci się do góry nogami. Bo jest ksiądz, z brodą i psem Grandem (kiedyś pewien tajny współpracownik esbecji złożył raport w sprawie tego psa), i ten ksiądz się o nich upomni”. A przy tym był ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski jak najdalszy od wszelkiej egzaltacji, „Muminków” nie uważał za żaden dar Boży dla ich rodziców, domagał się dla nich szacunku i robił wszystko, by ich życie uczynić lepszym, pełniejszym, bardziej wartościowym. Fundacja im. Brata Alberta, której był w roku 1987 współzałożycielem i której stał się twarzą, doczekała się ponad 30 filii, zajmując się ponad tysiącem osób niepełnosprawnych umysłowo. Zdążył sporządzić taki najkrótszy z możliwych testament: „Fundacja i inne dzieła nie powinny być po mojej śmierci rozwiązywane. Mają działać dalej jako niezależne podmioty. Żegnam Szczęść Boże! Tadeusz Zaleski”.

Nie do przyjęcia była dla niego sytuacja, w której jego kościelni zwierzchnicy, rzekomo doceniając jego osiągnięcia w pracy z dziećmi. Muminkami i w prowadzeniu ośrodka dla osób niepełnosprawnych intelektualnie czy też w organizacji konwojów humanitarnych, jednocześnie zamykają mu usta, gdy tylko poruszy tematy uważane choćby przez abp. Stanisława Dziwisza za drażliwe. Temu ostatniemu miał za złe popieranie Platformy Obywatelskiej, podobnie jak abp. Markowi Jędraszewskiemu wspieranie działań Prawa i Sprawiedliwości. A gdy był szef Telewizji Polskiej, Jacek Kurski, wziął w sanktuarium w krakowskich Łagiewnikach swój drugi ślub kościelny, głośno powiedział, co o tym myśli.

JEŚLI ZAPOMNĘ O NICH

W 2008 r. wystąpił z apelem o potępienie przez władze polskie ludobójstwa Polaków dokonanego przez OUN-UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Przez wszystkie następne lata zabiegał o upamiętnienie ofiar tej zbrodni. Między innymi założył Fundację Kresową „Memoria et Veritas”, organizował liczne protesty, m.in. przeciw przejazdowi przez nasz kraj Rajdu Bandery, nadaniu byłemu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko, który do-

prowadził do uznania Stepana Bandery za bohatera narodowego Ukrainy, doktoratu honoris causa przez Katolicki Uniwersytet Lubelski, przewodniczył komitetowi budowy pomnika „Rzeź Wołyńska”.

Niezależnie od wszystkich tych działań zaangażował się ks. Tadeusz w pomoc Ukrainie po agresji Rosji na ten kraj. Już wcześniej zresztą jeździł tam z pomocą humanitarną. Wspierał także ośrodki dla dzieci niewidomych i ich rodzin, prowadzone w Skalice Starym, Żytomierzu i Charkowie przez siostry Franciszkanki Służebnice Krzyża. Do tego właśnie zakonu wstąpiła po studiach matematycznych siostra bliźniaczka matki ks. Tadeusza, która przybrała imię Miriam.

8 lipca 2023 r. przed katedrą warszawską w czasie konferencji prasowej Episkopatu Polski w związku z podpisaniem przez biskupów Polski i Ukrainy oświadczenia „Przebaczenie i pojednanie” ks. Tadeusz protestował przeciwko zakazowi ekshumacji i pochówku ofiar ludobójstwa na Ukrainie. „Dlaczego nie pozwala się pochować naszych matek i ojców zamordowanych przez OUN-UPA i SS-Galizien? – pytał. – Bo na formułę »przebaczymy i prosimy o przebaczenie« nie ma zgody. »Tragiczne wydarzenia« to mogą być huragan czy trzęsienie ziemi. A to było ludobójstwo”. Protest zakończył się interwencją policji. „Różnych rzeczy się spodziewałem – mówił potem ks. Isakowicz-Zaleski – ale nie tego, że urzędnicy pałacu arcybiskupiego archidiecezji warszawskiej naślą policję na Rodzinę Ofiar Ludobójstwa”.

11 lipca 2022 r., po uroczystościach z okazji Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa na obszarach II RP dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów, ks. Tadeusz powiedział: „Wstyd, Panie Prezydencie”. Andrzej Duda na skwerze Wołyńskim zadeklarował wprawdzie wtedy: „Prawda musi być jasno i mocno wypowiedziana. Nie chodziło ani nie chodzi o zemstę”, ale fatalnie odebrane zostały inne jego słowa, przestroga pod adresem Rodzin, Ofiar Ludobójstwa, że „mają ważyć słowa”, bo wyczuwało się w nich zawołaną pogroźkę. Gorzki wydzwięk miały słowa Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego: „Mamy uważać, nie mamy sprawiać wrażenia, że domagamy się pochówku ofiar”.

To nie był koniec jego utarczek słownych z prezydentem Dudą, który w rozmowie z Radiem Zet stwierdził, że

wolałby, by Tadeusz Isakowicz-Zaleski „nie zajmował się polityką, tylko tym, czym powinien zajmować się ksiądz”. No, ks. Tadeusz nie owijał tego, co myślał, w bawelnę i po wizycie prezydenta na Ukrainie w czerwcu 2023 r. wytknął mu, że „był wyluzowany i uśmiechnięty na tej kolejnej swojej wycieczce na Ukrainę na koszt polskiego podatnika. Jednak znów nie miał odwagi zapalić zniczy i pomodlić się nad dółkami śmierci, w których gniją kości dziesiątków tysięcy Polaków”.

Nie do końca sprawiedliwe były może te słowa, ale jest faktem, że i prezydent, i inni przedstawiciele naszych najwyższych władz nagle zakochani w „pupilu wolnego świata”, którą to rolę z niejakim powodzeniem odgrywa obecny prezydent Ukrainy, zapomnieli o swoich polskich obowiązkach, naszych, domowych. Cóż poradzić, ale sam z siebie nasuwa się tu Mickiewiczowski cytat: „Jeśli zapomnę o Nich, Ty, Boże na Niebie, zapomnij o mnie!”.

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski (1956–2024) nie zapominał. I dlatego bez najmniejszego wahania przyznał się mu nagrodę Strażnik Pamięci. Bo był nim właśnie. W „Rzeczpospolitej” napisano o nim, że „był sumieniem polskiego Kościoła”. Nie tylko: budził polskie sumienia, sumienia nas wszystkich.

JEDYNE PRAWDA JEST CIEKAWA

Jeżeli się na kimś w swoim postępowaniu wzorował, to na bracie Albercie (Adamie Chmielowskim) i... Stefanie Żeromskim. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy opowiadał o wielkim wrażeniu, które wywarli na nim „Ludzie bezdomni”, jak ważna była dla niego postać doktora Tomasza Judyma. Wydawało mi się, że wraz z całą „żeromszczyną” przynależał do zamierchłej epoki, tymczasem ks. Tadeusz potrafił odnaleźć w dawnej lekturze szkolnej jak najbardziej współczesne treści.

Podobnie odczytywał inne dzieła. Do Radwanowic pojechałem, gdy jego głośna książka „Księża wobec bezpieki” uzyskała nominację do Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza i niebawem nagrodą tą została uhonorowana. Pozwól sobie przytoczyć fragment tamtej rozmowy:

„Pamiętam, jak mój profesor, Bolesław Kumor żartował, co to będzie, jak otworzą się w końcu granice na Wschodzie i będzie mógł wejrzeć w archiwa lwowskie, w dokumenty, do których

Powstaje film o ks. Isakowiczu-Zaleskim

Stowarzyszenie „Wspólnota i Pamięć” realizuje film dokumentalny o życiu i działalności śp. ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. – Ksiądz Tadeusz swoim odejściem osierocił wiele środowisk, którymi się opiekował. Jednocześnie pozostawił po sobie niezwykle bogate dziedzictwo, które jest wciąż niedocenione. Chcemy więc przybliżyć postać tego niezłomnego kapłana – mówi Paweł Zdziarski, prezes stowarzyszenia.

Do realizacji tej produkcji potrzebne są jednak fundusze, dzięki którym będzie można m.in. opłacić ekipę filmową, wynajem studia i sprzętu. Każdy, kto chce dołożyć swoją cegiełkę, może to zrobić poprzez przelew na numer konta Stowarzyszenia „Wspólnota i Pamięć” (PKO BP): **80 1020 1013 0000 0002 0477 9007**. W tytule należy wpisać: „Na film o ks. Tadeuszu Isakowiczu-Zaleskim”.

Organizatorzy zachęcają również do wsparcia zrzutki internetowej. Prace dotyczące filmu są już zaawansowane. Jego wstępny tytuł to „Prawda was wyzwoli”. Premiera planowana jest na wiosnę 2025 r. Więcej informacji na stronie: **Filmisakowicz.pl**.

przez tyle lat nikt pewnie nie zaglądał. A ja podczas swojej kwerendy dostałem do rąk akta, których poza esbekami nikt nigdy nie widział. Zbiory, w których jest niezwykle materii pomieszan, bo i bezwartościowe świstki, i niesłychanie istotne dokumenty. Co do historii, to szczególnie interesowałem się, z racji pochodzenia matki, Ormianami, ale też w ogóle Kresami Wschodnimi.

Ksiądz ma lwowskie korzenie?

Nie. Mama urodziła się w Krakowie, ale jej rodzina pochodziła ze Stanisławowa, a ojciec – historyk i bibliofil – urodził się w Monasterzyskach koło Buczacza na Tarnopolszczyźnie.

To dość daleko od Wilna, ale – mam nadzieję – zna ksiądz twórczość Józefa Mackiewicza?

Znam i cenię. Pierwszą jego książką, którą przeczytałem, była »Kontra«, podziemne wydanie, przedruk z paryskiej »Kultury«.

A wie ksiądz, co napisane jest na medalu, który otrzymuje laureat Nagrody im. Józefa Mackiewicza?

Że prawda jest ciekawa.

Dokładnie: »Jedynie prawda jest ciekawa«.

Moim postępowaniem nie kieruje ciekawość. Natomiast uważam, że prawda jest jedyną drogą życia. Po prostu nie ma innej”.

Ten niezwykle człowiek i kapłan mógł żyć zupełnie inaczej, tyle że rozmijałby się wtedy z... Tak, z prawdą właśnie.

„Bo czyż ewangeliciści mogli zafałszować rzeczywistość? – pytał retorycznie. – Ależ oczywiście, mogli nie napisać o Judaszu, o zaparciu się św. Piotra, o niewiernym Tomaszu – wszystko to ominąć lub wyretuszować. Po dwóch tysiącach lat nikt by ich nie sprawdził. Ale byli wierni

prawdzie, to po pierwsze, a po drugie, wyraźnie postrzegali różnice między upadkami Judasza i Piotra”.

Dlatego ten z natury dobry człowiek bywał uparty i konsekwentny w nazywaniu po imieniu zła. Dlatego jego – żyjącego skromnie jak na służę Bożego przystało, gorszyły wypadki chciwości i rozrzutności zdarzające się i wśród osób duchownych. Nie przekonywały go też wykrętne tłumaczenia księży uwikłanych we współpracę z SB, jakoby nie czynili niczego nagannego, a już całkowicie nie były dla niego do przyjęcia usiłowania wyparcia ze zbiorowej pamięci faktów. „Numer nadany przez SB był jeden. To jak PESEL” – mówił.

Odebrał wykształcenie seminaryjne. Powiadał jednak: „Uczyłem się nie tylko w seminarium, ale i w Solidarność. Mówi się, że Kościół wywierał wpływ na Solidarność, ale było też odwrotnie. Tak właśnie zdarzyło się ze mną, z wieloma moimi rówieśnikami, klerykami, młodymi wtedy księżmi. Dziś się o tym głośno nie mówi, ale ci księża, którzy związali się z Solidarnością mieli nieustanne kłopoty z władzami kościelnymi. Pamiętam, jak byli traktowani Jancarz i Chojnacki, że nie wspomnę już o swojej skromnej osobie. Przecież ks. Adolfa Chojnackiego wyrzucano z Krakowa, tak samo ks. Władysława Palmowskiego, więcej było podobnych spraw. A jak było z ks. Popiełuszką?”.

Nie ma już z nami ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. Ale mamy pamięć, której był przez swoje trudne, mężne i piękne życie, strażnikiem. A kołatka Zbigniewa Herberta nieublaganie mówi swoje: tak – tak, nie – nie.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

O TYM JEST TEN HAJ

Kasia Nast pojawi się wkrótce na ekranach w drugim sezonie show „Królowa przetrwania”. Kim jest Kasia Nast? Lepiej zapytać, kim nie jest. Jest szamanką. Coachem. Mieszka w dżungli i rozprawia o duchowości. Jest tak uduchowiona, że wielu zarzuca jej korzystanie z substancji psychoaktywnych. A to po prostu haj szczęścia, haj oświecenia. „Nie jestem w stanie wam powiedzieć, ile razy w tygodniu słyszę od kogoś: »prześnił ćpać«, »podziel się kontaktem do dilerka«, »prześnił wciągać ten k.ks«,



FOT. KASIANAST/INSTAGRAM.COM

»skąd mam mdma?«, »non stop jesteś naćpana«, »non stop jesteś naje..na«, »o jeden grzyb za dużo«. Słyszę to non stop, nawet przed chwilą dostałam taką wiadomość od kogoś” – pozialiła się swoim instagramowym obserwatorom. Kasia szamanka podkreśla, że nie potrzebuje narkotyków, ponieważ wszystkie najważniejsze substancje ma w „swojej wewnętrznej aptece”. „Z tego miejsca chcę wam powiedzieć, że nie potrzebuję tych wszystkich rzeczy, ponieważ moją medycyną jest taniec, moją medycyną jest kakao, moją medycyną jest oddech i bycie nauczycielem tantry i bycie tą swoją apteką, która

ma te wszystkie substancje we mnie” – zapewnia. Jako osoba oświecona Nast chce uświadamiać innych. „Wszystkie substancje, których potrzebuję, żeby czuć się tak jak teraz, żeby być na totalnym haju, to jest haj, który jest z życia. Nie wiem, czy kiedykolwiek spróbowałam tańczyć na ecstatic dance przez trzy godziny, bo tak naprawdę to jedyne, czego trzeba, żeby kompletnie uwolnić się od swojej głowy, żeby połączyć się z ciałem, żeby połączyć się z oddechem, ze swoim dźwiękiem, z takim liberation, kim tak naprawdę jesteście w środku. I o tym to dla mnie jest. O tym dla mnie jest rozwój duchowy, o tym jest dla mnie bycie nauczycielem tantry, żeby nauczyć się, jak mieć dostęp do tych wszystkich miejsc, do których każdy z nas ma dostęp” – opowiadała celebrytka. Pani Kasiu, może jak pani już się dostanie do tych miejsc, to pani tam zostanie? Na zawsze?

WSZYSCY SPŁONIEMY

Zejdźmy z tego niezziemskiego haju. Jedną z ulubionych aktorek zaangażowanych autorki tej rubryki, Maja Ostaszewska, gościła w programie TVP Info „Rozmowy (nie)wygodne”. W rozmowie z Mariuszem Szczygłem rozmawiała o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Ostaszewska to kolejna gwiazda, której spadły z oczu łapki fajniżmu. Aktorka przyznała, że jest zawiedziona postawą władz. – To jest największy wstyd dzisiejszych czasów w Polsce i coś dla mnie niezrozumiałego, rozczarowującego i bolesnego. Wszyscy wierzyliśmy, że po przejęciu władzy przez partie prodemokratyczne coś się zmieni. Co więcej, ci politycy to deklarowali. Pamiętam takie deklaracje również z ust dzisiejszego premiera, że bezpieczeństwo nie wyklucza humanitaryzmu i kiedy obecna władza przejmie stery, zrobi też porządek z draństwem, które ma miejsce na granicy polsko-białoruskiej – podkreśliła. Maja Ostaszewska skrytykowała działania samego premiera Donalda Tuska, ponieważ – jak stwierdziła –

„kontynuuje, a nawet rozwija narrację skrajnej prawicy”. – Zaczęło się od wprowadzenia nowych rozporządzeń dotyczących bezkarności używania broni. To groźne, zarówno dla osób w kryzysie uchodźczym, jak i dla bezpieczeństwa na granicy. Alarmowały w tej sprawie wszystkie organizacje związane z prawami człowieka i pomocą humanitarną. A najświeższy pomysł na tzw. czasowe zawieszenie prawa do składania wniosku o azyl to mi się nie mieści w głowie – grzmiała Ostaszewska. Gwiazda zapewnia, że nie obawia się przybyszów z innych państw. – Nie, nie boję się. Bardziej boję się obojętności, tego, że jedyną odpowiedzią na różne kryzysy świata jest zabicie w sobie empatii i człowieczeństwa. Może przesadziłam. Boję się, bo wiemy, że galopuje kryzys klimatyczny i jest coraz cieplej na Ziemi, więc niebawem południe ruszy na północ, bo nie będą mieli warunków do życia. Nie tylko wojny i konflikty, lecz także to sprawi, że migracja będzie coraz większa – podsumowała Ostaszewska. To już może lepszy ten haj? Jakoś radośniej.

WSTYDU NIE MA?

Radośnie nie wygląda za to sytuacja wokół Marianny Schreiber, która chyba sama nie wie, w którą stronę zmierza. W jednym z ostatnich wywiadów żona posła PIS (para jest w separacji) zarzuciła mężowi, że nie wspiera jej finansowo. Dodała, że to właśnie dzięki pieniądзом z patogał freakfightowych, które obecnie tak szeroko krytykowane są przez media i polityków, może utrzymać siebie i córkę. – Ja, kiedy zostałam samotną matką z dnia na dzień, gdyby nie te freak fighty, nie miałabym za co żyć. Takim osobom one dają rozwój, szansę. Dają młodym ludziom szansę wyjścia z patologii – stwierdziła na antenie Polsat News. – Wiem, że jest temu przyczepiona łatka patologii. Tam są zachowania, których też nie popieram. Sama mam dziewięcioletnią córkę i wydaje mi się, że nie mam się czego wstydić – dodała Marianna. Skoro pieniądze są, to co tam wstyd. Prawda? ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Donald Trump nie jest naszym prezydentem!!!11 Jesteśmy załamani wynikami wyborów w USA. Nie rozumiemy, jak to możliwe, iż w dużym kraju w środku Europy, w XXI wieku... wróć! Sorry, pomyliły nam się elementy narracji, ale sami widzicie, jak dużo jest zbieżności pomiędzy Ameryką a Polską – zwycięstwa populistów, szowinistów i faszystów. Of kors nie mówimy o naszych ostatnich wyborach parlamentarnych, ale o tym, co było wcześniej. A sami wiecie, co się wtedy działo.

A wracając do USA i Trumpa. Jak to możliwe, że w Ameryce, a więc kolebce i sercu demokracji, wyborcy nie są odpowiednio uświadomieni politycznie i nie głosują tak, iżby później nie było wstydu? Serio, myśleliśmy, że taki zaścianek to tylko u nas. Gdybyśmy żyli w USA, pewnie byśmy teraz się odgrzali na Reddicie, iż wyjeżdżamy z tego kraju (mamy tym razem na myśli Amerykę) i martwili, że „Wtf, how they can be sooo stupid?”

Na szczęście zwolennicy demokratów odwalają tę robotę za nas, pisząc np., iż będą zrywać kontakty ze swoimi krewnymi i znajomymi, którzy głosowali na Trumpa, że łączący ich będzie krew, ale żadne relacje towarzyskie itd. Jedna młoda osoba wyznała, iż zerwałaby kontakt z osoboojcem, ale niestety jest na jego

utrzymaniu, więc nie może tego zrobić. Widzicie, do jakich ludzkich dramatów doprowadziło zwycięstwo Trumpa? Jeszcze nie został zaprzysiężony, a już łamie osobom moralne kręgosłupy.

I jeszcze do tego ten jego wiceprezydent J.D. Vance. Widząc ten inicjał w miejsu imienia, pomyśleliśmy, że oho – to jakiś neutratyw, może jakimś świeckim cudem się zaplątała jakaś osoba niebinarna w tym konserwatywnym towarzystwie. A tymczasem to, wybaczenie określenie, ale nie mamy sił – chłop,

postępowi. Martwi nas też, gdzie znajdują schronienie wszyscy ci celebryci, którzy mieli wyjechać po wygranej Trumpa. Chętnie przyjmieni kilku w Polsce, raz – iż mamy tu demokrację, a dwa – mieliśmy licznych kolegów po fachu, z którymi mogliby się wymieniać (tymi samymi) poglądami.

Wogóle to śledząc debatę publiczną w Polsce przed wyborami w USA, mieliśmy co chwilę taki mindfuck, iż są w końcu wybory w USA czy wybory w Polsce. Wielu komentatorów życia publicznego wyrażało wprost obawy, a nawet lęki, o stan Ameryki po zwycięstwie republikanina. Niestety, Amerykanie ich nie posłuchali.

Zresztą czemu mieliby ich posłuchać, skoro nie posłuchali nawet Taylor Swift? Mamy za to nadzieję, iż dojdą do nich słowa wsparcia płynące wprost z Twittera od wielu polskich dziennikarzy i publicystów, którzy bardzo mocno empatyzują z narodem amerykańskim i Kamalą Harris.

No cóż, nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić (na razie), co będzie się działo na naszym polskim Twitterku, jeśli wybory prezydenckie w tym kraju wygra kandydat opozycji. Straszna wizja, nie dopuszczamy jej na razie do siebie! ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

Raport Stróżyka. Pokoloruj Antoniego Macierewicza



i to do tego z brodą, a jakby tego było mało – to jeszcze katolik.

Widać więc wyraźnie, iż USA nie dość, iż zostały przejęte przez faszystów, to jeszcze religijnych fundamentalistów. Nie wróży to dobrze światowemu

PODSŁUCHANE

Ale to ja miałem być prezydentem!

Donek, ale ja znam francuski! Tak? To powiedz coś, Rafał, po francusku.

Il faut que je devienne le président de Pologne! Je suis plus compétent que ce con...

Dobra, dobra, żartowałem przecież. Chyba nie myślisz, że chce mi się słuchać tego twojego żabojadowania?

Ale wiesz, co jego żona wypisywała o Trumpie? A moja nic takiego nie pisała!

Bo twoja w ogóle nic nie pisze, może w tym problem.

Ale on jest nieobliczalny, znasz go!

No, za to ty masz wysokie kompetencje w naprawianiu szyb taśmą klejącą.

Ale to ja miałem być!

A masz to gdzieś na piśmie? No dobra, idź już, umówiłem się z Radkiem na koniaczek i cygaro. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ja wielokrotnie chwaliłem pana prezydenta Trumpa”.

RADOSŁAW SIKORSKI, minister spraw zagranicznych, po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA

Nieuleczalna murzyńskość



Łukasz Warzecha

W radości polskiej prawicy po wyborze Donalda Trumpa jest sporo zrozumiałej emocji – „ale im pokazał!” – ta emocja może jednak zakłócać trzeźwą ocenę nadchodzącej prezydentury. Prezydent Trump będzie z pewnością bliższy ideowo polskiemu konserwatywnemu wyborcy, niż byłaby Kamala Harris, ale nie będzie zbawcą Polski ani naszym bezinteresownym dobroczyńcą

Problemem polskiej klasy politycznej – a także Polaków w ogóle – nie jest to, czy prezydentem zostaje Donald Trump czy Kamala Harris (dowiedzieliśmy się błyskawicznie, że wygrał ten pierwszy). Problemem jest to, co niegdyś w potajemnie nagranej rozmowie w restauracji Sowa i Przyjaciele obecny szef MSZ, Radosław Sikorski, określił jako murzyńskość, a więc hołdowniczy stosunek do Stanów Zjednoczonych. Było go widać w trakcie kampanii za oceanem w absurdalnym emocjonalnym zaangażowaniu dużej części polskich polityków czy komentatorów, zachowujących się tak, jakbyśmy wybierali prezydenta Polski, a nie Amerykanie wybierali prezydenta USA.

Gdy do Sejmu dotarła wiadomość o wygranej Trumpa, większość posłów PiS i Konfederacji zaczęła bić brawo, a niektórzy krzyczeli: „Do-nald-Trump, Do-nald-Trump!”. Choć zwykle ludzkie emocje można zrozumieć, to jednak te owacje były na granicy przyzwoitości, a zapewne wynikały także ze złudzeń, dotyczących wygranej kandydata republikańskiego.

Lecz sejmowe owacje na cześć Donalda Trumpa to i tak poziom niższy niż kuriozalna wypowiedź byłego szefa

MON, a obecnie przewodniczącego nowo powołanego Komitetu Wykonawczego PiS, Mariusza Błaszczaka. W Polsat News wyrzekł on następujące słowa: „Jeżeli wygrałby Donald Trump, to sądzę, że natychmiast powinien się zmienić rząd w Warszawie, bo Niemcy nie są nas w stanie wspierać, jeśli chodzi o obronność, a Stany Zjednoczone tak”. Zatem zdaniem Błaszczaka o tym, kto rządzi w Warszawie, miałoby decydować to, kto rządzi w USA. Jeśli to nie jest mentalność kolonialna, to nie wiem, co nią jest. A mówi to przedstawiciel ugrupowania, które na każdym kroku podkreśla, że nikt nie powinien nam niczego z zewnątrz dyktować ani narzucać.

W owej murzyńskości wydają się faktycznie celować politycy największej partii opozycyjnej, ale nie wynika to z ich szczególnej dyspozycji psychicznej. Po prostu to PiS jest na polskiej scenie politycznej najbardziej proamerykański – co nie znaczy, że przesadny proamerykanizm nie pojawia się również po stronie przeciwnej, aczkolwiek jedynie wtedy, gdy w Białym Domu zasiada odpowiedni prezydent. Skoro nie zajmie tam miejsca Kamala Harris, to zapal będzie zapewne mniejszy. Jednak murzyńskość polega na patologicznej potrzebie posiadania pro-



tektora w ogóle – i być może jest to atawizm polskiej klasy politycznej sięgający korzeniami co najmniej XVII w. Dlatego politycy koalicji spoglądają w tym względzie w kierunku najważniejszych państw UE, również wyrabiając swoją normę.

POLSKA TO NIE AMERYKA

Ocena konsekwencji wygranej Trumpa nie powinna się opierać na emocjach, choć te mogą się pojawić, patrząc na rozmiar wygranej i jej jednoznaczność. W wielu miejscach przewidywania dotyczące zwycięstwa Kamali Harris się nie sprawdziły. Stany wahające się – m.in. Pensylwanię i Michigan – przejął Trump. I to jest pierwszy aspekt, który



Gdy do Sejmu dotarła wiadomość o wygranej Trumpa, większość posłów PiS i Konfederacji zaczęła bić brawo, a niektórzy krzyczeli: „Do-nald-Trump, Do-nald-Trump!” FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

można odnosić do Polski: recepta na zwycięstwo w kontekście zwłaszcza zbliżających się polskich wyborów prezydenckich. Nie ma tu jednak jasnego odczytania i interpretacji w obozie PiS.

Przede wszystkim trudno porównywać jeden do jednego sytuację społeczną i polityczną USA i Polski – choć podobny jest z pewnością bardzo głęboki podział światopoglądowy. Jednak struktura głosów jest mocno odmienna. W USA są istotne mniejszości – dla wygranej Trumpa ważne było choćby przejęcie dużej części głosów Latynosów – których w Polsce nie ma. W USA istnieje duża klasa średnia, która wskutek bardzo wysokiej jak na amerykańskie warunki

inflacji (w szczycie przekraczającej 9 proc.) zaczęła tracić grunt pod nogami – w Polsce klasa średnia jest szczątkowa, a ogromna grupa wyborców żyje z sektora budżetowego. Donald Trump zwyciężył po czterech latach relatywnie słabej i nieefektywnej prezydentury Joe Bidena, podczas gdy kandydat PiS będzie stawał w szranki po 10 latach rządów Andrzeja Dudy. Wreszcie Donald Trump prowadził swoją kampanię konsekwentnie od miesięcy, pozostając w zasadzie od początku faworytem do republikańskiej nominacji, podczas gdy hamletyzowanie PiS w sprawie wyboru odpowiedniego kandydata trwa od dawna i generuje coraz bardziej dziwaczne pomysły oraz warianty, two-

rząc wrażenie chaosu, niezdecydowania i braku pomysłu.

Politycy ugrupowania Kaczyńskiego podzielili się również, gdy idzie o interpretację sposobu Donalda Trumpa na zwycięstwo. Frakcja Beaty Szydło i Patryka Jakiego zdaje się uważać, że wybraną prezydent elektą zawdzięcza jeździe po bandzie i niezabieganiu o elektorat centrowy – czyli opowiadają się za tym, żeby zlekceważyć działającą od zawsze w polskich wyborach prezydenckich w drugiej turze zasadę, iż kandydat musi umieć zagarnąć ze środka. Natomiast były premier Mateusz Morawiecki sądzi, że kluczem do dobrego wyniku Trumpa były zapowiedzi zjednoczenia

■ i złagodzenia radykalnych podziałów faktycznie wyniszczających życie publiczne Stanów Zjednoczonych. Przejście na stronę Trumpa choćby sporej grupy latynoskich wyborców albo czarnoskórych kobiet wskazywać może, że racja jest po stronie tego ostatniego.

Odnotować trzeba, że w sztabie Trumpa brylował europoseł PiS Dominik Tarczyński, uznawany za przedstawiciela pierwszego podejścia, niekojarzonego z umiarkowaniem, ale raczej z radykalnymi i agresywnymi zagraniami. Tarczyński bywał też wymieniany jako jeden z potencjalnych kandydatów PiS na prezydenta.

Czy jednak zwycięstwo Donalda Trumpa w żaden konkretny sposób nie może wpłynąć na sytuację polskiej opozycji? Owszem, jest to możliwe. Nie bez znaczenia jest czynnik psychologiczny – Donald Trump pokazał, że można przeciwstawić się establishmentowi i zaważać o wygraną mimo wcześniejszej porażki. Być może jego sukces przełoży się na interesy medialne USA – w Polsce w grze jest sprzedaż TVN. Przejście tej stacji, radykalnie nieprzychylniej PiS, w ręce konserwatywnego właściciela dużo by zmieniło w medialnym krajobrazie. Jednak większość optymistycznych prognoz w obozie opozycji, związanych z wygraną Trumpa, ma źródło w bezpodstawnym przekonaniu, że nowy prezydent jest w jakiś sposób emocjonalnie zaangażowany po stronie Polski i – co jest świadectwem wspomnianej murzyńskości – że od zewnątrz pomoże PiS wygrać wybory. Żłudzenia co do międzynarodowych przyjaźni nie są wśród polityków PiS nowością – żeby przypomnieć tylko, jaką rolę odegrali w kreowaniu fatalnej strategii względem Ukrainy lub jak mocno były widoczne, gdy latem 2017 r. Donald Trump przyjechał do Polski i na placu Krasińskich wygłosił swoje słynne przemówienie, obliczone idealnie na połechanie czułych strun w duszach tubylców.

POKÓJ NA UKRAINIE?

Odchodząc od wyobrażeń polityków PiS o pozyskaniu potężnego protektora: W czym wygrana Donalda Trumpa może pomóc Polsce jako państwu? Przede wszystkim obchodzi nas wątek ukraiński. Trump w kampanii zapowiadał, że

błyskawicznie zakończy konflikt rosyjsko-ukraiński, i można założyć, że grunt pod spełnienie tej obietnicy zacznie przygotowywać jeszcze przed swoją styczniową inauguracją. Czy to się mu uda – to już inna sprawa. Natomiast zakończenie gorącej fazy wojny na Ukrainie byłoby dla Polski korzystne już choćby dlatego, że zmniejsza prawdopodobieństwo nawet przypadkowego wymknięcia się konfliktu spod kontroli wskutek czyszego błędu, o celowym działaniu nie mówiąc, co oznaczałoby wciągnięcie Polski do wojny. Skończyłyby się niemądre pomysły w rodzaju strącania rosyjskich rakiet przez polską obronę przeciwlotniczą nad terytorium Ukrainy. Polska mogłaby także zyskać jako miejsce inwestycji, bo byłaby uznawana za kraj bezpieczniejszy niż dotąd.

Jednak wątek ukraiński może oznaczać dla nas również największe potencjalne zagrożenia. Wyzbądźmy się przekonania, że jakkolwiek amerykański prezydent działa w interesie naszego kraju. Jeśli nawet tak się dzieje, to przy okazji realizacji interesu amerykańskiego, ale na pewno nie wbrew niemu. Dotyczy to szczególnie Donalda Trumpa, który reprezentuje szkołę twardego realizmu i polityki transakcyjnej. Swoją drogą już teraz można kupować popcorn, przy którym będzie można obserwować fikołki polityków PiS, które będą wykonywać, gdy nowy prezydent zacznie realizować plan zakończenia konfliktu na Ukrainie – co oczywiście będzie musiało oznaczać poniesienie przez nią kosztów terytorialnych. A więc coś, co dotychczas politycy partii Jarosława Kaczyńskiego w czambuł potępiali jako putinowską narrację.

Połączmy teraz fakty. Wołodymyr Zełenski już od jakiegoś czasu wysyła sygnały skierowane do potencjalnej nowej administracji Trumpa. Można założyć, że zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że nowy prezydent będzie dążył do wygaszenia konfliktu, i bez wątpienia rozumie również, że Ukraina będzie musiała za to zapłacić pozostawieniem pod rosyjską kontrolą przynajmniej części terytoriów, które obecnie kontroluje Rosja. Zatem prezydent Zełenski może mieć w tej sytuacji jeden cel: skłonić USA do objęcia pozostałej części jego kraju ochroną.

Pojawiają się przesłanki, że za tę ochronę będzie chciał zapłacić złożami naturalnymi Ukrainy, których wartość –

wliczając węgiel, ropę i gaz – jest obliczana na 26 bln dol. W tym mieści się 7 proc. światowych złóż tytanu, aż 20 proc. światowych zasobów grafitu i pół miliona ton litu. Jak przypomniał ostatnio „New York Times” – we wrześniu senator Lindsey Graham, bliski współpracownik Trumpa, z entuzjazmem odnosił się do składanej w tej sprawie ukraińskiej oferty, w filmiku nagrany wtedy z Zełenskim mówiąc: „Oni siedzą na minerałach wartych biliony, które mogą pomóc naszej gospodarce. Chcę więc nadal pomagać naszym przyjaciółom na Ukrainie”. Ukraina ma zatem czym Waszyngtonowi zapłacić – Polska nie dysponuje nawet ułamkiem tej cennej waluty.

Niestety, można wyobrazić sobie scenariusz, w którym Waszyngton inkasuje wynikające z tego korzyści, ale płaci swoimi sojusznikami. Byłoby to działanie w swojej istocie bardzo trumpowskie. Mało prawdopodobne jest, aby do strzeżenia ewentualnej linii rozejmu Donald Trump chciał wysłać amerykańskich żołnierzy, ryzykując ich bezpośrednie starcie z Rosjanami. Bardzo możliwe natomiast, że tę rolę będzie chciał powierzyć m.in. Polakom. Nie trzeba pisać, że byłoby to dla Polski gigantyczne ryzyko, nawet gdyby odbywało się to w ramach misji pokojowej, posiadającej międzynarodowy mandat. Nie powinniśmy się na to w żadnym wypadku godzić. Możliwe także, że USA zdecydują się udzielić Ukrainie jakichś gwarancji bezpieczeństwa w jej okrojonych granicach i również tutaj wyznaczą nam jakąś rolę. Także taki wariant byłby dla nas bardzo groźny.

Jednakże, realnie patrząc, trudno wyobrazić sobie zakończenie walk i terytorialny koszt dla Ukrainy z tym związany bez jakiegoś wynagrodzenia właśnie w postaci zapewnienia temu krajowi bezpieczeństwa na przyszłość. Wszak prezydent Zełenski musi również taki układ sprzedać jako własnym obywatelom. Dlatego z polskiego punktu widzenia optymalne byłoby, gdyby w tego typu gwarancjach w żadnej formie nie uczestniczył nasz kraj – ani poprzez wysłanie swoich wojsk, ani wiązanie się jakimiś zobowiązaniami. Ten ciężar powinno na siebie wziąć państwo, które taki układ wypracuje, a więc przede wszystkim USA, najlepiej w powiązaniu z tymi

partnerami z Europy, którzy mają interes w utrzymaniu pokoju – w tym z Niemcami czy Francją. Polska ma tutaj bardzo mocny argument w postaci kosztów, które już ponieśliśmy w związku z wojną i pomocą dla Ukrainy.

Nie wolno przy tym zapominać o ukraińskiej propozycji, sformułowanej przez prezydenta Zełenskigo podczas prezentacji „planu zwycięstwa” w Radzie Najwyższej w październiku, aby to ukraińscy żołnierze przejęli częściowo odpowiedzialność za zapewnienie Europy bezpieczeństwa. Można to rozumieć jako ofertę pod adresem Waszyngtonu, aby częściowo zastąpić żołnierzy amerykańskich ukraińskimi, która dla Donalda Trumpa może brzmieć atrakcyjnie, ale dla Warszawy jest nieakceptowalna choćby ze względów historycznych.

Polscy konserwatyści liczą również na to, że prezydentura Donalda Trumpa będzie potężnym ciosem w światowy ruch wokeistowski i pleniące się także u nas lewackie koncepcje. To przekonanie ma solidne podstawy. Trump wygrał wybory na mocnym kontrastowaniu się z tymi właśnie trendami, których symbolem jest, dzisiaj już przygasły, ruch Black Lives Matter. Jego konsekwencją był radykalny wzrost poczucia zagrożenia wśród Amerykanów, wynikający z kolei m.in. z trendów takich jak defund the police, czyli pozbawiania funduszy „opresyjnej” policji. Dodajmy do tego niekontrolowaną imigrację zza południowej granicy USA, epidemię fentanylu i powiązaną z tym epidemię bezdomności oraz wynikający z wokeistowskich obsesji wielopiętrowy absurd skrajnej poprawności politycznej, paraliżujący środowiska polityczne czy uczelnie wyższe, a dostajemy cały kompleks problemów wynikających z lewicowej agendy poprzedniej administracji, którym nowy prezydent obiecywał się przeciwstawić. I choć są to wewnętrzne problemy USA, to jednak uderzenie w nie będzie mieć wpływ globalny, mogąc osłabić te prądy również w Polsce.

Obraz nie jest jednak jednoznaczny. To nie kto inny jak Georgette Mosbacher, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce w latach 2018–2021 i przyjaciółka Donalda Trumpa, oznajmiła, że w sprawie LGBT Polska jest „po złej stronie historii” – wywołując zresztą

konsternację w szeregach wpatrzonych w Trumpa polityków PiS. To również ona podpisywała wspólne listy ambasadorów „postępowych” państw przeciwko dyskryminacji mniejszości, wspierając paradę równości. Tę linię kontynuował jej następca – Mark Brzezinski. Jak będzie to wyglądało tym razem – trudno powiedzieć. Jakąś nadzieję na odejście od tego typu praktyki daje osoba wiceprezydenta J.D. Vance’a, który najpewniej będzie odgrywał przy Donaldzie Trumpie istotną rolę już choćby dlatego, że 47. prezydent USA ma 78 lat.

NOWA WOJNA

Kolejny problem dla Polski to zapowiadany przez Trumpa ostry protekcyjny kurs. USA mogą oczekiwać od swoich sojuszników zajęcia jednoznacznej postawy w wojnie handlowej z Chinami, a mogą również rozpocząć taki konflikt z Unią Europejską. O ile to drugie nie jest na razie pewne – choć bardzo prawdopodobne – o tyle wojna gospodarcza z ChRL jest przesądzona.

Polska elita powinna się wywołać ze swojej fatalnej skłonności do poszukiwania protektora po tej czy innej stronie oceanu

Już poprzednia administracja wprowadziła 100-procentowe cła na chińskie samochody elektryczne. Polska natomiast była jednym z 10 krajów, które w Radzie UE zagłosowały za zaporowymi cłami na chińskie samochody sprowadzane do Unii – do dziś nie wiemy, dlaczego polski rząd podjął taką właśnie decyzję. Ponośmy już jej konsekwencje, ponieważ chiński Leapmotor zdecydował o wstrzymaniu inwestycji w naszym kraju.

Nasze interesy handlowe i polityczne nie są tożsame z interesami USA. Skrajny protekcyjizm z zasady nie jest dobry, ale szczególnie niekorzystna dla Polski byłaby próba zrobienia z nas forpoczty konfliktu handlowego z Chinami. Ucierpieliby na tym polscy konsumenci i wiele branż – choćby internetowa czy elektroniczna.

Tu znów trzeba przypomnieć, jak w czasach Trumpa i PiS zachowywała się ambasador Mosbacher. Był to standard raczej gubernatora prowincji niż ambasadora. Po kątach rozstawiani byli polscy ministrowie, przepychane były ustawy korzystne dla amerykańskich korporacji, takie jak „lex Uber”, a na żądanie ambasady przy Alejach Ujazdowskich władza rezygnowała z takich planów jak uderzenie w TVN, amerykańską własność.

Można założyć, że częścią polityki nowej administracji będzie ponowne położenie nacisku na własne interesy gospodarcze, z tym że tym razem, z powodu zmienionej w lutym 2022 r. sytuacji geopolitycznej, w grę wchodzi również zakupy amerykańskiego uzbrojenia. Nie zawsze optymalne i nie zawsze najtańsze. Wspomnijmy dla przykładu, że pod koniec października amerykańska państwowa Defense Security Cooperation Agency, koordynująca i kontrolująca eksport technologii wojskowych, oszacowała koszt modernizacji polskich F-16 na maksymalnie aż 7,3 mld dol., czyli ok. 30 mld zł, co jest ceną bardzo wysoką.

Przypomnijmy wreszcie, że to prezydent Trump podpisał w 2018 r. Just Act 447, czyli ustawę mającą wymusić korzystne dla środowisk żydowskich w USA rozwiązanie problemu bezspadkowego mienia żydowskiego w Polsce. Nic nie wskazuje, aby Donald Trump odmienił swój stosunek do ochrony interesów Izraela i lobby żydowskiego w USA.

W radości polskiej prawicy po wyborze Donalda Trumpa jest zatem sporo zrozumiałej emocji – „ale im pokazał!” – ta emocja może jednak zakłócać trzeźwą ocenę nadchodzącej prezydentury. Prezydent Trump będzie z pewnością bliższy ideowo polskiemu konserwatywnemu wyborcy, niż byłaby Kamala Harris, ale nie będzie zbawcą Polski ani naszym bezinteresownym dobroczyńcą. Będzie prezydentem USA realizującym amerykański interes. Polska elita powinna się wywołać ze swojej fatalnej skłonności do poszukiwania protektora po tej czy innej stronie oceanu i skończyć z dziecinnyimi złudzeniami, że ktoś nas pokocha za nasze bohaterstwo i szlachetność. Lecz przeskoczenie tego mentalnego ograniczenia przez większość polskich polityków wydaje się niestety z jakichś przyczyn niemożliwe.

Bardzo krótka pamięć Tuska



Zuzanna Dąbrowska-Pieczynska

Donald Tusk oskarżał Donalda Trumpa o powiązania z rosyjskimi służbami. Dziś twierdzi, że nigdy podobnych tez nie wygłaszał. Przykładów na antytrumpowską retorykę obecnego rządu jest więcej

Nie, tego typu sugestii nigdy nie zgłaszałem – stwierdził polski premier w odpowiedzi na pytanie dziennikarki „Tygodnika Solidarność”. Poprosiła Donalda Tuska o komentarz do jego własnych słów z marca 2023 r.

Wówczas w ramach kampanijnego spotkania z mieszkańcami Bytomia lider PO stwierdził: – Trump i jego zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to jest efekt dochodzenia amerykańskich służb. Nie wykluczają amerykańskie służby, że Trump został wręcz zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu.

Tusk ocenił też, że Trump i PiS to właściwie to samo. – Biden walczył z Trumpem w imię wartości, o których my dziś tutaj mówimy, a Trump bronił wartości na wewnętrznym rynku amerykańskim, które były stricte PiS-owskie. Tak naprawdę, pomijając stosunek do Rosji, jeśli zastanowicie się, co głosi Trump i PiS w sprawach wewnętrznych, stosunków do mniejszości, praw człowieka, wolności do słowa etc., to to jest 1:1 – powiedział.

Dziś, gdy wiadomo już, że to Donald Trump będzie 47. prezydentem USA, Tusk chce

sprawić, aby niewygodnych pytań nie było. Dziennikarka „Tysola”, która zapytała o słowo z 2023 r., miała usłyszeć od rzeczniczki premiera, że nie będzie już zapraszana na konferencje do KPRM.

Tusk zmienia ton. Bo dawniejszy „PiS-owski Trump”, będzie teraz twardym partnerem dla jego rządu. – Trump jako kandydat, polityk był dla wielu bardzo kontrowersyjny, ale demokracja, wyrok demokratyczny w wolnych wyborach – a takie mieliśmy w USA – to świętość. Taki rezultat to świętość, więc nie ma co spekulować, kto kogo mniej czy bardziej lubi w Europie i w USA – powiedział premier RP podczas konferencji prasowej.

Jednak pytań o to, jak będą wyglądały relacje na linii Tusk

– Trump, trudno nie zadawać. W samym rządzie panuje chaos w kwestii stosunków z prezydentem elektem USA. – Pan premier Tusk już dzwonił do prezydenta elekta, by mu pogratulować – poinformował w środę wieczorem wiceszef MSZ, Władysław Teofil Bartoszewski. – Zwyczajowo to są gratulacje i serdeczności, ale nie ma tam żadnych konkretów – dodał.

Sęk w tym, że taka rozmowa się w ogóle nie odbyła. – Nie było takiej rozmowy. Dzisiaj rano dowiedziałem się, że minister Bartoszewski przekazał taką informację. Będę wyjaśniał z ministrem Bartoszewskim, skąd mu to przyszło do głowy – dementował premier.

W 2019 r. obecny szef polskiego rządu zamieścił w mediach społecznościowych zdjęcie z Trumpem, na którym mierzył dłonią ułożoną w kształt pistoletu w plecy prezydenta USA. „Despite seasonal turbulences our transatlantic friendship must last” [„Pomimo sezonowych zawirowań nasza transatlantycka przyjaźń musi trwać” – przyp. red.] – tak podpisał fotografię. To zdjęcie to nie

fejk – Tusk zamieścił fotografię w swojej książce „Szczereze”. Jeszcze wcześniej, po wyborze biznesmena na pierwszą prezydencką kadencję, Tusk napisał na Twitterze: „Ostatni komentarz mojej żony: Jeden Donald wystarczy!”.

Sprawy nie ułatwia też Rafał Trzaskowski, walczący o prezydencką nominację. W dość lekceważący sposób wypowiedział się na temat Donalda Trumpa. – Dzisiaj Polski nie da się pominąć, jeżeli rozmawia się o bezpieczeństwie europejskim i światowym. Polska jest państwem absolutnie kluczowym, jeżeli mówimy o wspieraniu Ukrainy, jeżeli chodzi o geopolitykę w naszym regionie. Trump nie będzie miał wyjścia, będzie z nami utrzymywał stosunki – powiedział wiceszef PO, sugerując, że to prezydent USA będzie musiał dostosować się do wizji Warszawy.

W dużo lepszej sytuacji nie jest drugi aspirujący do fotela prezydenta polityk rządu Tuska, Radosław Sikorski. W 2018 r., w kontekście spotkania Duda-Trump, mówił tak: „Przestrzegalbym przed nadmiernym entuzjazmem, bo kolejni przywódcy, którzy mieli spotkania z Donaldem Trumpem, dzisiaj żałują [...]. Trump szuka pretekstu, żeby zniszczyć Światową Organizację Handlu, UE i NATO. On robi zamieszanie, bo lubi być w centrum uwagi. Chce, żeby jego tweety były popularne, żeby kamery były skierowane na niego”. Niedługo później nazwał Donalda Trumpa „protofaszystą”. Liczne, obraźliwe dla prezydenta elekta wypowiedzi ma na swoim koncie także żona Sikorskiego, Anne Applebaum. ©



Amerykane szykujący się na drugą wojnę domową” – pod takim tytułem tygodnik „The New Yorker” opublikował w ostatnim numerze, tuż przed wyborami prezydenckimi, długi reportaż o mieszkańcach USA, którzy chcą być gotowi na wszystko, również na siłowe rozwiązanie sporów politycznych.

Jednym z miejsc, które odwiedził reporter magazynu, było Fortitude Ranch (w wolnym tłumaczeniu Harde Ranczo), zbudowane na odludziu w stanie Kolorado. Na ranczu spotykają się ludzie, którzy szkolą się w surwiwalu i w przypadku załamania się struktur państwowych lub w innej nadzwyczajnej sytuacji chcą się czuć bezpiecznie wśród innych preppersów.

Ranczo prowadzi Drew Miller, emerytowany oficer US Air Force, który założył w Kolorado kilka podobnych miejsc, ale planuje również ekspansję do innych stanów. Okazuje się bowiem, że popyt na takie usługi jest coraz większy.

„Nie uśmiecha mi się życie bez bieżącej wody czy klimatyzacji albo ganiecie po lasach, ale jeżeli na horyzoncie pojawiają się czarne chmury, to mądry człowiek szykuje się na ciężkie czasy. Wojna domowa to na pewno jedno z zagrożeń” – powiedział reporterowi „The New Yorker” George, uczestnik szkoleń na Hardym Ranczu, który jest emerytowanym funkcjonariuszem CIA. Inny z członków tej grupy, mężczyzna przedstawiający się jako Pat, stwierdził, że traktuje ranczo jako polisę ubezpieczeniową. „Potencjał do rozpętania przemocy w naszym kraju napawa nas niepokojem” – wyznał reporterowi.

„PROGRESYWNI STRZELCY”

W bazie przygotowanej przez Millera każdy musi zapewnić sobie żywność na rok, ale na terenie rancza są też hodowane zwierzęta i uprawia się warzywa, więc grupa preppersów może tu spokojnie przeżyć przez dłuższy czas. Główną strukturą na ranczu jest wysoka wieża mieszkalna, z której doskonale widać, czy ktoś się zbliża, i która w razie czego może być wykorzystywana przez snajperów.

Licząca ok. tysiąca osób grupa preppersów, przygotowywana na ciężkie czasy przez Drew Millera, dysponuje dobrą infrastrukturą, całym arsenałem i know-how, ale według szacunków Fede-

Kolejna wojna domowa?



Piotr Włoczyk

Nie tylko amerykańska prawica dysponuje potencjałem do rozpętania chaosu. Najbardziej skrajni przeciwnicy Donalda Trumpa organizują się, zbroją i są w bardzo bojowych nastrojach. Stany Zjednoczone są tak głęboko podzielone, że już 40 proc. Amerykanów boi się, iż jeszcze za ich życia może dojść do jakiegoś rodzaju wojny domowej

ralnej Agencji Zarządzania Kryzysowego (FEMA) już 20 mln Amerykanów podjęło starania, by przyszykować swoje rodziny na czasy, gdy nie będzie można liczyć na państwo. Liczba ta zwiększyła się dwukrotnie od 2017 r.

Reportaż „The New Yorker” różni się jednak od innych tekstów o preppersach szkolących się na odludziu i przygotowujących infrastrukturę na ciężkie czasy. O ile bowiem zazwyczaj w takich artykułach chodzi o pokazanie, że zwolennicy amerykańskiej prawicy oszaleli i szykując się na chaos w USA, sami mogą wywołać wojnę domową, o tyle wspomniany reportaż ukazuje też, że lewa

strona podejmuje działania, które jeszcze do niedawna kojarzyły się jedynie ze zwolennikami ruchu MAGA. Okazuje się bowiem, że także po stronie progresywnej ogromnie wzrosło zainteresowanie bronią palną. Ostatnio głośno było o tekście „The Wall Street Journal” pt. „Najbardziej zaskakującą grupą posiadaczy broni są amerykańscy liberałowie”. W ostatnich latach po lewej stronie amerykańskiej sceny politycznej pojawiły się grupy w rodzaju „Progresywni strzelcy z L.A.” – organizacje zrzeszające posiadaczy broni sympatyzujących z Partią Demokratyczną. Już trzech na dziesięciu zwolenników amerykańskiej lewicy posiada broń.

Reporter „The New Yorker” rozmawiał z 43-letnim Bradleyem Garretem z Kalifornii, który jest w tych 30 proc. – wiosną kupił swoją pierwszą strzelbę. „Można sobie wyobrazić, że walki wybuchają w różnych miejscach w Stanach Zjednoczonych i strona progresywna będzie stała na straconej pozycji – powiedział Garret. – Ludzie o progresywnych poglądach generalnie nie są uzbrojeni i brakuje im przygotowania”.

Choć w Polsce zadawanie takich pytań w sondażach jest rzeczą niespotykaną, to w Ameryce od kilku lat publikowane są sondaże pokazujące, jak wielu mieszkańców USA obawia się wojny domowej.

I tak według sondażu Marist Poll z kwietnia tego roku 47 proc. Amerykanów uważa za bardzo prawdopodobny lub prawdopodobny wybuch wojny domowej w USA jeszcze za ich życia. Tymczasem taki scenariusz wyklucza tylko 14 proc. badanych. Jeżeli podzielimy respondentów na sympatie polityczne, to okaże się, że 53 proc. republikanów i 40 proc. demokratów twierdzi, iż takie zagrożenie jest realne. Inne sondaże potwierdzają, że nastroje są w tej kwestii coraz gorsze. Nic dziwnego, skoro od 2020 r. Amerykanie byli świadkami brutalnych zamieszek na ulicach największych miast po śmierci George’a Floyda, a także szturm na Kapitol w wykonaniu zwolenników Donalda Trumpa. Natomiast nie dalej jak cztery miesiące temu doszło do zamachu, w którym Trump o mały włos nie zginął.

LEKCJA Z HISTORII

Ameryka jest dziś spolaryzowana jak nigdy dotąd – można często usłyszeć z ust komentatorów. Taka teza ma jednak realne oparcie w rzeczywistości. Według badań Instytutu Gallupa już 80 proc. dorosłych Amerykanów uważa, że ich społeczeństwo jest bardzo głęboko podzielone w kwestii najważniejszych wartości, natomiast tylko 18 proc. badanych twierdzi, że naród jest zjednoczony. Jeszcze 20 lat temu, w 2004 r., 34 proc. Amerykanów twierdziło, że kraj jest zjednoczony, natomiast przeciwnego zdania było 64 proc.

Co więcej, sondaże pokazują też dosyć zgodnie, że ok. 20–25 proc. społeczeństwa uważa, iż dozwolone jest użycie przemocy, by naprawić sytuację polityczną w kraju (dwa razy więcej republikanów jest tego zdania niż demokratów, ale



również w tym ostatnim obozie średnio kilkanaście procent respondentów twierdzi, że przemoc jest w takiej sytuacji dopuszczalna).

– Rzeczywiście wydaje się, że napięcia są w Stanach Zjednoczonych tak wielkie, iż to wszystko może zmierzać w kierunku jakiegoś rodzaju wojny domowej – mówi „Do Rzeczy” John-Henry Westen, redaktor naczelny największego działającego w USA katolickiego portalu LifeSiteNews. – Jednak według mnie prawdziwym zagrożeniem jest w tym kontekście zwycięstwo republikanów. Wygrana Trumpa może bowiem sprawić, że lewica – i bez tego skłonna do bardzo agresywnych zachowań – może rozpętać falę przemocy na skalę niemającą precedensu. Przecież wszyscy widzieliśmy, jaka była reakcja lewicy w Portland w 2016 r. na pierwsze zwycięstwo Trumpa, i przyglądaliśmy się też temu, co się działo po śmierci George’a Floyda.

Wraz z miażdżącym zwycięstwem republikanów bardziej przytomni komentatorzy przestaną się zapewne zastanawiać,

do czego mogą posunąć się preppersi chodzący w czapeczkach „MAGA” – w końcu to ich opcja zdobyła szturm – wyborczym – Waszyngton. Na razie więc ich emocje powinny być pod kontrolą. Zamiast tego warto się teraz szczególnie blisko przyjrzeć skrajnej lewicy, która histerycznie zareagowała na powrót Trumpa do Białego Domu, a przecież w 2020 r. pokazała już, że jest w stanie podpalić kraj – i to całkiem dosłownie.

ANTIFA NA BARYKADACH

Amerykański dziennikarz Andy Ngo przeświecił dokładnie to środowisko, czego efektem była wydana w 2021 r. książka „Zdemaskowani: Kulisy radykalnego planu Antify zamierzającej zniszczyć demokrację” („Unmasked: Inside Antifa’s Radical Plan to Destroy Democracy”). Pod koniec pierwszej kadencji Trumpa to właśnie Antifa była główną siłą rozkręcającą chaos na ulicach amerykańskich miast, to właśnie ta bojówka skrajnej lewicy organizowała napady na posterunki policji i kierowała



Demonstranci przed Trump Hotel w Chicago dzień po ogłoszeniu wyników wyborów prezydenckich w USA. FOT. JACEK BOJCZARSKI/AA/ABACA/EAST NEWS

niejszy od potrzeb ludzi dookoła nas". Właśnie takim przekazem karmieni są młodzi Amerykanie o progresywnych poglądach, którzy stwierdzają, że chcą dołączyć do Antify, żeby wziąć w końcu sprawy w swoje ręce.

Co ciekawe, „Dlaczego wybijamy szyby...” powstał na bazie jednego wielkiego kłamstwa. Ten „przewodnik” Antify wydany został dekadę temu, przy okazji fali brutalnych protestów po zabójstwie czarnoskórego 18-letniego Michaela Browna, który zginął w Ferguson w Missouri z rąk białego policjanta Darrena Wilsona. Śmierć chłopaka doprowadziła do trwających kilka tygodni zamieszek, w których pierwsze skrzypce grała właśnie amerykańska Antifa. Płonące sklepy i samochody były widomym znakiem, że Antifa wraz z aktywistami Black Lives Matter (organizacja ta powstała rok wcześniej) wdrażają plan walki z „nierównościami”.

Dla protestujących przeciw śmierci Browna nic nie znaczyło to, że prokurator nie zdecydował się ostatecznie postawić policjantowi zarzutów, ponieważ wszystko wskazywało na to, że to Brown był agresorem, a funkcjonariusz strzelał w obronie własnej. Brown mimo to na trwałe wszedł do panteonu czarnych ofiar „systemowego rasizmu” w USA.

„Antifa wie, jaki efekt wywiera na mentalności tłumu wybijanie szyb, niszczenie biznesów i pożary. Każdy z tych aktów to jak krew w wodzie. W jednej chwili może ona zmienić protestujących w zadymiarzy” – pisze Andy Ngo.

Ten amerykański dziennikarz wietnamskiego pochodzenia brutalność Antify poznał na własnej skórze. 29 czerwca 2019 r. Ngo został zaatakowany przez Antifę w swoim rodzinnym Portland podczas relacjonowania demonstracji skrajnie prawicowej organizacji Proud Boys. Bojownicy Antify postanowili rozbić marsz Proud Boys, ale w czasie tego ataku celem stał się też Ngo. „Proces, który prowadzi od wybijania szyb do masowej grabieży i niszczenia budynków, nie zawsze jest tak spontaniczny, jak by się wydawało – pisze autor w swojej książce. – W rzeczywistości zamieszki w Minneapolis i innych miastach pokazują, jak naprawdę wyglądają plany ulicznej wojny Antify i jak jej aktywiści manipulują tłumami, by robili to, na czym im zależy”.

Do zagrożenia ze strony Antify odniósł się pod sam koniec swojej pierwszej kadencji Donald Trump. „Przemoc wywoływana przez Antifę – jak choćby rzucanie w policję ostrymi i płonącymi przedmiotami i podpalanie samochodów – jest niebezpieczna dla życia obywateli i dla samych fundamentów naszego Narodu. Te pełne przemocy akty podkopują prawa pokojowych demonstrantów, skutkują śmiercią obywateli, odbierają im wolność i niszczą ich własność, szczególnie tych najbardziej narażonych” – czytamy w deklaracji wydanej przez administrację Trumpa tuż przed oddaniem władzy Bidenowi. Republikański prezydent zapowiadał wtedy wyjęcie Antify poza nawias prawa, ale zaraz musiał oddać władzę Joe Bidenowi. Demokratyczny prezydent nie miał oczywiście ochoty iść w tej kwestii drogą Trumpa. Jeżeli wierzyć zapowiedziom prezydenta elekta, obiecującego ukrócić zapędy skrajnie lewicowych bojówek, to bardzo możliwe, że już w przyszłym roku Antifa zostanie przez Trumpa wzięta na celownik.

„Antifa, jej skrajnie lewicowi sojusznicy i użyteczni idioci przekonali opinię publiczną, że patriotyzm jest synonimem rasizmu i faszyzmu – pisze pod koniec swojej książki Andy Ngo. – Odrzucam takie myślenie i wzywam do tego samego wszystkich przyzwoitych ludzi. Ta książka jest nie tylko o Antifie, ale jest ona też w pewnym sensie listem dziękczynnym dla narodu, który przyjął moich rodziców, biednych uchodźców z Wietnamu, i pozwolił im zostać obywatelami jak wszyscy inni. Antifa chce zniszczyć amerykańską wyjątkowość, a także samo państwo. Niestety trzeba przyznać, że mają oni w tym kontekście pewne sukcesy na swoim koncie. Ci, którzy dają się zwieść ich sloganom o »antyrasizmie«, »antyfaszyzmie« i »równości«, powinni zobaczyć, jak w praktyce wyglądało w historii wdrażanie tych postulatów. Zawsze kończyło się na morzu popiołów, krwi i ruin”.

Proszaniem się o kłopoty ze strony Antify była desperacka próba przypięcia Trumpowi łatki faszysty na ostatniej prostej kampanii. Takie hasła to dla grupy posługującej się skrótem pochodzącym od słowa „antyfaszyzm” coś w rodzaju czerwonej płachty dla byka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Każdy z liderów Konfederacji wydaje się działać osobno. Swoje mówi Sławomir Mentzen, swoje Ewa Zajączkowska-Hernik. To nie składa się na spójny przekaz FOT. TOMASZ CZELL/PAP

Pod jednym względem nasza scena polityczna nie pasuje do światowego trendu. Oto w państwach, którym polityczną stabilność zapewniały przez wiele lat partie mainstreamowe, obserwujemy ich powolny upadek i wzrost partii radykalnych, antysystemowych – zarówno z lewa, jak i z prawa. Tak jest dziś w Niemczech, we Francji, a także – uwzględniając odmienną systemów politycznych – w USA. W Polsce natomiast oligopol PO i PiS, które to frakcje skutecznie wpisały się w emocje politycznych plemion wytworzonych przez mechanizm postkolonialny, ma się świetnie. Szczególnie po stronie rządzącej PO, która w szybkim czasie zdołała sprować koalicjantów do roli całkowicie niesamodzielnych „przystawek”. Dopiero ostatnio próbę wyłamania się i budowy lewicowej alternatywy podjęło środowisko Adriana Zandberga, ale ta inicjatywa

Konfederaci we mgle



Rafał A. Ziemkiewicz

W polityce, jeśli nie ma się klarownego przekazu, trzeba mieć przynajmniej charyzmatycznego przywódcę. Konfederacja nie ma ani tego, ani tego

już na starcie przetrącona została przez rozłamową grupę działaczek, które wolą jednak pozostać w zapewniającej im niewysoką, ale zawsze jakąś polityczną pozycję koalicji, niż wracać do politycznej partyzantki.

Sytuacja po stronie „prawicowej” tylko z pozoru wygląda bardziej „światowo”. Konfederacja po słabym wyniku w ubiegłorocznych wyborach odbudowała się w sondażach. Obecnie dają jej one regularnie 10 proc. głosów, „gdyby wybory parlamentarne odbyły się dziś”. Ale pamiętajmy, że to konstrukt teoretyczny – gdyby nawet doszło do przyspieszonych wyborów, poprzedziłaby je kampania wyborcza, która zwykle zaostrza u nas polaryzację i premiuje główne, „tożsamościowe” partie kosztem mniejszych starających się przekonać wyborców do takich czy innych racji programowych. A do przyspieszonych wyborów nie ma przesłanek i trzeba myśleć o polityce w kategoriach pełnej kadencji.

CZY TO WINA MEDIÓW?

Pytanie, z czym poszłyby do wyborów – poza plus minus 10-procentowym poparciem w sondażach – Konfederacja. Nie wydaje się, aby partia odrobiła lekcję, której udzielili jej wyborcy w październiku ubiegłego roku. Wtedy punkt startu był znacznie wyższy, w lipcu–sierpniu dzięki aktywności w mediach społecznościowych Sławomira Mentzena i deklaracjom najmłodszych wyborców popularność Konfederacji sięgnęła 15 proc. Jak wiemy, w głosowaniu pozostała z tego połowa. Dlaczego? Na to pytanie konfederaci nie udzielili sobie dotąd odpowiedzi, poza jedną: to skutek wrogości mediów zdemonizowanych przez oligopol PiS i PO.

Oczywiście media żyją z obsługiwanie emocji generowanych przez wojnę PiS z PO, nie ma co do tego wątpliwości, więc emocje te nakręcają. Te lewicowo-liberalne jeśli się Konfederacją zajmują, to w taki sposób, aby budować przekonanie, że to właściwie taki sam PiS, tylko mniejszy i jeszcze gorszy, te PiS-owskie – że to taka sama przybudówka PO jak partia Hołowni, tylko na razie „uśpiona”. A na dodatek „ruska agentura”.

Nie jest tajemnicą, że wśród oczekiwań, które żywi wobec „swoich” mediów prezes Kaczyński, to, aby nie odpuszczają w tępieniu Konfederacji, jest jednym

z najsilniejszych, a redaktorzy, którzy tego oczekiwania nie spełniają albo – co gorsza – wydają się z Konfederacją sympatyzować, budzą jego gniew, różnie się wyrażający.

Przyznać trzeba, że to media właśnie zadały partii Bosaka i Mentzena przed poprzednimi wyborami jeden z najsukceszniejszych ciosów – chodzi o wyprodukowane przez TVN spotkanie jakiejś efemerycznej grupki „redpillowców” (nigdy wcześniej ani potem nikt o organizatorach nagłośnionej w „Faktach” konferencji nie słyszał) dzielących się fantazjami o „trzymaniu krótko” kobiet, które właściwie nie do końca są ludźmi i powinno się je traktować jak inwentarz domowy. Dzięki umiejętnemu zagregowaniu tego „newsa” w zaprzyjaźnionych mediach TVN zdołał przedstawić to dziwne spotkanie jak oficjalny wiec

Przeptył elektoratu z PiS do Konfederacji, mimo tąpnięcia notowań tego pierwszego, nie istnieje

wyborczy Konfederacji i urobić jej „gębę” partii „antykobiecej”. Poniekąd stało się to na własne życzenie Konfederacji – gdyby na spotkanie to nie ściągnięto Korwin-Mikkego albo gdyby Konfederacja zdołała się wcześniej uporać z wizerunkowym problemem, który stanowi dla niej historyczny lider, medialny szwindel nie mógłby się udać.

Kolejny – już powyborczy – kryzys wizerunkowy, który wywołał Grzegorz Braun swym „happeningiem” z gaśnicą, pokazał, że bezradność partii wobec wyskoków jej pokładowych ekscentryków się nie zmniejszyła – a to znaczy, że w każdej chwili TVN lub kto inny może prowokację równie skutecznie powtórzyć.

STOLIK NIEPRZEWROCONY

Jednak odpowiedź „bo media były przeciwko nam” poza tym, że nacechowana bezradnością („Polityk, który narzeka na media, przypomina żeglarza narzekającego na wiatr” – mawiają Amerykanie) jest zwyczajnie fałszywa. Zarówno wspomniana wyżej akcja TVN, jak i atak

państwowej TVP Info, która na ostatniej prostej wyciągnęła taśmy, na których prezes NIK Marian Banaś obiecywał prof. Chmajowi, że Konfederacja pójdzie do PO, służyły głównie immunizowaniu własnych elektoratów PO i PiS, żeby nie uległy pokusie przeniesienia poparcia na Konfederację. Tym, co zredukowało jej wynik o połowę w stosunku do przedwyborczych sondaży, była absurdalna z punktu wyborcy obietnica „przewrócenia stolika” i solenna obietnica, że Konfederacja nie wejdzie w koalicję ani z jednymi, ani z drugimi, bo „PiS i PO to jedno zło”.

Ponieważ perspektywa zdobycia przez Konfederację samodzielnej większości parlamentarnej raczej nie była przez nikogo traktowana poważnie, dla prostego wyborcy stanowiło to ofertę: przyjdź i zgłośuj na nas, a my nie dopuścimy, żeby z tych wyborów cokolwiek wynikło, uniemożliwimy powstanie rządu i zafundujemy krajowi kilka miesięcy chaosu, po których będziesz znowu musiał fatygować się do punktu wyborczego.

Oczywistym efektem takiej postawy było przeniesienie połowy głosów w lipcu deklarowanych dla Konfederacji na Trzecią Drogę, która obietnicę „nowej jakości” połączyła z deklaracją, że przede wszystkim doprowadzi do zmiany władzy, wchodząc w koalicję z KO. Że nie będzie w tej koalicji w stanie zachować najmniejszej nawet odrębności, tego oczywiście wyborcy ci nie wiedzieli – dlatego teraz, rozczarowani, w znacznym stopniu do wyboru z lipca w sondażowych deklaracjach powracają. Mniej więcej połowa wyborców odchodzących od Trzeciej Drogi wskazuje Konfederację (druga połowa – PO) i jest to praktycznie jedyny istniejący przepływ na obecnej scenie politycznej. Poza nim notujemy tylko nieznaczne ruchy od każdej z partii „tożsamościowych” do sondażowej „poczekalni” i z powrotem. Natomiast przepływ z PiS do Konfederacji, mimo słabych notowań tego pierwszego, a wręcz ich „tąpnięcia” po „zjednoczeniu” w Przysusze, praktycznie nie istnieje i jest to вина błędnej polityki wizerunkowej tej ostatniej.

POLITYCZNA AMATORSZCZYNA

Uparcie trwając przy deklaracji „ani PO, ani PiS”, w praktyce znacznie mocniej akcentują Konfederaci swe pretensje

do PiS, choć to przecież PO rządzi od roku, i rządzi fatalnie. Po części jest to zapewne odreagowywaniem uporczywości, z którą media lewicowo-liberalne propagandowo „zaganiają” Bosaka i Mentzena do obozu Kaczyńskiego, nawet w swych sondażach, umieszczając ich partię w wymagowanym podziale na „partie demokratyczne” i „PiS z Konfederacją”.

Swoją rolę odgrywają też idiosynkrazje – zgodnie z „doktryną Kaczyńskiego”, która głosi, że na prawo od PiS nie może być nic niezwasalizowanego przez PiS, przez ostatnie lata narosły w sojuszu narodowców z wolnościowcami liczne urazy spowodowane sprawami, których dzisiaj nikt już poza nimi nie pamięta. I niestety Konfederaci nie potrafią się powstrzymać, żeby nawet bandyckie wejścia pseudo-prokuratorów Bodnara do siedziby Marszu Niepodległości nie uznać za okazję do wywlekania dawnych pretensji, że „w roku 2018 PiS i prezydent Duda chcieli przejąć Marsz”. Nawet gdy tego typu przypominań doznanych krzywd trudno odmówić zasadności (np. gdy komentując słowa oburzonego Jarosława Kaczyńskiego o bezprawnym wstrzymaniu PiS wypłaty dotacji budżetowej, Sławomir Mentzen przypominał, że dokładnie tak samo bezprawnie rząd PiS wstrzymał swego czasu dotację dla jego partii), wpisuje się w ten sposób Konfederacja w retorykę anti-PiS. I, co gorsza, wielu jej działaczy chętnie przejmuje też narrację o „złodziejach”, „dojeniu państwa” etc.

Wszystko to racjonalizowane jest faktem, że w poprzednich wyborach prezydenckich wyborcy Krzysztofa Bosaka podzieliли się w drugiej turze niemal po połowie pomiędzy Rafała Trzaskowskiego i Andrzeja Dudę. Tyle że przekonanie, iż należy w tej sytuacji trzymać równy dystans, krytykując jednych i drugich, to polityczna amatorszczyzna. Nie można być jednocześnie „anti-PiS” i „lepszym PiS”, a tylko jako „lepszy PiS” mogłaby Konfederacja przekonywać do siebie zniechęcony elektorat partii Kaczyńskiego. Tymczasem robi wszystko, aby wpisać się w antypisowski dyskurs liberalnej lewicy (bo gdy się wpisuje, jest cytowana w „wiodących” mediach), i jak pokazują wspomniane już badania, ma to skutek – przepływ z PiS do Konfederacji, mimo odwoływania się przez obie partie do z grubsza tych samych wartości, praktycznie nie istnieje.

Sondażowy elektorat Konfederacji wydaje się wciąż równie niestabilny jak ten z lipca ubiegłego roku

Pamięć wspomnianych wyborów, poparcia skleconego w połowie z „raczej PO”, lęk przed zniechęceniem do siebie tych wyborców, zdają się paraliżować partię, choć przecież dla każdego jest oczywiste, że był to wypadek jednorazowy. W sytuacji, gdy Tusk coraz ostrzej przechodzi na pozycję „woke”, szermuje aborcją i przejmuje agendę lewicy wraz z jej elektoratem, i gdy wiernie służy idei niemieckiego „państwa europejskiego”, realizacja jakichkolwiek postulatów programowych Konfederacji we współpracy z obozem dziś rządzącym jest zwyczajnie niemożliwa, a tym samym Konfederacja skazana jest na dogadanie się w ten czy inny sposób z PiS. Nie oznacza to, że partie muszą się kochać już teraz, ale ich liderzy (dotyczy to również chorującego na nabyte w dalekiej przeszłości antyendeckie i antykorwinowskie fobie Kaczyńskiego) mają obowiązek pamiętać o tym, by nie posuwać się do rzeczy, które przyszłą współpracę znacząco utrudniają.

Obecny sondażowy elektorat Konfederacji wydaje się wciąż równie niestabilny jak ten z lipca ubiegłego roku. Partia nie potrafi wykorzystać sprzyjających jej okoliczności. Nie potrafi przekuć atutu, którym jest jej konsekwencja w krytykowaniu Unii Europejskiej, w nic, co by przekonywało wyborców, że poza „jesteśmy przeciw” partia jest w stanie zaproponować jakieś konstruktywne pomysły, jak reagować na unijne uroszczenia i nadużycia. W efekcie PiS, mimo wszystkich swych „zasług” dla przyjęcia w Polsce klimatycznej agendy, zaczyna odbierać Konfederacji narrację eurosceptyczną z podobną łatwością, z którą po wybuchu wojny na Ukrainie Tusk, wcześniej krytykujący PiS za „skłócanie nas z Rosją”, odebrał mu narrację antyputinowską. I podobnie jak wtedy PiS, tak teraz Konfederacja nie potrafi sobie z tym poradzić, powtarzając tylko bezradnie: „Ale przecież to my przez tyle lat...”

W polityce, jeśli nie ma się klarownego przekazu, trzeba mieć przynajmniej charyzmatycznego przywódcę. Z tego punktu widzenia bardzo wczesne ogłoszenie kandydatury Sławomira Mentzena fatalnie wroży partii. Sam Mentzen nie ma cech przywódcy, słabo wypada w konfrontacji, nie potrafi błyskotliwie odpowiadać na trudne pytania. Nie bardzo też wiadomo, z jakim przekazem ma pójść do wyborów. Tradycyjna retoryka wolnorynkowa dawnej UPR w świecie wielkich korporacji, świecie Davos i Elona Muska, mocno się zestarzała, obniżanie podatków w sytuacji, gdy problemami zagrażającymi funkcjonowaniu państwa są gwałtownie spadająca ich ściągalskość i narastający deficyt, zaczyna być trudne do sprzedania. Kulturowo zaś przekaz Konfederacji jest i musi pozostać prawnicowy, i jeśli stratedzy Konfederacji sądzą, że uda się ten przekaz „sprzedać” elektoratowi PO tylko dzięki temu, iż okraśli się go pokrzykiwaniami, że PiS to „złodzieje”, to nie wiem, na czym te rachuby są oparte. Może się to skończyć tak, że w pierwszej turze wyborów prezydenckich Mentzen dostanie znacząco mniejsze poparcie, niż sondaże dają jego partii – a to byłby wstęp do katastrofy.

Czy zresztą istnieje ktoś taki jak „stratedzy konfederacji”? Do tej roli pretendował kiedyś Przemysław Wipler, ale po różnych dziwnych wypowiedziach, np. tonujących eurosceptyczny przekaz partii, trudno powiedzieć, jaki jest właściwie jego pomysł na konfederacką opowieść o przyszłej Polsce. Każdy z liderów partii wydaje się dziś działać osobno. Swoje mówi Mentzen, swoje Bosak, swoje Ewa Zajączkowska-Hernik. Niechby nawet żadnemu nie zdarzyło się powiedzieć nic złego (a wpadki się zdarzają) – to nie składa się na spójny przekaz.

Wydarzenia i nastroje społeczne wydają się Konfederacji sprzyjać jak nigdy wcześniej, a ta nie umie zrobić nic, by to wykorzystać. Tak jakby również ona uległa przekonaniu, że „wystarczy być”. A raczej w tym wypadku „wystarczy nie być”: wystarczy nie być PO ani PiS, to w końcu ludzie postawią na nas. Godzi się przypomnieć, że polityka przypomina piłkę nożną: od czasu do czasu ma się okazję strzelić bramkę i trzeba to zrobić właśnie wtedy, bo kolejnej okazji może już nie być.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Powrót Wiesława Walendziaka



Piotr Semka

Przez ponad 20 lat starał się nie rzucać się w oczy. Niechętnie udzielał wywiadów, omijał z daleka studia telewizyjne i z rozmysłem korzystał z luksusu pozostawania w cieniu. Pisały o nim głównie specjalistyczne rubryki biznesowe. I nagle, decyzją Zygmunta Solorza, wrócił na scenę na styku polityki i mediów. W końcu października otrzymał nominację na członka zarządu Polsatu, co rozbudziło na nowo emocje wokół jego osoby. Kim jest dziś Wiesław Walendziak?

Zmiany w Polsce. Były polityk PiS w zarządzie – tego typu tytuły (ten pochodzi z portalu Business Insider) zelektryzowały wszystkich internautów przewrażliwionych na punkcie ewentualnej rekonkwisty medialnej partii Jarosława Kaczyńskiego. Przewodnicząca Koalicyjnego Klubu Parlamentarnego Lewicy Anna Maria Żukowska biła na alarm na portalu X: „Powrót pampersów”.

Ale – co charakterystyczne – ani „Gazeta Wyborcza”, ani „Rzeczpospolita”, czyli dzienniki bardzo wyczulone na wpływ prawej strony na Polsat, tym razem nie kwapiły się do ogłoszenia żadnego alarmu. Przeważały raczej oszczędne informacje o zmianach w zarządzie najważniejszej medialnej firmy Zygmunta Solorza.

Jak się okazało, nawet 20 lat unikania politycznej i medialnej sceny nie zmie-

niło nawyku reagowania z trwogą na samo nazwisko Wiesława Walendziaka. Co z jego przeszłości powoduje, że wywołuje tak gorące emocje?

CHŁOPAK Z GDAŃSKIEGO WRZESZCZA

Polityką zainteresował się w trakcie nauki w gdańskim III Liceum Ogólnokształcącym, zwanym Topolówką. Nie pochodził z żadnego inteligenckiego czy profesorskiego domu. W światku nielicznej opozycji gdańskiej z przełomu lat 70. i 80. panował swoisty demokratyzm. Nie liczyło się, z jakiego domu kto się wywodzi, tylko czy potrafi zwrócić na siebie uwagę odwagą czy czytaniem. A najlepiej i jednym, i drugim. Wiesław Walendziak zawsze lubił podkreślać, że wywodził się z rodziny bardzo skromnej, mieszkającej w gdańskim Wrzeszczu. Jego ojciec był średniej rangi oficerem Ludowego Wojska Polskiego, co nawet mogło u niektórych opozycjonistów budzić pewną nieufność. Ale było coś takiego w tym 17-latk, że szybko zdobył uznanie w środowisku

Aleksandra Halla, który stworzył opozycyjny, konserwatywny Ruch Młodej Polski. Pracowity „Wiechu” szybko pochłoniął wszystkie dzieła patrona RMP Romana Dmowskiego i błyszczał w interesujących dyskusjach politycznych. Krótko mówiąc, doskonale się w tym środowisku odnalazł.

Jednak w odróżnieniu od wielu epigonów endecji w środowisku Halla Walendziak nauczył się dbałości o elegancję debat i zdobył umiejętność dialogu z innymi środowiskami opozycji, szczególnie spod znaku lewicy laickiej. Stosunkowo szybko poznał Adama Michnika, często bywającego w latach 80., w Gdańsku, a potem, w drugiej połowie lat 80. pracując w Spółdzielni Robót Wysokościowych, poznał absolwenta Uniwersytetu Gdańskiego Donalda Tuska.

Pierwsze polityczne rozczarowanie Walendziak przeżył w przełomowym roku 1989. Jego polityczny guru – Aleksander Hall – zaskoczył swoich młodszych kolegów polityczną niekonsekwencją. Najpierw odmówił kandydowania na listy OKP Solidarność w wyborach kontraktowych, gdyż oburzył się selekcją preferującą solidarnościową lewicę. A potem nagle przyjął zaproszenie do rządu Tadeusza Mazowieckiego, pozostawiając młodopolaków faktycznie samych sobie.

W odpowiedzi Walendziak zainicjował powołanie tygodnika „Młoda Polska”, który miał być polityczną kontynuacją młodej generacji RMP w rzeczywistości po pierwszych półwolnych wyborach. I szybko też zaliczył pierwszą lekcję ekonomii w nowych realiach. Wydawanie „Młodej Polski” wsparł cały areopag szacownych biskupów i szacownych profesorów, ale pieniędzy na wydawanie pisma starczyło raptem na rok. Walendziak nie mógł się w tamtych latach zdecydować, czy bardziej chce być politykiem czy dziennikarzem. W krótkim czasie był członkiem paru ugrupowań prawicowych, ale na stworzenie jakiegoś solidnego medium nie miał pieniędzy.

I wtedy zwrócił na niego uwagę Zygmunt Solorz, biznesmen o bardzo niejasnej przeszłości, który stawiał pierwsze kroki na rynku telewizyjnym. Przyszły magnat medialny zaproponował Walendziakowi funkcję dyrektora programowego i dyrektora generalnego stacji Polsat. W późniejszych wywiadach Walendziak twierdził, że wtedy, w 1993 r., nie bardzo nawet wiedział, kim był Solorz. Trudno



Wiesław Walendziak (na pierwszym planie) i Zygmunt Solorz (w środku) podczas konferencji prasowej w 1993 r.

FOT. PAWEŁ KOPCZYŃSKI/PAP

w to uwierzyć. Bardziej prawdopodobne było to, że młody konserwatysta wierzył, iż narzuci nastawionemu na zysk biznesmenowi konserwatywny styl w jego nowej telewizji. Walendziak wykonał ciężką pracę przy budowaniu pierwszego zespołu polsatowskich programów informacyjnych, ale chyba do końca nie był zadowolony ze swojego wpływu na stację, skoro odszedł po półtora roku.

NOWE OTWARCIE W TVP

Szczęście mu sprzyjało. Akurat wskutek szczęśliwego układu sił w nowo powołanej Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji pomiędzy konserwatystami, liberałami, ludowcami i postkomunistami wytworzył się consensus pozwalający na mianowanie go pierwszym prezesem TVP wybranym przez Radę. W tamtym czasie obawiano się zdominowania TVP przez dążącego do jak największej władzy prezydenta Lecha Wałęsę. Potrafiący żyć dobrze ze wszystkimi 31-letni wówczas Walendziak wydawał się optymalną kandydaturą.

Chłopak z Gdańska otworzył wrota telewizji publicznej dla grupy młodych konserwatystów zwanych potem „pampersami”. To takie osoby jak Maciej Pawlicki, Krzysztof Nowak, Waldemar Gąsper czy Andrzej Horubała przyciągnęli do telewizji takie medialne ikony prawej strony jak Wojciech Cejrowski, Rafał A. Ziemkiewicz czy Grzegorz Górny i środowisko „Frondy”. I za to otwarcie TVP na ludzi z prawej strony Walendziak został później wyklety np. przez środowisko liberalnej inteligencji. Furia z tamtego czasu dosięga go nawet dziś.

Dzięki swym talentom do dyplomacji młody prezes przetrwał na przesowskim fotelu dwa i pół roku.

W końcu wspólnym wysiłkiem postkomunistów, ludowców i lewicy postsolidarnościowej wysadzono go z siodła. Gdy prezydentura Wałęsy się skończyła, Walendziak spróbował szans w polityce. Z początku wydawało się, że wciąż ma status cudownego dziecka. Niektórzy widzieli go nawet w roli premiera. Ale ostatecznie został szefem gabinetu Jerzego Buzka, tyle że bez własnego solidnego zaplecza politycznego wypchnięto go z tego stanowiska po roku.

Są tacy, którzy twierdzą, że gdyby wtedy zaryzykował i spróbował stworzyć coś na kształt polskiej wersji Fideszu Viktora Orbána, dziś być może to on dyktowałby warunki na polskiej prawicy. Ale odwagi i determinacji nie starczyło.

Złośliwe powiedzenie głosiło potem, że Aleksander Hall bardzo chciał przezwodzić polskiej prawicy, ale nie potrafił. A Walendziak potrafił, ale nie do końca chciał. Próbował potem jeszcze swoich sił jako promotor kampanii prezydenckiej Mariana Krzaklewskiego, ale i tu poniósł porażkę. Nie udało się też inna inicjatywa, którą wspierał – Telewizja Familijna.

Podobnie jak wielu innych rozbitków po AWS trafił do PiS, ale nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu do funkcjonowania w partii rządzonej twardą ręką przez Jarosława Kaczyńskiego. Gdy na brak komfortu w polityce nałożyły się perturbacje rodzinne – w marcu 2004 r. podjął decyzję o odejściu z polityki.

I tak narodził się Walendziak – biznesowy menedżer. Długo czas pracował w koncernie Ryszarda Krauzego, a potem przeszedł do swojego starego znajomego – Zygmunta Solorza. I tu doskonale sprawdziły się jego liczne polityczne znajomości. Jego znakiem rozpoznawczym była dbałość o nierobienie sobie wrogów przy jednoczesnym deklarowanym propaństwowym pragmatyzmie. Dlatego z jednej strony potrafił zaznaczać swoją bliskość do obozu opozycji, a z drugiej – znajdować ścieżki do strategicznych polityków PiS. Starannie dbał jednak, by nikt go nie utożsamiał z wizerunkiem bezdusznego rekina wielkich korporacji. Po cichu wspierał różne idealistyczne inicjatywy, np. pomoc dla Tybetu okupowanego przez komunistyczne Chiny. Zaangażował się też w pomoc dla ciężko chorego na groźne schorzenie neurologiczne byłego „pampersa” – Piotra Pacholskiego.

W świecie biznesu szanowano go za fachowe zarządzanie, z nadania Zygmunta Solorza, projektem Zespołu Elektrowni Pątnów-Adamów-Konin.

NAGŁY POWRÓT

Dlaczego Zygmunt Solorz raptem przypomniał sobie o medialnej przeszłości Walendziaka i w nagłym trybie powołał go do zarządu Polsatu? Nietrudno odgadnąć, że to efekt nagłośnionego na przełomie września i października przez „Gazetę Wyborczą” konfliktu o władzę między Solorzem a trojgiem jego dzieci. Wiele mediów wyraźnie sugerowało, że po stronie usuwanych ze stanowisk synów miliardera stanąć miałyby rząd Donalda Tuska zainteresowany uzyskaniem wpływu na polsatowski imperium. Dodatkowym elementem miały być domniemane sympatie do PiS nowej żony Solorza Justyny Kulki i dziennikarki Doroty Gawryluk, odpowiedzialnej wcześniej za programy informacyjne. Walendziak został wstawiony do zarządu Polsatu, bo jest jednym z niewielu ludzi, któremu Solorz ufa.

Tym bardziej że już od ponad dwóch dekad trudno go utożsamiać z PiS. On sam jeszcze w latach 90. bez większych sentymentów zadeklarował, że epoka „pampersów” się zakończyła. „Żadne środowisko nie żyje dłużej niż pies – sześć-siedem lat” – mówił. Dawał jasno znać, że nie ma już ambicji jakiegokolwiek konserwatywnej rewolucji medialnej w żadnej telewizji.

Walendziak został wstawiony do zarządu Polsatu, bo jest jednym z niewielu ludzi, którym Solorz ufa

Walendziak w 2017 r. podpisał list byłych działaczy RMP, w którym protestowano przeciwko ograniczaniu przez PiS wolności sądów i niezawisłości sędziów. „Obecny czas wymaga od wszystkich zajmowania jednoznacznych postaw oraz patriotycznego zaangażowania” – brzmiał fragment listu podpisanego przede wszystkim przez Aleksandra Halla i tych byłych młodopolaków, którzy wspierali Platformę. List zdecydował się podpisać także Walendziak. Tyle że ten sam Walendziak potrafił w drugiej połowie drugiej kadencji rządów PiS wydeptywać ścieżki do ministra Jacka Sasina, który nadzorował politykę państwa w kwestii energetyki atomowej, którą biznesowo był zainteresowany Zygmunt Solorz.

Teraz jego rola nadzorcy programów informacyjnych i publicystycznych Polsatu nie będzie wymagała jakichś wielkich korekt w linii stacji. Piotr Witwicki, wyznaczony po zeszłorocznej wygranej Platformy na szefa polsatowskiej informacji i publicystyki, i tak już dba, aby stacja Solorza nie naraziła się zbyt wiele ekipie Tuska.

Jeden z polityków PSL mówi: „Solorz, wysyłając Walendziaka do zarządu Polsatu, co rusz powiewa gałązką pokoju w kierunku ekipy Tuska. Walendziak to człowiek, który ma bardzo bliską znajomość z Radosławem Sikorskim i potrafi załatwiać, co chce, z ludźmi z bezpośredniego otoczenia Tuska. Ale też zawsze dba o pewną dozę symetrii. Oferuje przyjazne rozwiązania, ale nie pozwala zapominać, że jednak jego głównym suwerenem jest Solorz”. Miejsce dla Walendziaka w zarządzie Polsatu to też swoista demonstracja, że znany biznesmen odsuwa na boczny tor Dorotę Gawryluk. W Polsce krążyła kiedyś uparta pogłoska, że w czasie, kiedy Solorz brał pod uwagę wsparcie prezydenckiej kandydatury Gawryluk, obiecywał jej wejście do zarządu Polsatu za jakiś czas. Dziś w to miejsce stawia osobę, która nie jest źle postrzegana w Platformie.

Jedna z dziennikarek Polsatu mówi: „Walendziak to mistrz elegancji i umiaru. Taki kot o aksamitnym futrze. Jest dyskretny i skuteczny w rozmaitych mediacjach. Nigdy nie idzie na żadne ostre konflikty. Zawsze woli rolę kogoś, kto łączy środowiska, a nie wymachuje siekierą”.

Ten koncyliacyjny charakter nominacji Walendziaka potwierdzają też na portalu Wirtualne Media życzliwe głosy ekspertów medialnych związanych z Platformą. Były prezes TVP Jan Dworak, który należał do przyjaciół Bronisława Komorowskiego, wręcz czuje się w obowiązku uspokajając obawy tych, którym nazwisko Walendziaka kojarzy się z epoką „pampersów”. Jak mówi: „Walendziak ideowo związany jest z prawicą, ale nie z PiS [...]. Myślę, że dla Polsatu to dobry biznesowo ruch”. Także Krzysztof Luft, który również utożsamiany jest z Platformą, wskazuje: „[Walendziak] ma przeszłość polityczną, ale sprzed 20 lat, i na pewno dłużej był dziennikarzem niż politykiem”. Tylko Robert Kwiatkowski, były prezes TVP z epoki dominacji nad polską polityką Sojuszu Lewicy Demokratycznej, kojarzy nominację dla Walendziaka z „zamieszczeniem wokół pani Kulki czy projektami dotyczącymi pani Gawryluk”. Gdy czytamy to zdanie jednej z osób dobrze znających wewnętrzne stosunki w Polsce, ta odpowiada ironicznie: „To tylko dowód, jak bardzo postkomuniści są dziś oderwani od źródeł informacji”.

Kolejny raz potwierdza się prawda, że Solorz ma w swoim otoczeniu ludzi na każdą okazję. Walendziak jest dziś znany Platformie jako ktoś, kto nie wejdzie jej w drogę, ale też platformersi wiedzą, że Solorza nie zdradzi. Dlatego mistrz przetrwania, którym jest Solorz, nominacją dla Walendziaka wyciąga rękę do zgody, ale jednocześnie demonstruje, że był w stanie przetrzymać atak medialny i dalszą grę prowadzić będzie jak równy z równymi.

Pytanie: Czy taki modus vivendi zadowolą ekipę Donalda Tuska? To, że 7 listopada do biur Polsatu weszli agenci CBA, którzy działając na zlecenie prokuratury, zażądali wydania dokumentów dotyczących umów pomiędzy Polsatem a TVP, zawartych za rządów PiS, niedwuznacznie dowodzi, że do uspokojenia napięcia jeszcze bardzo daleko.

RYSZARD GROMADZKI: Wraz z grupą posłanek i posłów Partii Razem wystąpiła pani z Koalicyjnego Klubu Parlamentarnego Lewicy, przechodząc do opozycji wobec rządu premiera Tuska. Co to znaczy być lewicową opozycją do nominalnie liberalno-lewicowego rządu? Co zdecydowało o pani kroku? Aspołeczny projekt budżetu na 2025 r., jak mówi o nim Adrian Zandberg, czy istotnych przyczyn było więcej?

PAULINA MATYSIAK: Nie nazwałabym tego rządu liberalno-lewicowym, raczej liberalno-konserwatywnym, biorąc pod uwagę rozkład sił. Bycie lewicową opozycją oznacza konieczność zajęcia stanowiska tam, gdzie polityka koalicji rządzącej rozmija się z postulatami społecznymi i równościowymi, które są fundamentem lewicy. Obecna polityka, w tym zaprezentowany projekt budżetu na 2025 r., wydaje się faktycznie bardziej aspołeczna niż prospołeczna, priorytetyzując wydatki, które nie służą wszystkim, a jedynie wybranym grupom. O wejściu do opozycji zdecydowało przede wszystkim poczucie, że trzeba działać zgodnie z wartościami, które są mi i partii Razem bliskie – walka o prawa pracownicze, godne życie dla każdego i wzmocnienie ochrony społecznej, która została zaniedbana w aktualnej wersji budżetu. Decyzja partii Razem jest odpowiedzią na perspektywę niespełnionych obietnic i braku progresywnego podejścia ze strony rządu.

Ze strony tej części środowiska partii Razem, która pozostała w klubie Lewicy i nadal popiera koalicję rządzącą, słychać było głosy, że łatwo jest być politycznym recenzentem, kiedy nie bierze się na siebie odpowiedzialności za politykę rządu. Przyjmuje pani tę krytykę?

Rozumiem tę krytykę, ale nie zgadzam się z nią w pełni. To nie jest tak, że będąc opozycyjnym ugrupowaniem, nic nie można. Posłanka opozycji ma narzędzia, z których może korzystać, by zwracać uwagę na istotne sprawy i problemy, które można rozwiązać. Tak działałam w poprzedniej kadencji, tak działam dalej. Razem z moimi współpracownikami podejmuję wiele interwencji, z którymi zwracają się do mnie obywatele. Dotyczą one bardzo różnych spraw: kwestii pracowniczych, mieszkaniowych, dotyczących jakości usług publicznych (np. lokalnego transportu) w konkretnych miejscowościach.

Wracając jednak do pytania: tu gra się w ogóle nie rozchodzi o to, czy ktoś chce



Z Pauliną Matysiak, posłanką Partii Razem
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie ma miejsca na podwójne standardy



FOT. KRZYSZTOF ŁUCZKOWSKI/FOCUS

czy nie chce być recenzentem rządu. Ja chętnie rząd będę chwalić, kiedy będzie za co. Popatrzmy jednak, w jakim miejscu jesteśmy po roku działalności tego rządu. Jego działania nie odpowiadają ideałom, które przyświecają partii Razem od początku jej istnienia. Odpowiedzialnością wobec wyborców i wartości, które wyznajemy, jest przeciwstawienie się tej polityce, gdy zaczyna rozmiąkać się z zasadami sprawiedliwości społecznej.

Czy postulaty partii Razem były realizowane przez rząd Tuska?

Nasze postulaty są realizowane w bardzo ograniczonym zakresie. Wsparcie dla osób o niższych dochodach, poprawa warunków pracy, wzrost wynagrodzeń w budżetówce, podniesienie wydatków na ochronę zdrowia czy poprawa dostępu do usług publicznych – te kluczowe lewicowe postulaty nie doczekały się konkretnych działań. A jeśli już się jakieś pojawiały, to w ograniczonej formie, jak np. ustawa o sygnalistach, która została okrojona przez liberalną część parlamentarzystów i część przygotowanych przepisów po prostu wyrzucono.

Czy w pani ocenie koalicjanci Platformy Obywatelskiej mają realny wpływ na politykę rządu czy są tylko przystawkami Platformy?

Niestety, obecna struktura koalicyjna sprawia wrażenie, że mniejsze partie są tylko „przystawkami” w tej koalicji. Ich wpływ na rzeczywistą politykę jest ograniczony, a Platforma Obywatelska jako największy gracz nie wprowadza – lub nie broni skutecznie – wystarczającej liczby progresywnych rozwiązań, co moim zdaniem tylko potęguje frustrację w centrolewicowym i lewicowym skrzydle koalicji. Ale ta frustracja nie przekłada się na odważne ruchy tych ugrupowań, bo ważniejsze wydaje się trwanie w rządzie, a nie walka o swoje postulaty. Dlatego też tak potrzebna jest merytoryczna, pracowita i lewicowa opozycja, która o sprawy ważne dla Polaków będzie walczyć. To zamierzam z pewnością robić jako posłanka należąca do koła Razem.

Będąc poza koalicją rządzącą, pozbawiacie się politycznej sprawczości. Stąd tylko krok do wejścia w rolę „kawiorowej lewicy”, żyjącej wygodnie z krytyki rzeczywistości z radykalnie progresywnej perspektywy.

Nasza obecność w opozycji nie oznacza, że zamierzamy zrezygnować z pracy na rzecz zmian w Polsce. Jak ja to widzę ze swojej perspektywy? Będę intensywnie działać, składać poprawki, podejmować prospołeczne inicjatywy i współpracować ze związkami zawodowymi i innymi organizacjami pozarządowymi. A przede wszystkim zamierzam, tak jak do tej pory, stać na straży interesu zwykłych ludzi i interweniować w ich sprawach. Upominam się np. o los Poczty Polskiej i jej pracowników, a także zatrudnionych w PKP Cargo, gdzie ostatnio podjęłam interwencję w sprawie kobiety, która otrzymała wypowiedzenie podczas urlopu macierzyńskiego. Nie widzę w tych przypadkach żadnej „sprawczości” tej części rządu, która w teorii powinna zatroszczyć się o tych ludzi. Ktoś musi wywierać presję i wskazywać na nieprawidłowości, a nie siedzieć cicho i udawać, że nic się nie dzieje. Na tym polega odpowiedzialna opozycja.

Mniejsze partie są tylko „przystawkami” w tej koalicji. Ich wpływ na rzeczywistą politykę jest ograniczony

Jakiego modelu polityki migracyjnej potrzebuje Polska? Czy nas na nią stać?

Polska potrzebuje modelu polityki migracyjnej, który opiera się na solidarności i odpowiedzialności przy jednoczesnym uwzględnieniu możliwości naszego państwa. Powinniśmy inwestować w integrację, edukację, wsparcie zawodowe dla migrantów i dążyć do stworzenia warunków, które pozwolą na budowanie różnorodnego, otwartego, ale spójnego społeczeństwa. Musimy postawić na silne służby, które do każdego przypadku podejść indywidualnie i z poszanowaniem praw i godności drugiej osoby – jeśli np. dana osoba ubiega się o azyl, to musi przejść procedurę weryfikującą: w efekcie czego uzyska azyl albo zostanie deportowana. Polska musi przestrzegać przepisów, także międzynarodowych konwencji, które ratyfikowała.

Zgodzi się pani z tezą, że zarówno rząd prawicy, jak i gabinet Tuska prowadzą bardzo ryzykowną

politykę w sprawie wojny na Ukrainie, której skutkiem może być wciągnięcie Polski w pełnoskalowy konflikt z Rosją?

Zgadzam się, że polska polityka zagraniczna w tej sprawie wymaga ogromnej ostrożności i strategicznego planowania. Wspieramy Ukrainę w walce o suwerenność, ale musimy jednocześnie pilnować, aby nasze działania nie niosły zbyt dużego ryzyka militarnego. Polska powinna skupiać się na wsparciu dyplomatycznym, humanitarnym i gospodarczym, jednocześnie współpracując z sojusznikami, aby unikać eskalacji konfliktu. To jest polska racja stanu.

Czy wobec Realpolitik realizowanej przez władze w Kijowie rząd powinien nadal realizować tak rozdęty program wielopoziomowej pomocy dla Ukraińców przebywających w naszym kraju na koszt polskiego podatnika?

Pomoc dla uchodźców powinna być kontynuowana, ale warto, aby rząd uczciwie rozliczał się z wydatków, a także stworzył system wsparcia, który będzie transparentny i uwzględni potrzeby zarówno migrantów, jak i polskiego społeczeństwa. Ważne jest, aby pomoc była zrównoważona, a środki były przeznaczone tam, gdzie są faktycznie potrzebne.

Warto nadmienić, że z danych GUS dotyczących zatrudnienia cudzoziemców w Polsce (na koniec maja tego roku ponad 1,024 mln obcokrajowców) wynika, że 693 tys. wśród nich stanowią Ukraińcy. Te osoby pracują, odprowadzają podatki, pracują na nasz dobrobyt.

Dlaczego pani zdaniem polskie władze milczą w sprawie ludobójstwa, którego armia Izraela dopuszcza się od roku w Strefie Gazy? Czy zbrodnie przeciw Palestyńczykom, które popełniają Izraelczycy, mają inny ciężar gatunkowy niż rosyjskie zbrodnie wobec ludności cywilnej na Ukrainie?

Polska nie powinna milczeć wobec tragedii, które dzieją się na świecie. Zbrodnie wojenne to zbrodnie wojenne, niezależnie od tego, gdzie mają miejsce. Jeśli stanowczo potępiamy działania Rosji w Ukrainie, to powinniśmy równie stanowczo domagać się zakończenia przemocy wobec Palestyńczyków. Jeśli w związku z popełnianymi zbrodniami nakładamy sankcje na Rosję, to to samo powinno się tyczyć Izraela. Nie ma tu miejsca na podwójne standardy.

Historia ataków na Antoniego Macierewicza jest niemal tak długa, jak jego działalność w polityce. Wydaje się, że był on, nie licząc Jarosława Kaczyńskiego, jednym z najczęściej i najmocniej atakowanych polityków PiS. Na przestrzeni lat, w zależności od potrzeb, zmieniano tylko amunicję, którą strzelano w byłego szefa MON. Stałe było tylko to, że atakowano bezpardonowo i często poniżej pasa. Dość napisać, że przez lata kolportowano m.in. ohydne insynuacje dotyczące rzekomego homoseksualizmu Macierewicza.

Kiedy tematem głównym była lustracja, z Macierewicza próbowano robić „oszołoma” i „wariata”, który „kompromituje sprawę”. Podobnej „argumentacji” używano zresztą, gdy mowa była o katastrofie smoleńskiej. Kiedy Macierewicz był likwidatorem Wojskowych Służb Informacyjnych, liberalno-lewicowe media zarzucały mu „polowanie na czarownicę”. Przed wyborami parlamentarnymi w 2015 r. przekonywano zaś, że to jeden z największych „rusofobów”, który po dojściu do władzy wraz z PiS „rozpęta wojnę z Rosją”. Dziś te same środowiska próbują oskarżać Antoniego Macierewicza de facto o bycie rosyjskim agentem i zdradę polskich interesów.

KATASTROFA SMOLEŃSKA

Ostatnie tygodnie przyniosły kolejne ataki. 24 października w obecności wicepremiera, ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza oraz wiceministra Cezarego Tomczyka odbyła się prezentacja raportu zespołu do spraw oceny funkcjonowania podkomisji smoleńskiej, który badał „legalność, gospodarność, celowość i rzetelność działania podkomisji, której w ostatnich latach przewodniczył Antoni Macierewicz”. Z treścią raportu można się zapoznać na stronie resortu.

Lista zarzutów i oskarżeń pod adresem Antoniego Macierewicza w nim zawartych jest długa. Zdaniem Kosiniaka-Kamysza celem podkomisji smoleńskiej nie „było zbadanie wszystkich możliwych hipotez dotyczących wypadku, lecz wybranie jednej wersji i udowodnienie jej”. W ocenie obecnego kierownictwa MON w podkomisji zasiadali ludzie „bez kwalifikacji”, którzy „mylili podstawowe pojęcia i procedury, a wnioski formułowane przez nich

Macierewicz na celowniku



Karol Gac

Najpierw MON zaprezentowało raport zespołu do spraw oceny funkcjonowania podkomisji smoleńskiej. Potem gen. Jarosław Stróżyk, szef SKW, przedstawił częściowe efekty prac tej komisji. W obu przypadkach najmocniej zaatakowano Antoniego Macierewicza



FOT. LESZEK SZYMANSKI/PAP

przeczyły prawom fizyki”. – Przeanalizowaliśmy i oceniliśmy ponad 180 tys. stron dokumentów jawnych, ponad 14,5 tys. kopii kart dokumentów finansowo-księgowych, ponad 7,5 tys. dokumentów niejawnych, a także ogromną ilość danych – ponad 15 terabajtów. Była to niezwykle czasochłonna praca, wymagająca dużego wysiłku od wszystkich członków zespołu – tłumaczył przewodniczący zespołu płk pil. Leszek Błach.

Wiceminister Tomczyk poinformował także, że kierownictwo resortu podjęło decyzję o złożeniu 41 zawiadomień do prokuratury dotyczących działalności podkomisji. Dwadzieścia cztery z nich odnoszą się do byłego przewodniczącego podkomisji Antoniego Macierewicza. Dotyczą one przekroczenia uprawnień w celu osiągnięcia osobistej korzyści, niedopełnienia obowiązków, działania wbrew przepisom ustawy, prawa

zamówień publicznych oraz finansów publicznych, ochrony informacji niejawnych, poświadczenia nieprawdy w dokumentach, braku właściwego nadzoru, niewykonania postanowień sądu, dopuszczenia osób trzecich do pracy w podkomisji, która była chroniona prawem, fałszerstwa dokumentów oraz łapownictwa, o którym pisze jeden z ekspertów podkomisji. Z kolei 10 z tych zawiadomień dotyczy byłego ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka, a inne – Bartłomieja Misiewicza i członków podkomisji.

Do konferencji szybko odniósł się Antoni Macierewicz, który stwierdził m.in., że szef MON i inne osoby popełniły przestępstwo, badając i analizując materiały podkomisji, nie zwróciwszy się w tej sprawie do sądu. – Istotą jest ochrona pana Putina. Istotą jest także ochrona polityki pana Donalda Tuska. To jest istotą całego tego przekazu, który dzisiaj ma miejsce. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent przekazów, które oni formułują, to są po prostu najnormalniej kłamstwa, dezinformacje, próby posługiwania się w sposób manipulacyjny naszymi tekstami, dyskusjami wewnętrznymi i sporami – wskazywał poseł PiS. I dodawał: – Pan Kosiniak-Kamysz formułuje przekaz, zgodnie z którym jestem człowiekiem pełnym nienawiści, podzieliłem naród polski, okłamałem naród polski. Na czym polega kłamstwo? Na czym polega podział? Na czym polega nienawiść? Na tym, że mówimy prawdę o zbrodni smoleńskiej.

ZDRADA DYPLMATYCZNA?

Drugie uderzenie przyszło za sprawą Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich w Polsce. Generał Jarosław Stróżyk, który służył w Wojskowych Służbach Informacyjnych zlikwidowanych przez Antoniego Macierewicza, przedstawił 30 października niepełne wyniki prac komisji.

Zarekomendowała ona m.in. „przekazanie zebranych materiałów prokuraturze celem dokonania oceny prawnokarnej pod kątem możliwości popełnienia przestępstwa zdrady dyplmatycznej przez Macierewicza”. Chodzi o przestępstwo opisane w art. 129 Kodeksu karnego: „Kto, będąc upoważniony do występowania w imieniu Rzeczypospo-

litej Polskiej w stosunkach z rządem obcego państwa lub zagraniczną organizacją, działa na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej...”. Grozi za nie do 10 lat pozbawienia wolności.

Rekomendacje komisji dotyczą decyzji byłego szefa MON o rezygnacji polskich sił zbrojnych z udziału w międzynarodowym programie zakupu samolotów tankowców umożliwiających tankowanie w powietrzu myśliwców wielozadaniowych F-16. – To była arbitralna, bezpodstawna, bezrefleksyjna, krótkowzroczna, nieuzasadniona i nieprzemyślana decyzja, zaskakująca dla Sztabu Generalnego i innych komórek, podyktowana zapewne w dużej mierze osobistą niechęcią do partnerów z Unii Europejskiej – mówił gen. Stróżyk.

41

TYLE ZAWIADOMIEŃ TRAFIŁO DO PROKURATURY W SPRAWIE PODKOMISJI SMOLEŃSKIEJ

Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Antoni Macierewicz podkreślił, że wycofanie się z programu „Karkonosze” było „absolutnie konieczne ze względu zarówno na cenę, jak i ze względu na to, że konsekwencje tego byłyby takie, że tą strukturą decydowałoby nasi sojusznicy, a nie my”.

W TV Republika Macierewicz tłumaczył: – Generał Stróżyk to były funkcjonariusz WSI, który następnie współdziałał w rozmowach z Rosjanami po roku 2007. To była sytuacja zupełnie skandaliczna. On zdecydował się działać w kierunku prorosyjskim i to rzecz, która nie może mieć zgody na to, żeby taki człowiek badał sprawy współpracy z Rosją, bo on sam jest odpowiedzialny za takie działanie. Ten aparat został stworzony po to, żeby nie mówić o odpowiedzialności Tuska za działanie na rzecz Rosji, współpracy z Rosją, dążenie do sojuszu rosyjsko-niemieckiego razem z Polską w latach 2007–2015.

Trudno nie odnieść wrażenia, że celem komisji gen. Stróżyka nie jest wyjaśnienie rosyjskich i białoruskich wpływów, lecz polityczny atak na

PiS. Sugerują to już „główne wnioski” z dotychczasowych prac, które zostały zaprezentowane opinii publicznej. Były to: zdrada dyplmatyczna, finansowanie przez Polskę rosyjskich wpływów w USA, niszczenie potencjału polskich służb specjalnych oraz zaniechanie przygotowań rządu RP do skutków agresji Rosji na Ukrainę w 2022 r. Oprócz tego komisja pracuje nad zagadnieniami dotyczącymi: eskalowania konfliktów polsko-ukraińskich, wchodzenia w niekorzystne dla Polski relacje gospodarcze, w tym zakupy rosyjskich surowców, powielania dezinformacji prowadzonej przez rosyjskie i białoruskie służby specjalne czy ulegania inspiracjom rosyjskim i białoruskim w prowadzeniu polityki zagranicznej.

Po konferencji gen. Stróżyka minister sprawiedliwości Adam Bodnar ogłosił, że zostanie powołany specjalny zespół prokuratorów do spraw związanych z Antonim Macierewiczem. Ponadto zapewnił o wsparciu resortu i stwierdził, że „jest poruszony ustaleniami”. Można się więc spodziewać, że to nie koniec problemów byłego szefa MON. Z kolei prawdziwym chichotem historii jest to, że współprzewodniczącą Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty złożył do prezydenta wniosek o odebranie Macierewiczowi Orderu Orła Białego, którym ten został odznaczony we wrześniu 2022 r. w dniu 46. rocznicy powstania Komitetu Obrony Robotników jako działacz opozycji antykomunistycznej i współzałożyciel KOR.

Antoni Macierewicz nie ma wątpliwości, gdzie leży źródło zarówno obecnych, jak i wcześniejszych ataków. „W 1992 r. jako minister spraw wewnętrznych zrealizowałem lustrację pokazującą, którzy ludzie z najwyższych stanowisk są współpracownikami służb specjalnych. To dla Tuska był szok, dlatego postanowił obalić rząd Jana Olszewskiego. Od tego czasu Donald Tusk prześladowa mnie nieustannie [...]. Dla Donalda Tuska, który jest silnym zwolennikiem Niemiec i Rosji, i moim zdaniem zależny w dużej mierze od obu tych państw, moje działanie antykomunistyczne dążące do siły armii polskiej jest zagrożeniem realizacji proniemieckiej i prorosyjskiej polityki. Wraz z innymi przywódcami PiS gwarantujemy, że do tego nie dojdzie” – ocenił.



FOT. ULF ANDERSEN/GETTY IMAGES

Frederick Forsyth był dla mego pokolenia kimś więcej niż autorem poczytnych książek – był symbolem. Jego głośne wczesne książki – „Dzień Szakala” i „Psy wojny” – stanowiły w latach 70. i 80. przedmiot gorącego pożądania, tropione w antykwariatach, na giełdach, wypożyczane po znajomości z bibliotek (znajomości potrzebne były, by wbić się między innych chętnych oczekujących). Potem czytaliśmy go w podziemiu, bo gdy w „Diabelskiej alternatywie” opisywał zmagania Zachodu z diabolicznymi Sowietami, cenzura PRL uznawała go za wroga ustroju. Słusznie. Był Forsyth jednym z niewielu pisarzy na Zachodzie pozbawionych złudzeń na temat zarówno intencji, jak i krwawej praktyki działań Moskwy. Zawsze kiedy miałem okazję przeprowadzić z nim wywiady (zdarzyło się kilka razy), odczuwałem głęboki niedosyt: Forsyth jest jednym z tych rozmówców,

Bezcenny outsider



Piotr Gociek

Reporter, buntownik, szpieg, pisarz – Frederick Forsyth ze swadą opowiada o swoim długim, wyjątkowym życiu i niezwyklej karierze

których ma się ochotę słuchać godzinami. Dobra wiadomość: w księgarniach pojawiła się autobiografia pisarza; nic, tylko się zaczytać i w głos Forsyth’a wsłuchać. „Outsider” ukazał się oryginalnie w roku 2015, ze smakowitym dwuznacznym podtytułem „My Life in Intrigue” – bo może chodzić zarówno o intrygi wymyślane na potrzeby bestsellerowych książek, jak i rozmaite tajne sprawy, którym Forsyth przyglądał się w prawdziwym życiu. To jeden z nielicznych pisarzy utrzymujących znakomite relacje z oficerami wywiadu, wpuszczany za zamknięte drzwi, do miejsc, do których dziennikarze nie mają dostępu.

DOPÓKI STARCZAŁO SIĘ

„Najlepszą metodą na poznanie jakiegoś zjawiska jest znalezienie najlepszego specjalisty w danej dziedzinie, spotkanie się z nim i długa rozmowa. Fachowcy bardzo chętnie dzielą się swoją wiedzą” – opowiadał Forsyth w rozmowie z „Do Rzeczy” (nr 4/2014). Podróżował do miejsc, które opisuje, przygotowywał obsesyjnie drobiazgowy research. Zbierając materiały do „Diabelskiej alternatywy”, pływał jachtem po Morzu Czarnym i badał morskie prądy. Pisząc „Czarną listę”, wędrował po Mogadishu. Przygotowując swą ostatnią powieść „Fox”, przyglądał się cyberwojnie prowadzonej w tajnych centrach zachodnich wywiadów. Czynił tak dopóty, dopóki starczało sił. Kiedy kilka lat później rozmawiałem z nim ponownie, przyznawał, że nie będzie już pisał, bo zdrowie nie pozwala mu na dalekie podróże, a bajerować bez researchu nie chce (25 sierpnia tego roku autor „Psów wojny” obchodził 86. urodziny).

Ale skąd wzięł się pisarz Forsyth? Miał być przecież pilotem, podróżnikiem, dziennikarzem. Pilotem zresztą został, zgłaszając się na ochotnika do RAF, by latać na myśliwcach. „W wieku trzydziestu jeden lat, kiedy wróciłem z wojny w Afryce i jak zwykle byłem załamany, bez pracy i bez szans na jakiekolwiek zatrudnienie, wpadłem na pomysł: napisać powieść, żeby spłacić długi” – pisze w „Outsiderze”. Tak powstał „Dzień Szakala”. Okazało się, że Forsyth ma wielki talent do opowiadania historii.

Transformacja dziennikarza w pisarza nie była jednak łatwa. To chwile, które pokazują, jakiego formatu człowiekiem jest Forsyth i co go ostatecznie ukształtowało, a zarazem odsłaniają bagno współcze-

nych mediów. Dla tych, którzy czytali kiedyś świetną książkę non-fiction Forsyth’a („Słowo białego człowieka”), ta historia nie jest nowością; inni poznają ją z „Outsidera”. W skrócie: wysłany jako reporter do Afryki Forsyth trafia w środek rebelii Białfy. Najpierw ze zdumieniem odkrywa, że przełożeni nie życzą sobie, by pisał prawdę o tym, co widzi, tylko by „dopasował się” do właściwej linii narracji. BBC tymczasem

nigdy nie powinien przyłączać się do establishmentu, bez względu na to, jak kuszące uwielbienie by mu to przyniosło. Naszym zadaniem jest rozliczanie władzy, a nie przyłączanie się do niej w świecie, który ma coraz większą obsesję na punkcie bożków władzy, pieniędzy i sławy; dziennikarz i pisarz muszą zachować dystans, jak ptak siedzący na poręczy, który obserwuje, zauważa, sonduje, komentuje, ale nigdy się

Wysłany jako reporter do Afryki odkrył, że przełożeni nie życzą sobie, by pisał prawdę o tym, co widzi, tylko by „dopasował się” do właściwej linii narracji. Wrócił nie tylko spłukany i bez szans na dalszą karierę w BBC, lecz także głęboko oburzony tym, że świat się dowiedział, nic nie powiedział, oraz skrajnie zniesmaczony światem polityki i mediów

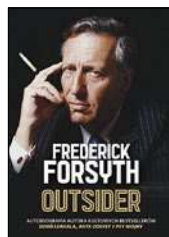
– idąc ręką w rękę z brytyjskim rządem – łotrów prezentowała jako ludzi porządną, a buntowników, którzy mieli aż nadto powodów do walki, jako bandytów, terrorystów itd. Potem Forsyth odkrył też, ile warte są rozmaite gwarancje Zachodu i obietnice pomocy dla ludzi cierpiących głód i opresję – otóż tyle, co nic.

Wrócił z Afryki nie tylko spłukany i bez szans na dalszą karierę w BBC, lecz także głęboko oburzony tym, że świat się dowiedział, nic nie powiedział, oraz skrajnie zniesmaczony światem polityki i mediów. „Wojna, która rzuciła 14 milionów Biafrańczyków przeciwko 34 milionom Nigeryjczyków, nie jest godna miana walki – to przejaw daremności, a polityka brytyjskiego rządu Partii Pracy, wspierającego klikę wojskową w Lagos, nie jest wyrazem tych wszystkich wartości, o których zachowanie Wielka Brytania winna zabiegać, ale ich odrzuceniem” – pisał w „Słowie białego człowieka”. Ludobójstwo, w którym główną bronią był głód, przyniosło półtora miliona ofiar. Hańba, którą okryła się polityka Zachodu, cóż, nie była pierwsza ani ostatnia w XX w.

Dopiero w świetle tych doświadczeń zrozumiemy w pełni, że Forsyth nie gra pod publiczke, kiedy we wstępie do swych wspomnień przypomina: „Dziennikarz

nie przyłącza. Krótko mówiąc, to outsider”.

Poświęcam tej kwestii wiele miejsca, bo jest dla zrozumienia Forsyth’a kluczowa. Jako początkującego reportera uczono go, by przestrzegał dwóch rzeczy: „poznaj fakty” i „opowiedz tak, jak było”. W świecie, w którym mediami rządzą ideologie oraz „narracje”, dla takich dziennikarzy miejsca nie ma. Nowym domem stał się więc dla Forsyth’a świat fikcji literackiej. Nie od razu. „Historia o Szakalu miała być czymś jednorazowym, czymś, co pozwoli mi przetrwać zły okres. Nie miałem najmniejszego zamiaru zostać powieściopisarzem” – opowiada o chwili, kiedy wydawca zakupił od niego tę powieść, ale chciał od razu podpisać kontrakt na trzy. Forsyth błyskawicznie musiał zastanowić się, o jakich historiach mógłby napisać, bo ma jako takie doświadczenie i wiedzę. Pomysł na książkę o najemnikach (rzecz oczywista – jego doświadczenia afrykańskie) zamienił się potem w „Psy wojny”. Historia o tajnej organizacji pomagającej byłym nazistom zasłyszana przez Forsyth’a w Berlinie (co ciekawe – Wschodnim) stała się z kolei podstawą do napisania powieści „Akta Odessy”. „Najpierw naziści, potem najemnicy. A pierwszy rękopis chcę mieć do grudnia przyszłego roku”



FREDERICK FORSYTH
„OUTSIDER”
ZONA ZERO 2024

– rzekł imć Harold Harris, wydawca. I dalej już jakoś poszło.

Forsyth poświęca trochę miejsca dziękom swoim najbardziej znanych książek, ale w odróżnieniu od autorów wielu innych pisarskich memuarów nie ma ochoty na jakiś wielki ekshibicjonizm z tym związany. Dużo ważniejsza w „Outsiderze” jest wielka galeria rozmaitych historycznych postaci, z którymi los skrzyżował jego ścieżki, a są to, trzeba przyznać, postacie nietuzinkowe. Dzięki temu np. opowieść o wędrówkach Forsytha po Izraelu (i, szerzej, po Bliskim Wschodzie) jest też opowieścią o jego znajomości z Dawidem Ben Gurionem, jednym z założycieli państwa Izrael i jego pierwszym premierem. A niespodziewana dziennikarska misja w Paryżu (Forsyth trafił tam z londyńskiego biura Agencji Reutersa, bo trzeba było pilnie zastąpić chorego dziennikarza) staje się okazją do podróży w międzynarodowym korpusie medialnym otaczającym prezydenta de Gaulle’a oraz do nawiązania ciekawych znajomości w świecie francuskiej policji i służb.

kolejne pół wieku, ileż fascynujących świadectw by nam pozostawił.

ZAWÓD SZPIEG

Forsyth miał także (czy może: miewał) jeszcze jedną profesję – szpiegowską. Nie była to robota na pełny etat, ale przy okazji premiery „Outsidera” w 2015 r. pisarz ujawnił, że ponad 20 lat współpracował z MI6, czyli brytyjskim wywiadem. Stawia go to w jednym szeregu ze znakomitymi kolegami po fachu, jak Graham Greene, Ian Fleming czy John Le Carré (przy czym ten ostatni był przecież szpiegiem zawodowym). Współpraca zaczęła się w czasach rebelii Biafry, kiedy brytyjski wywiad wykazał się dużo trzeźwiejszą oceną sytuacji niż rząd i zamiast wierzyć w doniesienia BBC, wołał zwerbować kogoś na miejscu, żeby wiedzieć, jak jest naprawdę. W książce Forsyth opisuje jedną z kolejnych przysług, które oddał tajnym służbom: „Był pewien agent, rosyjski pułkownik, pracujący dla nas głęboko we

Lecha Jęczyka: jeśli Forsyth pisze, że na biurku sowieckiego genseka po lewej stoi popielniczka, a po prawej popiersie Lenina, to znaczy, że tak jest. Forsyth, mistrz researchu, po prostu wie, o czym pisze.

PO WŁAŚCIWEJ STRONIE

Polacy mają jeszcze jeden powód, by darzyć Forsytha sympatią – nigdy nie miał złudzeń co do Związku Sowieckiego i później niepodległej Rosji. Jako jeden z pierwszych przestrzegał (w powieści „Ikona”) przed groźbą nowego rosyjskiego nacjonalizmu. W kolejnej wojnie światów, przeciw islamskiemu fundamentalizmowi, także był po właściwej stronie, oceniając nowego przeciwnika równie surowo jak niegdyś kagebistów. Nie zmienia to tego, że był bezlitosny w ocenie kompletnej indolencji amerykańskich polityków podczas planowania interwencji w Iraku i w Afganistanie. W ostatnich dekadach znajdował też czas na prasowe publikacje, w których z pasją bronił niezależności Wielkiej Brytanii (jest wielkim zwolennikiem brexitu) i oskarżał Unię Europejską o próbę zaprowadzenia na kontynencie nowej tyranii. Boris Johnson jawił mu się jako nowy Winston Churchill itd. Oczywiście doprowadzało to do wściekłości polityczne salony brytyjskie i unijne, ale skoro nie potrafiły wyciągnąć z tego wniosków, to tym gorzej dla nich.

„Outsider” jest skarbnicą anegdot i opowieści z długiego, barwnego życia jednej z tych osobowości XX w., do których doskonale pasuje sformułowanie „larger than life”. Autobiografię Forsytha przeczytać powinni i ci, którzy ciekawą są jego drogi pisarskiej, i ci, którzy chcą zajrzeć za kulisy polityki i historii. W natłoku jesiennych premier bez wahania wskazuję tę książkę jako wymarzony prezent świąteczny. I liczę, że może kiedyś Forsyth znajdzie czas, by rozszerzyć swe wspomnienia o kilka rozdziałów. Nie tylko w kwestii współpracy z MI6, lecz także życia prywatnego. Mało kto wie, że synową słynnego pisarza jest Polka. Inowrocławianka Patrycja poślubiła Shane’a Forsytha, syna pisarza, no i powiła autorowi „Dnia Szakala” wnuka Nicolasa. Działo się to już po brytyjskiej premierze „Outsidera”, więc z pominięcia tego fragmentu życiorysu jest Frederick Forsyth rozgrzeszony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polacy mają jeszcze jeden powód, by darzyć Forsytha sympatią – nigdy nie miał złudzeń co do Związku Sowieckiego i później niepodległej Rosji. Jako jeden z pierwszych przestrzegał (w powieści „Ikona”) przed groźbą nowego rosyjskiego nacjonalizmu

To te doświadczenia będą kluczowe podczas pisania „Dnia Szakala”. Tak jak chwile spędzone w miejscu nieudanego zamachu na francuskiego przywódcę – kiedy OAS niemal udało się de Gaulle’a zamordować, Forsyth był jednym z pierwszych dziennikarzy przekazujących relację. „Wiść dotarła do centrum Paryża około północy. Ja i reszta hordy prasowej udaliśmy się na miejsce zdarzenia i spędziliśmy resztę nocy na przeprowadzaniu wywiadów, obserwowaniu i przekazywaniu historii przez lokalne automaty telefoniczne” – zapisał Forsyth. Przyszły autor bestsellerów spędził w fachu dziennikarskim niespełna 10 lat, ale były to lata pełne gorących wydarzeń. I z jednej strony cieszyć się wypada, że zmienił profesję, bo nie mielibyśmy wielu znakomitych powieści, ale z drugiej strony trudno przez chwilę nie pomyśleć: gdyby jako reporter jeździł po świecie

wschodnich Niemczech, i miał paczkę, którą musieliśmy wywieźć. Stacjonował pod Dreznem. Nie mógł wyjechać na spotkanie poza Drezno. Wszystko zaczęło się okazywać nie aż takie proste. Drezno było daleko”. Był rok 1973, przebiegu misji nie zdradzę, poczytacie sami. Dodam tylko, że Forsyth mówił w roku 2015 także o swych sekretnych misjach w RPA i Rodezji (dziś Zimbabwe). Na pewno o wielu innych nie opowiedział.

W rewanżu przyjaciele ze służb podpowiadali pisarzowi, które fragmenty książek może zostawić bez zmian, a w których pewne sprawy lepiej pominąć, żeby nie wpaść w kłopoty. Jak widać, realizm Forsytha bywał czasem, hm... aż nazbyt realistyczny, choć jego powieści pozostają przecież dziełami pisarskiej wyobraźni. Ale wszystkie te doświadczenia, jawne i niejawne, w pełni uzasadniają stwierdzenie wygłoszone kiedyś przez

Faust wyjaśniony

FOT. MARTA ANKIERSTEN



Grzegorz Kondrasiuk

W Teatrze Narodowym Faruga z Holewińską „wyjaśnili” – jak to mówią młodzi – „Fausta”. Szatana brak, za całe zło tego świata odpowiada człowiek, a konkretnie – mężczyzna, ksiądz, rasista i antysemita

od lat robi to w teatrze – ze znacznie lepszymi efektami – Krystian Lupa). Faustem jest Cezary Kosiński, ze swym em-ploj, z dobrocią podsztytą niepokojem...

Ta decyzja obsad- wa ujawnia zamierzenia twórców – ma to być Faust skompromitowany, słaby, w dodatku o pedofilskich skłonnościach, którego należy w końcu unieważnić i ode- śłać do lamusa. Przebaczenia nie będzie. Nic nie zostało z przypowieści o próbie, którą za pozwoleniem Boga odbywa na człowieku szatan. Obecna już w Starym Testamencie opowieść, w historii Hioba, w wersji Goethego opowiada główne tematy europejskiego humanizmu, sny o wielkości. A u Farugi i Holewińskiej jesteśmy przeklętym stworze- niem, które wypuściło z siebie masowe morderstwa Żydów (absolutyzowane jako najwaz-

niejsze wydarzenie w historii świata), a były one możliwe dzięki wielowiekowemu patriarhatowi konserwowa- nemu przez Kościół. Naj- słynniejszy cytat z dramatu, który w oderwaniu krąży po świecie, ten o częstej złej siły, która czyni dobro („Kimże więc jesteś...?”), powraca tu jako lejtmotyw – i najwyraź- niej jest to zabieg ironiczny. Włożony do drugiej części apokryficzny „Hymn o perle”, znany dzięki przekładowi Czesława Miłosza, brzmi pu- sto, niewiarygodnie, jak pieśń o utraconym marzeniu.

Mniejsza o ten naciągany koncept, spektakl jest mę- czący i pretensjonalny. Przez niemal cztery godziny aktorzy z zaciętością godną lepszej sprawy wypowiadają ogrom tekstu, odgrywając z grubszą fabułą obu części dramatu. Istotniejsze od niej są jednak wyświetlane nad sceną, napi-

sane przez realizatorów tytuły scen. W efekcie mamy tu dwa porządki: wielka literatura jest przynięcioną wątpliwymi pomysłami inscenizacyjnymi. Słowo co rusz wydobywa się spod tego balastu, przedzie- ra się, zmusza do myślenia (szczególnie wtedy, gdy udaje się dłużej mówić Kosińskiemu; świetna jest też Małgorzata – Hanna Wojtosić. Jako jedna z niewielu tutaj do- kładnie wie, co ma grać, i ma to prosty, ofiarniczy, podbity feminizmem sens). Ale głów- nie przedzieramy się przez gęste strumienie obrazów teatralnych, którymi upaja się duet twórców, najwyraźniej zakochany w swoich pomy- ślach. Skoro za zło obarczamy Kościół (oczywiście katolicki, symbolizowany przez aktora stylizowanego na Jana Paw- ła II), to w „Nocy Walpurgi” pokażmy procesję połączoną z marszem SS, gdzie aktorzy w mundurach przy pieśniach i w dymie kadzideł padną krzyżem, a następnie tran- sowo będą uderzać dłońmi o podłogę. Skoro ofiarą są Żydzi, to ubierzmy Małgorzatę w płaszcz z opaską z gwiazdą Dawida na ramieniu. I tak dalej.

Warstwa popkulturowa ma być, zdaje się, czytelna dla li- cealistów (maturzyści potrze- bują coś o Fauście wiedzieć) i ogólnie dla młodych ludzi. Szczęście w nieszczęściu, że z tego bełkotu teatralnego niewiele się, poza ideologią, wyłania, a coraz częściej tego rodzaju uproszczenia są przez młodych odrzucane en bloc, jako element oficjalnego przekazu świata dorosłych ludzi. ©©

TEATR NARODOWY
J.W. GOETHE, „FAUST”
REŻYSERIA: WOJCIECH FARUGA
DRAMATURGIA: JULIA HOLEWIŃSKA
PREMIERA: 26 PAŹDZIERNIKA 2024 R.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Anioł zemsty



zualnych ekstrawagancji – scena, w której Edmond odnajduje skarb, mogłaby zostać napisana na potrzeby serii o Indianie Jonesie czy Bondzie. Zdjęcia Nicolasa Bolduca są wyśmienite, zauważmy, że to on nadaje kształt francuskiej reaktywacji Dumasa, bo był też autorem zdjęć w obu nowych filmach o d'Artagnanie i muszkietierach.

Na tym tle tym wyraźniej odcina się dramat nieszczęsnego Monte Christo, któremu wydaje się, że zastępuje opatrność w karaniu łotrów. Bardzo szybko staje się przecież figurą tragiczną, bo zarówno dzika furia skrzywdzonego Dantésa, jak i planowana na zimno zemsta hrabiego Monte Christo niszczą jego duszę, pożerają człowieczeństwo. Zamiast niszczyć zło, zaczyna je rozsiewać. Pamiętacie dobrze tę historię, więc wiecie, że zdoła się opamiętać. Ale czy zasługuje na szczęśliwą emeryturę? Twórcy filmu są w tej kwestii mniej jednoznaczni od autora powieści. ©©



★★★★★
REŻ. MATTHIEU DELAPORTE, ALEXANDRE DE LA PATELLIÈRE
„HRABIA MONTE CHRISTO” („LE COMTE DE MONTE-CRISTO”)
FRANCJA 2024

W odróżnieniu od autorów ostatnich adaptacji „Trzech muszkietierów” twórcy nowej ekranizacji powieści „Hrabia Monte Christo” pozostają wierni duchowi książki Aleksandra Dumasa. Pewnych skrótów i zmian trzeba było dokonać, by zmieścić historię w trzygodzinnej produkcji, dołożono też nową postać kobiecą, w centrum dramatu pozostaje jednak gniew zdradzonego Edmonda Dantésa, który rzuca Bogu w twarz, że odtąd sam będzie wymierzał sprawiedliwość.

Widowisko jest wystawne, a obsada świetna – Pierre Niney dobrze wypada i jako zakochany młodzieniec, i jako ponury mściciel, na ekranie promienieje Anamaria Vartolomei jako pomagająca mu

w zemście Haydée. Ojca Farię zagrał uwielbiany przez włoskich widzów Pierfrancesco Favino. Nowe pokolenie twórców mierzy się z legendarnym dziełem Dumasa – współreżyserem wersji, która podbiła w tym roku francuskie kina, jest Alexandre de La Patellière, którego ojciec, Denys de La Patellière, reżyserował telewizyjną miniserię z 1979 r. (z Jakiem Weberem w roli głównej).

Jako że mamy do czynienia z wersją zrzęcznie skróconą, to brak całych wątków (choćby włoskich piratów), a barwna panorama Paryża została ograniczona do obrazków z życia wrogów Dantésa. Twórcy filmu nie szukają jednak gryzącego realizmu, lecz fantazji, melodramatyzmu, wi-

GRA TYGODNIA: „SUPER MARIO PARTY JAMBOREE”

Szczęśliwa trzynastka! „Super Mario Party Jamboree” to 13. główna odsłona serii i jedna z najlepszych gier w historii tego cyklu. Ogromny wybór minigier i szeroka gama 22 grywalnych postaci, bardzo kreatywne i rozbudowane plansze, humor, płyn-

ność i kolory – wszystko to sprawia, że gra ma szansę stać się tytułem, po który bardzo często będziecie sięgać na spotkaniach z przyjaciółmi czy podczas niedzielnego rodzinnego grania. Aktywności są pomysłowe, nie przerażą osób okazjonalnie sia-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dających przed konsolą, nie powinny znużyć wyjadaczy. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** zrzęcnosciowe, towarzyskie/rodzinne
- **Platforma:** Nintendo Switch
- **Producent; wydawca:** Nintendo

★★★★★

Wpiekłowstąpienie

35mm  .online

Andrzej Łapicki, urodzony równie 100 lat temu, swój romans z X muzą oceniał surowo. Z wyjątkiem występów w filmach przyjaciela. Z Tadeuszem Konwickim nadawali na tych samych falach. Razem spędzali wakacje w Chałupach, które ktoś obdarzony dużym poczuciem humoru nazwał polskim Saint-Tropez. Reżyser z pokreconą, akowsko-partyjną biografią pomógł Łapickiemu w rozszerzeniu aktorskiego emploi. Wcześniej obsadzano go w rolach bawidamków, milicjantów lub w najlepszym razie szpiegów amerykańskich. U Konwickiego na początek zagrał karykaturalnego uwodziciela w „Salcie”, a potem przyjął rolę przeznaczoną pierwotnie dla Gustawa Holoubka. W somnambulicznym dramacie „Jak daleko stąd, jak blisko” pan Andrzej wcielił się we współczesnego Orfeusza, który filozofuje i rozmawia z duchami.

Film jest bliskim krewnym „Zaduszek” i powieści „Wniebowstąpienie” wydanej rok po tym, jak Konwicki wypisał się z PZPR. Bohater, alter ego reżysera, jest nękany wyrzutami sumienia i nie umie się pogodzić z tym, że świat, w którym się wychował



★★★★★

REŻ. TADEUSZ KONWICKI
„JAK DALEKO STĄD, JAK BLISKO”
POLSKA 1971

wyst. Andrzej Łapicki, Gustaw Holoubek, Maja Komorowska

i dorastał, minął bezpowrotnie. Na ekranie teraźniejszość miesza się z przeszłością, wizja katolicko-prawosławno-żydowskiej Wileńszczyzny z obrazkami typowymi dla epoki wczesnego Gierka (huta szkła, rzeźnia, pochód pierwszomajowy) tudzież obsesją na tle warszawskiego Pałacu Kultury. Autor pozwolił sobie na kpiny z funkcjonariuszy MO tudzież aluzje do inwigilacyjnych praktyk służb, nieużywających mundurów. „To jest dzieło sztuki, ja się nie czuję w prawie cenzurować” – miał powiedzieć urzędnik wydający zezwolenia na wyświetlanie filmów w kinach. Inni towarzysze nie byli tak wspaniałomyślni. Skazali najlepszego film Konwickiego na żywot na wpół konspiracyjny. Natychmiast po premierze zdjęto go z ekranów, aż do

upadku PRL nie był pokazywany w telewizji ani za granicą, choć dyrektor festiwalu w Cannes ponoć był bardzo zainteresowany. Nie zaistniał więc w świadomości widzów ani w 1971 r., ani później. Jest obiektem kultu w wąskim kręgu amatorów kina magicznego, chociaż Konwicki zawsze uważał się za realistę i twierdził, że w jego filmach nawet duchy wyglądają i zachowują się, jakby byli ludźmi z krwi i kości. ©©

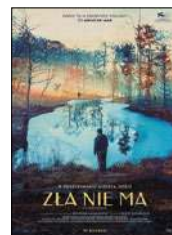
Wiesław Chelminiak

NIE BÓJ LASU

KINO

Takumi wodę czerpie wprost ze strumienia, pali w piecu własnoręcznie porąbanym drewnem. Przedstawia się jako „lokalny fachowiec” i chętnie wspiera takich jak on outsiderów, którzy zamiast kariery wybrali życie w symbiozie z naturą. Na pogodnym, zimowym niebie pojawia się jednak czarna chmura. Biznesmen z Tokio chce zbudować na skraju kniei glamping na 64 osoby. Czyżby Hamaguchi się ustatkował i filmem o konflikcie wielkomiejskich korporaludków z amatorami dzikiego wasabi zgłasza akces do mainstreamu? Nic z tego, już od początku sygnalizuje, choćby niemrawym tempem narracji i sposobem, w który ustawia kamerę, że schematy kina zaangażowanego ma w pogardzie. Fabuła, zamiast się klarować, meandruje. Niejasne (również w dosłownym sensie) zakończenie sprawia zaś, że widz może się poczuć zrobiony w jelenia. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. RYŮSUKI HAMAGUCHI
„ZŁA NIE MA”
JAPONIA 2023

wyst. Hitoshi Omika, Ryūji Kosaka, Ayaka Shibutani

DO ZOBACZENIA

Plagiat wszech czasów?



RADOSŁAW
WOJTAS

GDZIE? Muzeum Narodowe we Wrocławiu

KIEDY? do 23 lutego 2025 r.

Czy historycyzm to wyłącznie naśladownictwo wcześniejszych stylistyk? Tytuł wystawy – „Plagiat wszech czasów. Historyzm w meblarstwie” – mógłby to sygnalizować, lecz prawdziwym jej celem jest udowodnienie, że tak nie jest.

Ekspozycja poświęcona przede wszystkim meblarstwu drugiej połowy XIX i początku XX w., ale na jego przykładzie ukazuje najważniejsze nurty inspirowane



FOT. MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

dawnymi stylami występujące wówczas w architekturze wnętrz i rzemiośle artystycznym.

Odkąd od połowy XIX w. pojawiły się nowoczesne maszyny i materiały, artyści zaczęli wykorzystywać je do naśladowstwa dzieł dawnych mistrzów. „Ta postawa nie wynikała z braku pomysłu na nowe formy artystyczne, ale z konieczności oswajania się z nowymi wyzwaniem diametralnie zmieniającego się świata”.

Ekspozycji towarzyszy katalog, efekt wieloletnich badań kuratorki Małgorzaty Korżel-Kraśnej. ©©

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Krzyk **wniebogłosy**

Edvard Munch (1863–1944), twórca „Krzyku”, jednego z najsławniejszych i z pewnością najbardziej rozpoznawalnych obrazów w dziejach malarstwa, jest bohaterem najnowszej książki Marty Motyl, znanej już ze „Sztuki prowokowania” czy „Sztuki fantazjowania”, pozycji ciekawych i zdecydowanie nadto emocjonalnych. Tak jest i tym razem. Po lekturze jesteśmy pewni, że Munch to rzeczywiście, „nie tylko Krzyk”, zaznajamiamy się z błyskotliwymi interpretacjami jego dzieł, poznajemy też życie norweskiego malarza, niejednoznaczne i skandalizujące. Niestety, czytelnik musi cierpliwie znosić osobliwości stylu autorki (ktoś tam miał doświadczenie, więc autorka dodaje: „oj miał”, inni, czego nie lubią, więc uzupełnia frazę o „oj nie lubią”, i tak na okrągło) i nadmierne odwoływanie się do tekstów piosenek raczej przypadkowo wybranych.

Ale mamy tu także m.in. polski wątek, niewielki, ale znaczący. Chodzi o Stanisława Przybyszewskiego, legendę modernizmu, przez Strindberga nazywanego „genialnym Polakiem”, a w kraju rodzinnym fetowanego nad wyraz. W życiu prywatnym był jednak – jak go dosadnie nazwał przyjaciel (do czasu) Ignacy Sewer Maciejowski – szuja i szubrawcem. Otóż w 1893 r. poślubił on pianistkę Dagny Juel, tworząc z nią i nie z nikim innym jak Edvardem Munchem nader interesujący trójkąt. Dagny wytrzymała z mężem nie za długo, później będzie do niego wracać, aż w końcu wsadzi ją Przybyszewski do pociągu do Tyflisu z innym swoim przyjacielem, a ten zabije ją i siebie. Ciekawie na ten temat pisała niedawno Anna Kaszuba-Dębska w książce „Przybyszewska/Pająkówna. Głuchy krzyk”. A Munch

uwieczni „Stacha” na reprodukcowanej w książce wśród innych jego obrazów „Golgocie”.

Po tym, jak w 2004 r. z przyciasnego i – jak miało się okazać – źle zabezpieczonego Muzeum Muncha w Oslo skradziono kanoniczne wersje najsłynniejszych dzieł artysty: „Krzyku” i „Madonny” (dwa lata po kradzieży odzyskano je), powstanie nowej siedziby dla placówki stało się nieodzowne. No i trzy lata temu Norwegowie doczekali się... niemal natychmiast uznając nową wielką bryłę Munchmuseet za najbrzydszy budynek w kraju. I rzeczywiście, przy tym obiekcie nawet w naszym warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej, popularnie zwanym „klockiem Trzaskowskiego”, doszukać się można finezji i gracji. Tyle że w Oslo nie postawiono koszarnej bryły za, w przeliczeniu, 1,2 mld zł w samym centrum metropolii, a w dawnych dokach nad fiordem zamienionych w salon artystyczny, bo obok znajdują się gmachy i Opery, i Biblioteki Miejskiej, a także Muzeum Narodowe.

W każdym razie miejsca dla zaprezentowania zgromadzonych w Muzeum Muncha 28 tys. dzieł artysty i pamiątek po nim nie powinno teraz zabraknąć. A że – jak skomentował sprawę w „Guardianie” ekspert od architektury i designu Oliver Wainwright – budynek Muzeum Muncha sprawić może, że będzie się chciało krzyczeć, to w odniesieniu do sztuki twórcy „Krzyku” wydaje się to naturalne. Innymi słowy, powiada Marta Motyl, „Munchmuseet prowokuje, jak na muzeum malarza prowokatora przystało”. Oczywiście artysta prowokował wcześniej, zanim uznany został za norweskie dobro narodowe.

Jednak współcześnie kolejnych prowokacji nie brakuje, pomniejszych, a może i nie. Oto w czerw-

cu 2022 r. przed gmaszyskiem Munchmuseet stanęła mierząca 9 m i ważąca 18 t rzeźba zatytułowana „Matka”, przedstawiająca nagą kłęzczącą kobietę. Jaki związek z twórcą „Krzyku” ma to dzieło Tracey Emin, urodzonej dokładnie 100 lat po Munchu, w 1963 r.? Ano taki, że rzeźbiarka podobno zakochała się w nim, a uwiecznić chciała zarówno swoją, jak i jego matkę, która przyszedłemu malarzowi osierociła, umierając na gruźlicę, gdy ten miał pięć lat. Coś tu się jednak nie zgadza. „Laura Munch zmarła młodo – czytamy w książce Marty Motyl – a przed Munchmuseet stanął posąg kobiety w podeszłym wieku. Zapięta po samą szyję i powściągliwa na fotografiach Laura jest w rzeźbiarskim wydaniu obnażona i rozchyła nogi. Poza ma ponoć świadczyć o gościnności Matki dla przyjmowanych, nadciągających od strony fiordu podróżnych. Czy jednak publiczne prezentowanie siebie – czy nawet siebie symbolu – w taki sposób odpowiada XIX-wiecznej purytance?”.

Kto by się jednak przejmował detalami?! „Według jurorów wartość wskazanej przez nich pracy (w 2018 r. zorganizowany został stosowny konkurs) zasadzała się na tym, że majestatyczność nie wykluczała się w niej z intymnością, a monumentalność z delikatnością. Liczył się dla nich także wymiar feministyczny dzieła, rozumiany jako przedstawienie kobiety pozbawione idealizacji”.

Cytowany przez autorkę książki o Munchu Jacek Kaczmarski – w tym wypadku: zasadnie – w swym inspirowanym sławnym obrazem norweskiego artysty utworze śpiewał: „Krzyczę, krzyczę, krzyczę, krzyczę wniebogłosy! / A! Zatykam uszy swe!”. Nie wiem, czy to dziś już nie za mało. Bo co może krzyk, gdy chce się wyć? ©©



★★★★★

MARTA MOTYL

„NIE TYLKO
KRZYK”LIRA, WARSZAWA
2024



POCZYTANKI

Na tropie potworów

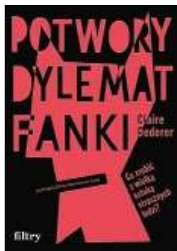
Claire Dederer ma problem. „Co zrobić z wielką sztuką strasznych ludzi?” – pyta w podtytule książki „Potwory. Dylematy fanki”. Bądźmy szczerzy, nie chodzi o ludzi w ogóle, tylko o facetów. „Problem sztuki potwornych mężczyzn” spędza autorce sen z powiek, bo „łatwiej sobie wyobrazić koniec świata niż patriarchy”.

Mężczyźni bowiem, z natury swojej, są potworami: biją, gwałcą, krzywdzą. Jak nie pedofil, to rasista, jak nie gwałcień, to antysemita. Roman Polański, Woody Allen, Miles Davis, Ernest Hemingway, Pablo Picasso. Ale co zrobić z ich filmami, książkami, obrazami, muzyką? Przecież zachwycają. A nie powinny, skoro to dzieło potworów. Mamy i kobiety w zestawieniu: J.K. Rowling – transfobka. Willa Cather i Virginia Woolf – antysemitki. Doris Lessing – porzuciła własne dzieci. Dla wyrodných matek ma jednak Dederer specjalną taryfę ulgową – porzucają z winy patriarchy. Opre-syjni mężczyźni zmuszają bowiem kobiety (poprzez zapłodnienie) do bycia matkami, a one przecież mogą chcieć być artystkami, więc w sumie jeśli dzieci zostawia, to winni są i tak faceci.

Winni jest też kapitalizm, bo

zastąpił teorie sztuki kulturą fana. W kapitalizmie jesteś tym, co konsumujesz. Skoro więc konsumujesz „Harry’ego Pottera” czy „Chinatown” i pogarda dla twórcy cię nie odrzuca, to znaczy, że jesteś trochę Rowling czy Polańskim. Czyli transfobem i gwałcicielem. No i jak żyć, droga redakcjo? W finale po bardzo dziwacznych wygibasach dochodzi autorka do wniosku, że kocha się nie dlatego, iż ktoś jest doskonały, lecz mimo jego niedoskonałości. Gdyby Dederer chodziła do kościoła, mogłaby coś usłyszeć o surowym potępieniu grzechu, a także szansie na odkupienie i miłosierdzie dla grzesznika. Utożsamianie twórcy z bohaterem dzieła też nie jest zbyt mądre (na szczęście autorka zdaje sobie z tego sprawę, czego dowodem najlepszy w książce rozdział o „Lolice” Nabokova).

Początkowo zaciekała mnie ta książka jako lista lęków amerykańskiej liberalnej feministki. Nie wiem, czy największy lęk nie był powodem jej napisania – lęk, że ktoś oskarży Claire o zamiłowanie do twórców niesłusznych, a ona nie będzie wiedziała, jak się bronić. Teraz już wie. Gratulacje! ©



★★★★★
CLAIRE DEDERER
„POTWORY.
DYLEMAT FANKI”
FILTRY 2024

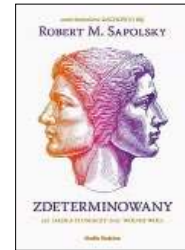
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Co widzieli kupcy, a na co zwracali uwagę pielgrzymi do Ziemi Świętej? Gdzie widziano koniec świata? Co zadziwiło w rodzinnej Europie? Brytyjski mediewista sięga do źródeł, by namalować świat oczami ludzi średniowiecza.



ANTHONY BALE
„PRZEWODNIK
ŚREDNIOWIECZ-
NEGO OBIEŻY-
ŚWIATA”
REBIS

Czy wolna wola jest przypadkowa? Jak programują nas emocje i mózg? Co sprawia, że reagujemy tak, a nie inaczej? Nie trzeba się zgadzać z wywodami amerykańskiego biologa, by pobudziły nas one do dyskusji – i do myślenia.



ROBERT M. SAPOLSKY
„ZDETERMINO-
WANY”
MEDIA RODZINA

W 100-lecie urodzin szkice o twórczości geniusza kina. Redakcja naukowa: Marek Sokołowski. Uwagę zwracają dwa świetne teksty o motywach religijnych w dziełach reżysera „Barw granatu” i „Cieni zapomnianych przodków”.



AUTORZY RÓŻNI
„TRIBUTE TO
SERGEI PARAJA-
NOW”
GRUPA WYDAW-
NICZA FNCE

Opowieść w dwóch częściach: domknięcie historii nazi-stowskiego kata i grabieżcy polskich dzieł sztuki Ottona Wächtera, a także opowieść o Wilmie Hosenfeldzie, oficerze Wehrmachtu, który uratował Władysława Szpilmana.

recenzuje Piotr Gociek



MAGDALENA OGÓREK
„KRÓL OLCH”
ZONA ZERO

KOMIKS TYGODNIA:

„KARMEN, CZYLI KARMA”
Hiszpański twórca średniego pokolenia znany jest polskim czytelnikom z uniwersum DC („Batman”, „Joker”) oraz albumu „Monika”. Od lat z powodzeniem łączy pracę dla amerykańskiego giganta z ambitniejszymi wyzwaniami artystycznymi. W „Karmen” romans łączy się z fantastyką, odpowiedź na pytanie, czy



GUILLEM MARCH
„KARMEN”
SCREAM COMICS
2024

życie jest takie złe, przyjdzie z zaświatów, nie zabraknie też aluzji do „Uwierz w ducha”

Piotr Gociek

Tłuste koty Tuska



Jan Fiedorczuk

„Depisyzacja” Polski okazała się nie tylko drogą politycznej zemsty i rozliczeń, lecz także sposobnością do położenia ręki na publicznych fruktach. W ciągu minionego roku „tłuste koty” poprzedniej władzy zostały zastąpione „tłustymi kotami” Donalda Tuska



Współkach z udziałem Skarbu Państwa zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów. Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne” – głosił 68. punkt na liście 100 konkretów, których realizację w ciągu pierwszych 100 dni rządów obiecywała Koalicja Obywatelska. Tyle teoria. W praktyce nie ma bowiem tygodnia, by media nie informowały o kolejnych

aferach rządzącej większości. W tle kolejnych doniesień za każdym razem pojawia się to samo – nepotyzm, kumoterstwo i kolesiostwo.

Najgłośniejsze w ostatnim czasie było bodaj o sprawie Totalizatora Sportowego, spółki podległej Ministerstwu Aktywów Państwowych, która zyskała nowych dyrektorów w 13 regionach Polski. „Lokalni działacze PO, PSL i Lewicy, bliscy współpracownicy czołowych parlamentarzystów koalicji rządzącej, a nawet boiskowy kolega Donalda Tuska – tak wygląda lista

beneficjentów najnowszych zmian w Totalizatorze Sportowym” – informował portal Onet. Po ujawnieniu całej sprawy rząd znalazł się w ogniu krytyki. Tym razem świeżo upieczeni dyrektorzy musieli się pożegnać z intratnymi posadami, jednak – jak się zaraz przekonamy – był to wyjątek. Nie trzeba bowiem prowadzić wnikliwego śledztwa, żeby zauważyć, że depisyzacja Polski była tak naprawdę drogą do eldorado dla akolitów rządzącej ekipy. „Tłuste koty” Zjednoczonej Prawicy zostały zastąpione przez „tłuste koty”

„W spółkach z udziałem Skarbu Państwa zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów. Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne” – głosił 68. punkt na liście 100 konkretów, których realizację w ciągu pierwszych 100 dni rządów obiecywała Koalicja Obywatelska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

lokum w stolicy (łącznie 8 tys. zł). Aferka na pierwszy rzut oka wydaje się mało znacząca, bo posłowie nie łamią prawa, a sama kwota wyciągnięta z państwowej kasy nie jest na tyle wysoka, by usprawiedliwić medialną burzę. Sprawa stała się jednak głośna z dwóch powodów – po pierwsze, Myrcha i Gajewska jeszcze będąc w opozycji, perorowali o konieczności odsunięcia PiS od władzy ze względu na panoszące się rzekomo złodziejstwo. Po drugie, „afera mieszkaniowa” nie jest odosobnionym przypadkiem, tylko kolejnym przejawem kolesiostwa i cwaniactwa na szczytach władzy.

Dla przykładu: w lipcu głośnym echem odbiła się sprawa Michała Tuska, syna premiera, który pół roku po zmianie rządu znalazł zatrudnienie w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Pomorskiego, a ledwie po trzech miesiącach awansował na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw rozwoju i integracji transportu. Nawet przy założeniu nieprzeciętnych zdolności syna premiera koincydencja czasowa jest znamienna.

W sierpniu natomiast wyszło na jaw, że zatrudnienie w państwowych spółkach znaleźli brat Wojciecha Olejniczka z dawnego SLD oraz ojciec Sylwii Spurek, byłej europoseł. Kandydatów do rad nadzorczych i zarządów państwowych spółek opiniuje rada do spraw spółek z udziałem Skarbu Państwa i państwowych osób prawnych przy kancelarii premiera, która wydała pozytywne oceny w obu rzeczonych przypadkach. Nie wiadomo jednak, do których spółek oboje trafili. Pozytywną rekomendację uzyskała również Agnieszka Beata Petelicka, wdowa po gen. Sławomirze Petelickim, tragicznie zmarłym twórcy GROM-u, która ostatnio startowała do Parlamentu Europejskiego z Trzeciej Drogi. Natomiast jeszcze w lutym brat ministra infrastruktury Dariusza Klimczaka, bryg. Tomasz Klimczak, zajął stanowisko rektora komendanta Akademii Pożarniczej. Poseł PSL, Jarosław Rzepa, został zapytany, jak ta sytuacja ma się do słów Szymona Hołowni, że członkowie Polski 2050 nie będą zasiadać w radach nadzorczych spółek. – Ja się pod tym apelem nie podpisuję – odparł z rozbijającą szczerością koalicjant Hołowni.

Sprawa nie tyczy się jedynie rodzin polityków, lecz także samych parlamen-

tarzystów. W styczniu Magdalena Roguska z Platformy Obywatelskiej została członkiem Rady Nadzorczej PWPW, co stanowiło złamanie umowy koalicyjnej (polityk ostatecznie zrezygnowała ze stanowiska po miesiącu). Całkiem niedawno było również głośno o tym, jak nominaci Lewicy zaczęli obsadzać Ochotnicze Hufce Pracy. Z ustaleń Radia Zet wynika, że co najmniej 10 komendami w kraju kierują obecnie aktywni działacze Nowej Lewicy. OHP podlegają ministrowi rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszce Dziemianowicz-Bąk z Lewicy. Jak się okazało, działacze, którzy zostali komendantami wojewódzkimi OHP, w większości bezskutecznie próbowali w przeszłości dostać się do parlamentu. Poseł Andrzej Szejna tłumaczył na łamach „Gazety Wyborczej”, że jego partia „przejęła na siebie odpowiedzialność za Ochotnicze Hufce Pracy”, gdyż są to kwestie szczególnie bliskie jego formacji.

Michał Tusk, syn premiera, pół roku po zmianie władzy znalazł zatrudnienie w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Pomorskiego, a po trzech miesiącach awansował

W tym i podobnych przypadkach politycy koalicji bronią się, argumentując, że obecnej sytuacji nie można porównywać do czasów PiS, gdyż przy państwowych posadach są rozpisywane konkursy. Z tym tłumaczeniem są jednak dwa problemy. Po pierwsze, nie byłoby czymś dziwnym, gdyby posadę w państwowej spółce zdobył człowiek powiązany więzami rodzinnymi z rządzącą większością albo nawet polityk partii o odpowiednich kwalifikacjach; tylko że nie mamy tu do czynienia z jednostkowymi przypadkami, tylko powtarzającym się schematem, i doprawdy ciężko uwierzyć, że ludzie spokrewnieni z władzą całkiem przypadkiem zaczęli przejmować państwowe posady akurat po zmianie władzy. Tak jak to miało miejsce – by nie być gołosłownym – w przypadku Arkadiusza

Tuska, a rządząca koalicja ledwie rok po przejęciu władzy wydaje się być na najłepszej drodze, by przebić poprzedników.

RODZINA NA SWOIM

W ostatnim czasie media żyły dość błahą i niepozorną sprawą małżeństwa posłów z Koalicji Obywatelskiej – Arkadiusza Myrchy i Kingi Gajewskiej – które mimo że żyje razem, a sama Gajewska w 2023 r. zadeklarowała, że mieszka pod Warszawą, pobiera przysługujący mu dodatek mieszkaniowy na wynajem

Iwaniaka z Nowej Lewicy oraz byłego kandydata Trzeciej Drogi w wyborach samorządowych Piotra Gryszpanowicza, którzy na drodze konkursu znaleźli się w zarządzie spółki Orlenu. Innymi słowy – dobrze, że są konkursy, ale same w sobie one niczego nie rozwiązują. Skoro już mowa o Orlenie, to na marginesie warto wspomnieć, że to tam zatrudnienie znalazła Sara Borowiecka, która następnie rozpoczęła pracę jako asystentka europoła Borysa Budki.

KOALICJA WSPÓLNYCH SPRAW

Jednak również z kwalifikacjami, o których tyle perorują rządzący, bywa różnie, czego przykładem radna Koalicji Obywatelskiej Renata Gruszczyńska, która niedawno została prezesem Zakładów Zbrojeniowych Mesko. Radna KO co prawda nie posiada doświadczenia w branży zbrojeniowej, ale za to pracowała w Straży Miejskiej i kierowała miejską spółką zajmującą się zielenią, a sama Polska Grupa Zbrojeniowa zapewnia, że wybrano „najlepszego kandydata spośród osób aplikujących na to stanowisko”.

Ogólnie jeżeli chodzi o branżę zbrojeniową i obronność, to w ostatnich czasach media informowały o wielu zaskakujących decyzjach kadrowych. Właśnie w Mesko członkiem zarządu został działacz PSL Krzysztof Marwicki, a w radzie nadzorczej tejże spółki znalazł się Daniel Słowik, starosta powiatu łęczyńskiego z PSL. Idźmy dalej, Mieczysław Łuczak – a jakże, również z PSL – który w kwietniu bezskutecznie ubiegał się o mandat radnego powiatowego w Wieluniu, został w lipcu członkiem Rady Nadzorczej Nitro-Chem (spółki produkującej m.in. nawozy i materiały wybuchowe). Na stanowisko został powołany przez firmę Mesko. Z kolei Eugeniusz Grzeszczak, rolnik i zarazem kolejny polityk PSL, został członkiem rady nadzorczej w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 1 w Łodzi. W przeszłości pełnił funkcję wicemarszałka Sejmu oraz sekretarza stanu w kancelarii Donalda Tuska. Nie można jednak powiedzieć, że PSL zmonopolizował tę branżę. Kolegą po fachu Grzeszczaka został bowiem polityk PO, były wiceminister infrastruktury Radosław Stępień, który znalazł zatrudnienie w radzie nadzorczej tej samej spółki. Jednak – jak informuje WP – znalazło się również stanowisko dla koalicjanta

Minął dopiero rok, odkąd władzę przejęła centrolewica, a przykłady nepotyzmu i kolesiostwa już można mnożyć bez końca

z Lewicy, Jacka Warczygłowa, który został powołany w lipcu do rady nadzorczej Bydgoskich Zakładów Elektromechanicznych „Belma”. Ten sam portal donosił, że do rady nadzorczej spółki Cenzin, firmy działającej na międzynarodowym rynku obrotu bronią, dostali się Agnieszka Stolarczyk z PSL oraz Krzysztof Gruziński z KO.

Minął dopiero rok, odkąd władzę przejęła centrolewica, a przykłady nepotyzmu i kolesiostwa już można mnożyć bez końca. I tak np. prezesem zarządu PKP SA został Alan Beroud, syn Marka Berouda, byłego współpracownika polityka PO (a obecnie wiceprezesa zarządu Orlenu) Roberta Soszyńskiego. Z kolei Aneta Maria Ćwiklińska, która prywatnie jest żoną Wojciecha Ćwiklińskiego, kandydata Trzeciej Drogi na wójta gminy Sochaczew, została niedawno kierownikiem Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego PT w Sochaczewie. Natomiast Artur Sebesta, syn polityka PO Józefa Sebesty, został prezesem zarządu Grupa Azoty Prorem sp. z o.o. Lista podobnych przykładów jest dużo dłuższa. W rocznicę wyborów 15 października PiS opublikował spis 100 osób powiązanych z obecną władzą, które w ostatnich 12 miesiącach znalazły zatrudnienie w państwowych spółkach. Ta rocznica była zresztą podwójnie nieszczęśliwa dla rządzących, gdyż dokładnie tego samego dnia Wirtualna Polska ujawniła, że we władzach Specjalnych Stref Ekonomicznych pracę zdobyło ok. 20 osób powiązanych z rządzącą koalicją. Pensje sięgają ponad 20 tys. zł, a wśród beneficjentów znalazło się miejsce m.in. dla byłego wiceministra zdrowia PO Krzysztofa Grzegorka, który przed laty został skazany za korupcję.

SWÓJ DO SWEGO PO SVOJE

Oprócz finansowania polityków oraz ich pociotków pod rządami „uśmiechniętej koalicji” rozwinął się również proce-

der wspierania postaci i środowisk, które bezpośrednio z partią nie są związane, ale od lat służą jej dobrym słowem oraz swym wizerunkiem.

Niedawno Zuzanna Dąbrowska-Pieczczyńska opisywała na naszych łamach sprawę dofinansowania, które od Polskiej Agencji Rozwoju Przemysłu ma dostać spółka z branży gier, której współzałożycielką i głównym udziałowcem jest pisarka Olga Tokarczuk. Noblistka w przeszłości wielokrotnie atakowała rządy Zjednoczonej Prawicy oraz podnosiła argumenty wzięte rodem z narracji tzw. Silnych Razem. Nie omieszczała nawet wykorzystać sławy, której przysporzył jej Nobel literacki, w oczernianiu własnej ojczyzny za granicą. Firma Sundog, której jest współzałożycielem, ma od państwa otrzymać 17 mln zł dofinansowania.

Inny przykład z ostatnich tygodni: otóż z okazji obchodów 90-lecia Lotniska Chopina zdecydowano o zorganizowaniu okolicznościowej imprezy. Zlecenie otrzymała agencja eventowa Jacka Stachery – prywatnie to partner córki Jerzego Owsiaka. Sam lider WOŚP wielokrotnie atakował rządy PiS i wyrażał poparcie dla KO. Przypomnijmy, że jeszcze w 2023 r., tuż przed wyborami parlamentarnymi, Polskę pokryły wielkie plakaty Orkiestry, na których widniał napis: „Polacy, pokonajmy to ZŁO. Wygramy”. Pod tym hasłem dopisany drobną czcionką widniał de facto niewidoczny napis, że chodzi o walkę z sepsą. Jak informowała Telewizja Republika, umowa z firmą Jacka Stachery opiewa na 1,7 mln zł.

Nawiązując do sprawy Totalizatora Sportowego, od której rozpoczęliśmy nasz tekst, okazuje się, że podmiot ten zdecydował o wsparciu... podcastu Kuby Wojewódzkiego, głównej gwiazdy TVN, która od lat nie kryła się ze swoimi politycznymi sympatiami. Totalizator podpisał bowiem umowę sponsoringową, w ramach której marka Lotto jest reklamowana w podcaście Wojewódzki/Kędzierski emitowanym w Onecie. Portal niezalezna.pl chciał się dowiedzieć, na ile opiewa umowa, jednak spółka Skarbu Państwa odmówiła ujawnienia kwoty.

Do tego warto dodać miliardy złotych przekazywane dla przejętej, a zarazem znajdującej się permanentnie „w stanie likwidacji” TVP, pieniądze ponownie uruchomione dla Agory i TVN czy finan-

sowanie imprezy Rafała Trzaskowskiego Campus Polska. – My, jako Campus, nie dotknęliśmy ani złotówki z publicznych pieniędzy. Byli sponsorzy, byli wspierający, byli samorządy – mówiła minister edukacji Barbara Nowacka. Pani minister zapomniała jednak, że pieniądze samorządów są jak najbardziej pieniędzmi publicznymi. Na reklamy w tegorocznej edycji Campusu samorządy przekazały bowiem łącznie ok. 1 mln zł.

Do tego dochodzi jeszcze jedna sprawa, która odróżnia obecną sytuację od poprzednich rządów. Sami politycy PiS przyznają, że nawet jeżeli za ich rządów grasowały „tłuste koty”, to nie wpływało to na wyniki państwowych spółek. Obecnie natomiast co chwila otrzymujemy informacje o stratach, które notują kolejne państwowe podmioty. Strona rządowa odpowiada, że straty mają wymiar głównie księgowy, gdyż są efektem korekt wartości aktywów niektórych firm i spółek. Jednak przykład choćby PKP Cargo, którego dramatyczna sytuacja zdaje się nie być jedynie wyrazem księgowości,

przynajmniej w jakimś stopniu przeczy temu stanowisku.

PROBLEM SYSTEMOWY

Jeszcze nie tak dawno lider Koalicji Obywatelskiej, idąc po władzę, grzmiał o nepotyzmie, obiecywał walkę z korupcją i przekonywał, że państwo polskie zostało oblepione przez siatkę polityków PiS, którzy pławiają się w luksusie, pasożytując na polskich podatnikach. Faktycznie kwestia „tłustych kotów”, nawet jeżeli wyolbrzymiona przez ówczesną opozycję, była realnym problemem Zjednoczonej Prawicy. Sam przed trzema laty („DRz” nr 33/2021) pisałem, że jeżeli Jarosław Kaczyński nie upora się z kwestią nepotyzmu w szeregach partii, to wyborcy po prostu podziękują jego ekipie. Dlatego też obecna sytuacja, gdy media co chwila informują o kolejnych przykładach protekcjonizmu i kołesiostwa, jest tak niebezpieczna dla rządzącej ekipy. Twardego elektoratu nic nie przekona do porzucenia KO, jednak Tusk zdobył władzę nie dzięki partyjnemu betonowi, tylko za pomocą

umiarkowanych, centrowych wyborców, którzy mieli dość stylu, w którym władzę sprawował PiS (często nawet nie głosowali na samą PO, tylko na Trzecią Drogę). Ci ludzie nie muszą koniecznie przerzucić głosów na formację Kaczyńskiego, ale mogą np. zostać w domach albo wręcz skierować się do Konfederacji.

To, że praktyka rządów KO tak bardzo różni się od obietnic, które politycy składali, będąc w opozycji, jest równie małym zaskoczeniem, jak podobny rozdźwięk między obecnymi okrzykami oburzenia polityków PiS, a ich faktycznymi poczynaniami w latach 2015–2023. Koniec końców prawdziwymi problemami nie są przecież ani Donald Tusk, ani poprzednia władza. Istota rzeczy polega na tym, że nepotyzm i kołesiostwo są po prostu wpisane w strukturę III RP. Dlatego to sam system polityczny, który generuje tego typu patologiczne sytuacje, powinien znaleźć się na ławie oskarżonych. Rozwiązaniem tego problemu nie jest jednak zainteresowana żadna ze stron sporu politycznego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

67 lat
historii filmu

**Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej**

Filmopedia ★
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org** I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



Czas chronić dzieci przed pornografią



Olivier Bault

Organizacje prorodzinne chcą ograniczyć dostęp dzieciom do pornografii w sieci. Czy obywatelski projekt zmusi polskie władze do działania?

Nie każdy zdaje sobie sprawę, jaki łatwy – czasami nieproszony – dostęp do pornografii mają nasze dzieci w dobie wszechobecnych komputerów i smartfonów stale podłączonych do Internetu. I to do najbardziej wulgarnej, perwersyjnej i brutalnej pornografii wszelkiego rodzaju. Aplikacje kontroli rodzicielskiej mogą co prawda ten dostęp ograniczać, ale nie każdy rodzic się na tym zna, a i tak nie ma nigdy gwarancji, że nasze dziecko nie obejrzy takich treści na urządzeniach rówieśników.

W wielu krajach, w tym i w Polsce, prawny zakaz narażenia dzieci i młodzieży na kontakt z pornografią dawno stał się martwą literą. Politycy, z jakiegoś powodu na ogół niechętni, aby zmierzyć się z problemem, zaczynają jednak w wielu krajach reagować, często pod presją społeczeństwa. Do tego chce ich zmusić również w Polsce grupa ok. 30 organizacji prorodzinnych.

Trwa właśnie zbiórka podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o ochronie małoletnich przed treściami pornograficznymi w Internecie. Dołączyć do zbiórki może każdy na stronie Stopnarkotykowipornografii.pl, pobierając listy do zbiórki podpisów. Jeśli uda się komitetowi ustawodawczemu złożyć w Sejmie minimum 100 tys. podpisów przed 23 grudnia, Sejm będzie musiał wreszcie się tym problemem zająć. Jeśli wierzyć wcześniejszym deklaracjom z obu stron politycznego sporu (choćaby niepełniona obietnica rządu Morawieckiego w tym zakresie czy

mgliste jeszcze zapowiedzi obecnego wiceministra cyfryzacji), projekt obywatelski ma szansę na szerokie poparcie.

Projekt ten, przygotowany przez prawników Instytutu Ordo Iuris, ma na celu wprowadzenie rzeczywistego, a nie tylko teoretycznego, zakazu udostępniania dzieciom materiałów pornograficznych w Internecie. Właściciele serwisów, zawierających takie materiały, mają zostać zobowiązani do wdrożenia skutecznego systemu weryfikującego wiek użytkownika. Skuteczność tego mechanizmu ma być oceniana przez Urząd Komunikacji Elektronicznej, a serwisy, które nie wprowadziłyby skutecznych – w ocenie polskiego organu – systemów weryfikacyjnych, zostaną zablokowane przez polskich dostawców Internetu oraz odcięte od dostępu do usług płatniczych na terenie Polski.

Mechanizm ten ma spowodować, że w interesie właścicieli serwisów – niezależnie od tego, czy działają w Polsce czy za granicą – będzie skuteczna weryfikacja wieku użytkowników z polskim adresem IP. Ograniczenia tego rodzaju można oczywiście przy odrobinie wiedzy obejść, jeśli ktoś bardzo chce i ma odpowiednie kompetencje, ale prawdziwą zmurą dzisiejszych czasów jest właśnie totalny brak jakichkolwiek utrudnień w dostępie do pornografii.

11-LATKI TRAFIAJĄ NA PORNO

Niestety, statystyki oglądania pornografii przez dzieci i młodzież są dziś przerażające wszędzie tam, gdzie dostęp

do pornografii jest nieskrępowany. W przypadku Polski badanie NASK opublikowane w 2022 r. („Nastolatki wobec pornografii cyfrowej – Trajektorie użytkowania”) pokazuje, że nasze dzieci stykają się z pornografią po raz pierwszy średnio w wieku niespełna 11 lat. Regularne, codzienne oglądanie filmów czy zdjęć pornograficznych deklaruje niemal co czwarty nastolatek w wieku 16–17 lat i co piąte dziecko w wieku 12–14 lat.

Nieskrępowany dostęp dzieci do pornograficznych treści może mieć na dłuższą metę opłakane konsekwencje nie tylko dla konkretnych osób od najmłodszych lat uzależnionych od pornografii, lecz także dla całych społeczeństw. Nie miejsce tu na omówienie tych skutków, udokumentowanych licznymi badaniami naukowymi, wystarczy powiedzieć, że Światowa Organizacja Zdrowia od 1 stycznia 2022 r. umieściła w Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-11 nową jednostkę chorobową – kompulsywne zachowania seksualne.

W związku z rosnącą świadomością, jak bardzo pornografia jest uzależniająca i szkodliwa dla rozwoju dzieci, w niektórych krajach zaczęto w ostatnim czasie wprowadzać nowe regulacje prawne. Głównym problemem stosowanych rozwiązań jest kwestia ochrony danych osobowych przy weryfikacji wieku oraz trudność egzekwowania krajowego prawa wobec podmiotów, które mogą znajdować się w różnych krajach świata. Nie są to jednak



FOT. ADDBE STOCK

trudności nie do pokonania, jeśli istnieje ku temu wola polityczna, której często niestety z niewyjaśnionych powodów brakuje.

JAK SIĘ TO BLOKUJE

W USA Luizjana była w czerwcu 2022 r. pierwszym stanem, który wprowadził do swojego prawa obowiązek skutecznego sprawdzania wieku użytkowników – nie poprzez kliknięcie odpowiedzi „Tak” na pytanie „Czy masz ukończone 18 lat?”, ale poprzez takie uwierzytelnienie tożsamości użytkownika, które faktycznie pozwala upewnić się, że jest pełnoletni. I to pod groźbą dotkliwych kar dla właścicieli serwisów pornograficznych. Dwa lata później kilkanaście innych stanów uchwaliło podobne prawo (w dziewięciu przepisów też już dziś skutecznie funkcjonują), a ich lista szybko się wydłuża.

Wielka Brytania uchwaliła prawo mające chronić dzieci przed nieskrępowanym dostępem do pornografii w ubiegłym roku. Była to realizacja obietnicy rządu złożonej jeszcze w 2018 r. Ustawa o bezpieczeństwie on-line wejdzie w życie w przyszłym roku i to urząd nadzoru mediów (Ofcom) jest odpowiedzialny za określanie wymogów, które firmy – łącznie z właścicielami mediów społecznościowych – będą musiały spełniać, aby nie podlegać dotkliwym karom (nawet do wartości 10 proc. ich rocznego obrotu). Dostęp do serwisów bez odpowiednich zabezpieczeń będzie mógł na żądanie Ofcom zostać zablokowany, a ich właściciele zostaną pozbawieni możliwości prowadzenia jakiegokolwiek działalności

gospodarczej na terenie Zjednoczonego Królestwa.

W połowie października tego roku Sąd Apelacyjny w Paryżu nakazał francuskim dostawcom Internetu zablokowanie największych serwisów porno, które nie zapewniają skutecznej weryfikacji wieku. Sprawa ciągnęła się nad Sekwaną od kilku lat. Francuska ustawa z 2020 r. nakazuje serwisom pornograficznym sprawdzanie wieku każdego użytkownika, zanim ma on dostęp do jakichkolwiek treści o charakterze seksualnym. W 2021 r. kilka stowarzyszeń działających na rzecz ochrony dzieci zażądało więc blokady dostępu z terytorium Francji do dziewięciu takich portali.

W odpowiedzi na przedłużające się postępowanie sądowe francuski parlament uchwalił w maju tego roku nową ustawę, która zobowiązała urząd nadzoru nad mediami (Arcom) do opracowania wymogów dla mechanizmów sprawdzania wieku, które muszą być stosowane przez serwisy pornograficzne dostępne z terenu Francji. Prace Arcom nad tymi wymogami trwały dłużej, niż zakładała ustawa, ale zostały przyjęte w październiku. I tak serwisy pornograficzne mają trzy miesiące, licząc od 9 października, na opracowanie mechanizmów skutecznego sprawdzania wieku, spełniających wymogi Arcom. Serwisy, które nie spełnią wymogów, będą blokowane na terenie Francji, a na właścicieli portali francuski urząd będzie mógł nakładać kary pieniężne do wartości 4 proc. rocznych obrotów. Najpierw będzie stosowana kara administracyjna, a dopiero ukarany podmiot będzie mógł odwoływać się od niej do sądu.

Podobnie we Włoszech urząd nadzoru mediów (Agcom) opublikował we wrześniu swoje wymogi dotyczące sprawdzania wieku użytkowników stron internetowych. Zrobił to na bazie ustawy z 2023 r., która nakłada na niego taki obowiązek, i dał serwisom zawierającym treści pornograficzne pół roku na odpowiednie zabezpieczenie swoich stron.

Hiszpania natomiast przymierza się do wprowadzenia czegoś w rodzaju „paszportów cyfrowych”, które mają być wymagane do otwierania stron pornograficznych i które będą wystawiane na bazie dowodów tożsamości poprzez aplikację zainstalowaną w telefonie. Będzie to jednak obowiązkowe tylko w przypadku serwisów, które mają swoją siedzibę

w tym kraju. Hiszpanie dopiero zaczynają rozmawiać o zmianie ustawy w sposób umożliwiający blokadę stron należących do podmiotów zagranicznych.

W Niemczech z kolei Komisja do spraw Ochrony Mediów Młodzieży (KJM) jest urzędem oceniającym skuteczność mechanizmów sprawdzania wieku i może nakazać blokadę serwisów internetowych na mocy ustawy z 2020 r. Wymogi ramowe KJM zostały opublikowane w 2022 r.

W Kanadzie, gdzie mają siedzibę niektóre z największych światowych potentatów pornografii on-line, trwają prace nad zmianą prawa, która pozwoli wreszcie wymusić stosowanie skutecznych mechanizmów sprawdzania wieku.

WARTO DZIAŁAĆ

Mechanizmy skutecznej kontroli wieku zaczynają być od kilku lat narzucane internetowym serwisom pornograficznym i innym serwisom internetowym, przez które dzieci mogą mieć dostęp do takiej treści. Egzekwowanie kar pieniężnych w przypadku firm prowadzących działalność wyłącznie w innych krajach może być w niektórych przypadkach mało realne, natomiast odcięcie takiego serwisu od większości krajowego rynku (czyli od wszystkich tych użytkowników, którzy nie będą wiedzieli, jak krajową blokadę obejść, lub nie będą chcieli sobie zadać tego trudu) może mieć działanie odstraszające dla właścicieli stron pornograficznych pozbawionych skrupułów. Taki jest też cel polskiego obywatelskiego projektu ustawy o ochronie małoletnich przed treściami pornograficznymi w Internecie.

Dlatego warto dołączyć do obecnie zbiórki podpisów pod inicjatywą obywatelską. Należy zrobić to szybko, gdyż co najmniej 100 tys. podpisów musi zostać złożonych w Sejmie przez Komitet Inicjatywy Ustawodawczej do 23 grudnia – zatem podpisy trzeba wysłać listem priorytetowym na adres Komitetu najpóźniej w połowie grudnia. Im więcej ich będzie, tym większa presja ze strony polskiego społeczeństwa na polityków wszystkich partii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szczegóły i materiały dotyczące obywatelskiego projektu ustawy o ochronie małoletnich przed treściami pornograficznymi w Internecie, łącznie z listą do zbierania podpisów (jedną załączono do niniejszego wydania „Do Rzeczy”), są dostępne na stronie [Stopnarkotykowipornografii.pl](https://stopnarkotykowipornografii.pl).



Tadeusz Mazowiecki jako premier, którego rządowi Sejm udzielił wotum zaufania, Warszawa, 12 września 1989 r.

FOT. GRZEGORZ ROGŃSKI/PAP

Kulisy powstania rządu Mazowieckiego



Grzegorz Majchrzak

Desygnowanie 35 lat temu Tadeusza Mazowieckiego na premiera nie zostało w Polsce przyjęte z wielkim entuzjazmem nawet w środowiskach opozycji

W czasie internowania w Arłamowie 15 maja 1982 r. Lech Wałęsa w konwersacji z pilnującymi go funkcjonariuszami Biura Ochrony Rządu stwierdził z uśmiechem: „Podczas rozmowy z red. [Tadeuszem] Mazowieckim w żartach zaproponowałem mu urząd premiera, to ja wtedy zostanę prezydentem. Zarówno ja, jak i on, do tych stanowisk się nie nadajemy, jak również cały Związek nie nadaje się do tego, aby kierować państwem”.

To, co miało być żartem, spełniło się kilka lat później – po nieco ponad siedmiu latach Mazowiecki został premierem, a po ponad ośmiu Wałęsa został prezydentem. A w międzyczasie – choć ten pierwszy na swoje stanowisko został „namaszczony” przez tego drugiego – ich drogi całkowicie się rozeszły.

Wróćmy jednak do kwestii przyjęcia w kraju kandydatury Tadeusza Mazowieckiego na stanowisko prezesa Rady Ministrów. 19 sierpnia 1989 r. prezydent PRL Wojciech Jaruzelski powierzył temu związanemu z opozycją politykowi misję sformowania rządu, a pięć dni później na to stanowisko powołał go Sejm. Jego misja zakończyła się sukcesem i 12 września powstał rząd pod jego kierownictwem. Powierzenie misji jego utworzenia Mazowieckiemu było wydarzeniem przełomowym – po raz pierwszy tworzył go bowiem człowiek związany z opozycją. Nic zatem dziwnego, że jego wybór na premiera był szeroko komentowany – zarówno w kraju, jak i za granicą.

„WYBORCZA” Z DYSTANSEM

I od razu trzeba powiedzieć, że w Polsce został przyjęty bardzo dobrze, wręcz zaskakująco, choć oczywiście nie jednomyślnie. Co dzisiaj niektórych może

zaskoczyć, jednym ze środowisk, które nie wykazały wobec jego kandydatury nadzwyczajnego entuzjazmu, była „Gazeta Wyborcza”. I trudno się temu specjalnie dziwić. Jak bowiem pisał na łamach „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych” – pisma do niedawna jeszcze ukazującego się w drugim obiegu – Jacek Maziarski: „Tak się złożyło, że najostrzejszą chyba krytykę pomysłu rządu Wielkiej Koalicji z solidarnościowym premierem na czele sformułował nie kto inny, lecz sam Tadeusz Mazowiecki”. To oczywiście odwołanie do hasła „Wasz prezydent, nasz premier” Adama Michnika. Ten ostatni zresztą mu to przypomniawszy po jego nominacji w artykule pt. „Moje życzenia dla naszego premiera”. Pisał on o Mazowieckim co prawda jako o „polityku wybitnym”, nauczonym „sztuki czekania”, ale – po opisanii jego osobowości – zadawał pytanie: „Czy są to jednak cechy wystarczające dla premiera tego rządu, funkcjonującego w tej rzeczywistości? Myślę, że premier tego rządu musi dysponować dynamizmem i zmysłem ryzyka. Musi mieć odwagę szybkiego podejmowania trudnych decyzji”.

Jednocześnie Michnik stwierdzał, że przeszłość społeczna i polityczna Mazowieckiego „dobrze wróży polskiej demokracji”, oraz wzywał do jego wsparcia, samemu je oferując w imieniu kierowanej przez siebie gazety, ale w dość specyficzny sposób. Pisał: „Premier jest człowiekiem Solidarności. Krajowa Komisja Wykonawcza i wszystkie struktury związku, Obywatelski Klub Parlamentarny i wszyscy ludzie dobrej woli z pewnością ofiarują mu swą pomoc. Winniśmy mu tę pomoc również my – »Gazeta Wyborcza«. Wszelako nie pomożemy mu artykułami pisanymi wazeliną, jak w numerze z ostatniego poniedziałku [...]. Pomożemy mu, tylko pisząc prawdę. I to mu – wraz z przyjaźnią – szczerze obiecujemy”.

Nie widać tu nadmiernego entuzjazmu. I nic w tym dziwnego, bo naczelnemu „Gazety Wyborczej” dużo bliżej było do innego kandydata na „solidarnościowego premiera” – Jacka Kuronia. Na łamach „Gazety Wyborczej” zamieszczono wówczas wynik przeprowadzonej przez jej korespondentów sondy ulicznej (z udziałem ponad 2,5 tys. osób), w której ankietowani odpowiadali na pytanie:

„Czy aprobujesz powołanie Tadeusza Mazowieckiego na premiera PRL?”. Zdecydowana większość z nich (78,5 proc.) odpowiedziała: „tak”. Przeciwno byli nieliczni – 5,1 proc., reszta odparła: „nie mam zdania”. O tym poparciu najlepiej chyba świadczyły wygasające w kraju strajki.

„Gazeta Wyborcza” nie tylko jednak przeprowadzała uliczne sady, lecz także o nowego premiera i nowy rząd pytała przedstawicieli różnych środowisk oraz grup politycznych. Nie wszystkie przytaczane opinie były entuzjastyczne. I tak np. prezes Unii Polityki Realnej Janusz Korwin-Mikke stwierdzał: „Kandydaturę Tadeusza Mazowieckiego na urząd prezesa Rady Ministrów oceniam bardzo źle”. I uzasadniał: „W rządzie liberalnym premier nie musi umieć nic, ponieważ społeczeństwo kieruje się samo. W Polsce żyjemy jednak nadal w państwie etatystycznym i trzeba energicznie rozmontowywać to, co jeszcze zostało. Sądzę, że pan Mazowiecki po pierwsze nie chce, bo z ducha jest lewicowcem, po drugie, nawet gdyby chciał, nie umie. Po trzecie zaś, jest człowiekiem, który zbyt długo bawił się w rolę mówcy na poziomie grupy »Znak« czy miesięcznika »Więź«. I dodawał: „Życzę mu jak najlepiej, nie wierząc jednak, z uwagi na to, że przez zbyt długi czas dyskutował z panami Gomułką i Gierkiem”.

Nadmiernego entuzjazmu – czemu zresztą trudno się dziwić – nie wyrażała oczywiście Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która wraz z wyborem Tadeusza Mazowieckiego na premiera traciła część władzy. Doskonale oddają to słowa rzecznika prasowego PZPR Jerzego Wiatra: „Świat dla nas się jeszcze nie skończył”.

POCHWAŁY OD KISZCZAKA I GIERKA

Powierzenie misji formowania rządu człowiekowi związanemu z opozycją zrodziło wiele pytań w szeregach członków partii, szczególnie wśród jej aktywów. Ten ostatni przyjął nominację Mazowieckiego, a później tworzony przez niego rząd z rezerwą, choć na łamach organu Komitetu Centralnego PZPR „Trybuny Ludu” chwalił go sam minister spraw wewnętrznych i niedoszły premier Czesław Kiszcza. Mówił

■ on m.in.: „Znam Tadeusza Mazowieckiego już od stosunkowo długiego czasu: jest to człowiek dużego formatu i wydaje mi się, że stanowisko premiera, jeżeli Sejm mu je powierzy, znajdzie się we właściwych rękach”. I dodawał: „Jest to człowiek mądry i z charakterem, a taki jest właśnie potrzebny na trudny okres. Życzę mu osobiście, aby został wybrany, i będę się szczerze cieszył, jeżeli trudna misja, którą Sejm [mu] zleci, powiedzie się panu Mazowieckiemu”.

Zanim w „Trybunie Ludu” ukazała się wypowiedź Kiszczaka, w tym partyjnym organie królowały opinie zagraniczne (m.in. z „bratnich państw”). Notabene w przypadku Moskwy dużo cieplejsze niż z niektórych innych państw bloku. Najbardziej krytyczne, wręcz negatywne, natomiast z Pragi, a zwłaszcza z Bukaresztu.

Podczas głosowania sejmowego kandydaturę Mazowieckiego poparła także większość Klubu PZPR

Wróćmy jednak na „podwórkę krajową”. Tadeusza Mazowieckiego wsparł m.in. Edward Gierek, I sekretarz KC PZPR w latach 1970–1980, który w wywiadzie dla brytyjskiej BBC stwierdził: „Życzę premierowi [...] wielu sukcesów w wyprawianiu kraju z kryzysu gospodarczego”. I dodał: „Rząd reprezentujący wszystkich Polaków jest Polsce potrzebny bardziej niż powietrze”. Depeszę gratulacyjną wysłał też ówczesny lider Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Mieczysław Rakowski, deklarując – na podstawie zapowiedzi Mazowieckiego – gotowość do „współpracy w interesie Polski i Polaków”.

Podczas głosowania sejmowego kandydaturę Tadeusza Mazowieckiego poparła również zdecydowana większość członków Klubu Parlamentarnego PZPR. Pytany o to, dlaczego zagłosowali za, Andrzej Wierczokiewicz odpowiedział: „Nowy premier – jak dotąd – zaprezentował dość ogólny program działania rządu. Odnajdujemy w nim jednak elementy zgodne z oczekiwaniami naszych

wyborców – w tym członków partii”. Jednym z nich było oczywiście „stworzenie wielkiej koalicji” z udziałem PZPR.

OBAWY SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Tadeusz Mazowiecki uzyskał wsparcie Solidarności oraz jej parlamentarnego przedstawicielstwa – OKP. Dobrze mu życzyła również opozycja pozaparlamentarna, chociaż jednocześnie nie kryła swoich obaw, sceptycyzmu co do powodzenia jego misji. I tak np. Solidarność Walcząca wydała oświadczenie, w którym stwierdzała, że jego desygnowanie na stanowisko premiera „nie jest oddaniem władzy w ręce społeczeństwa”, a także wyrażała obawy, czy rząd, w którym komuniści „zastrzegli dla siebie kluczowe stanowiska MON i MSW”, będzie w stanie „przeprowadzić niezbędne reformy”, będzie „zdolny do uniezależnienia Polski od ZSRR” i będzie chciał „w sposób zdecydowany przeciwstawić się koalicji partyjnej nomenklatury, wojska i milicji”. Wyrażała również obawy, że sformowany przez niego rząd będzie „wzbraniać się” przed radykalnymi reformami, takimi jak „pełne urynkwowanie gospodarki”, uniezależnienie (polityczne i gospodarcze) od ZSRS, „poddanie społecznej kontroli” wojska i milicji czy uspołecznienie środków masowego przekazu. I deklarowała: „Życząc przyszłemu rządowi jak najlepiej, oświadczamy, że popierać będziemy jedynie te działania, które przybliżają będą wyrwanie Polski z komunizmu”.

Z kolei lider SW Kornel Morawiecki wystosował list otwarty do Mazowieckiego, w którym objęcie przez niego stanowiska premiera określał mianem „wspólnej szansy”. Była nią „możliwość współdziałania rządu z narodem”. Od razu dodawał jednak: „Wierzimy, że Pan chce, lecz wątpimy, czy będzie mógł ją realizować. Gdyż niestety rząd Pański będzie działał w systemie realnego socjalizmu, w którym realną władzę sprawują komuniści”. I przestrzegał go: „Mam nadzieję, że dobrze zdaje sobie Pan sprawę z moralnych i politycznych zagrożeń, jakie stanowi koalicja z komunistami i ich poplecznikami. Daje im rodzaj uprawomocnienia w oczach Zachodu i części polskiego społeczeństwa oraz daje im czas. Na przetrwanie, na



dociągnięcie do wielce prawdopodobnego zaostrzenia kursu w Związku Sowieckim”. Jednocześnie życzył mu: „Żeby za Pańskiej kadencji rozkład komunizmu następował szybciej niż jego dopasowanie się [do] nowej sytuacji”, a także aby „z punktu i zdecydowanie rozszerzyła się przestrzeń wolności”.

Zdecydowanie mniej sceptyczna była Konfederacja Polski Niepodległej, która – dokładnie jej Rada Polityczna – wydała specjalne oświadczenie w związku z wyborem Tadeusza Mazowieckiego na premiera. Uznała ona to za „wydarzenie historyczne”, które przyjmuje „z zadowoleniem i nadzieją”. Jednocześnie wyrażała nadzieję, że utworzony przez niego rząd „spełni oczekiwania społeczne”, a także zadeklarowała „lojalne podejście i gotowość do współpracy we wszystkich dziedzinach, gdzie poglądy nasze okażą się zbieżne”, oraz „w pełni rzeczowy i konstruktywny stosunek” wobec niego. Sformułowała także wobec tworzonego przez niego gabinetu postulaty, od których realizacji miało zależeć powodzenie misji Mazowieckiego. Na pierwszym miejscu znalazło się „wprowadzenie całkowitej swobody działania wszystkich partii politycznych”, na drugim „nieskrępowana wolność zrzeszania się, słowa i prasy”,



Powołanie Tadeusza Mazowieckiego na premiera, Sejm, 24 sierpnia 1989 r.

FOT. PIOTR TEODOR WALCZAK/PAP

a na trzecim „przyjęcie całkiem demokratycznej ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu oraz samorządu terytorialnego”.

Lider KPN Leszek Moczulski stwierdzał zresztą – w Radiu Wolna Europa – że w rozmowie z Tadeuszem Mazowieckim powiedział mu, iż stosunek jego partii do tworzonego przez niego rządu jest „maksymalnie życzliwy” i zarazem „maksymalnie rzeczowy”. O samym zaś premierze wyrażał się z ogromnym uznaniem za „wyjątkową kryształową uczciwość” i „naprawdę wielki rozum”. Mówił o nim jako o „człowieku wielkich zalet charakteru, serca, umysłu”, ale dodawał, że nie wie, czy jest on „wystarczająco przebojowy na taki trudny okres”.

Z kolei stanowisko Federacji Młodzieży Walczącej wobec Mazowieckiego i jego rządu tak przedstawiał jej przedstawiciel z Krakowa Wojciech Polaczek: „Przejęcie władzy przez Solidarność było jedyną szansą i nadzieją na zaradzenie wybuchowi społecznemu”. Nie było jednak oczywiście – jego zdaniem – tego gwarancją, tym bardziej że nowy rząd stawał przed kilkoma zagrożeniami. I to z różnych stron – z jednej „skostniałego średniego dozoru w zakładach i nomenklatury”, z drugiej zaś ze strony „opozycji wobec linii Lecha Wałęsy” i „radikalnych

ugrupowań niegodzących się na kompromis z komunistami”. Jak dodawał Polaczek: „Widzimy w nowej sytuacji również szansę dla siebie, ale rozwój wydarzeń obserwować będziemy z pewnym dystansem. Nie oznacza to jednak, że będziemy przeszkadzać”.

O nowym rządzie dyskutowano również na łamach prasy do niedawna wychodzącej nielegalnie, poza zasięgiem cenzury. Maziarski we wspomnianym wcześniej artykule pisał wręcz o „obowiążącym szablonie laurek na powitanie nowego premiera”. Mazowieckiemu w związku ze zmianą w ciągu kilku tygodni stanowiska wobec Wielkiej Koalicji zarzucał chwiejność. Nie znaczy to bynajmniej, że opowiadał się przeciwko niemu, wręcz przeciwnie – doskonale świadczy o tym tytuł jego tekstu: „Trzymajmy za niego kciuki”. Stwierdzał jednak: „W sytuacji, w której się znajdujemy, nie potrzeba nam kadzideł, fanfar ani triumfalnego bicia w dzwony. Szanse na sukces daje szczerowość, otwartość na krytykę i obywatelska samokontrola”. A na zakończenie ostrzegał: „Bez poparcia opinii publicznej rząd Mazowieckiego polegnie tak samo, jak rządy komunistów”. Z kolei Wojciech Giełżyński – podobnie jak Jacek Maziarski – na łamach

„Przeglądu Wiadomości Agencyjnych” pisał o przekroczeniu Rubikonu, a także o niezwykle trudnym zadaniu stojącym przed „solidarnościowym” premierem: „Zadanie, przed którym Mazowiecki stanie, będzie – nie przymierzając – na miarę tego, które na nieszczęście świata miał kiedyś Lenin: zburzyć stary ustrój, zbudować nowy. A nawet, powiedziałbym, będzie to zadanie trudniejsze, bo Lenin miał Dzierżyńskiego – którego ani Geremek, ani tym bardziej Michnik nie zastąpią”.

W podobnym duchu oceniano wybór Tadeusza Mazowieckiego na premiera w „Woli”, której redakcja z jednej strony stwierdzała: „W kalendarzu polskiej historii odwróciła się kolejna karta”, a z drugiej dodawała: „Nie chcemy pisać o niebywale trudnych zadaniach nowego rządu”. Wzywano również – np. Krzysztof Czabański – do wsparcia Tadeusza Mazowieckiego, „mimo i ponad wszelkie różnice istniejące w Solidarności, w opozycji i społeczeństwie”, gdyż jego rząd jest „zapewne jedną z ostatnich szans na ewolucyjny przebieg wydarzeń polskich”, a także „jest władny dokonać skoku z socjalizmu w kapitalizm”, oraz wskazywano, że dzięki niemu „otwiera się droga radykalnych przemian politycznych”. I to mimo że – jak pisał Czabański – „szanse tego rządu na trwanie są oceniane jako niskie”. Nie był zresztą w tej opinii odosobniony.

Piotr Pacewicz w „GW” krytykował Mazowieckiego za jego „niefortunne” stwierdzenie, że „będzie premierem wszystkich Polaków”. Wyrażał obawę, że ten będzie „premierem czasów waśni”. I dodawał: „Nasz rząd musi opowiedzieć się po stronie tych sił społecznych, które mogą – w nieuchronnym konflikcie z innymi – dać impuls zmianom [...], wolalbym, żeby nasz premier od początku prezentował się jako polityk menedżer o wyraźnej wizji ekonomicznej i politycznej, a nie jako dostojny strażnik najważniejszych nawet tradycji i narodowej zgody”. W przewrotny sposób jego oczekiwania spełniły się w postaci tzw. wojny na górze między rządem Tadeusza Mazowieckiego a jego „ojcem” Lechem Wałęsą przed wyborami prezydenckimi w listopadzie 1990 r. Ale to już temat na inną – nie mniej ciekawą – opowieść.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorką jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



Radosław Wojtas

Wchodzili nocą, uzbrojeni w karabiny, nieznoszący sprzeciwu. Wyrzucali z domów całe rodziny, dając im kwadrans na spakowanie tylko kilku najpotrzebniejszych rzeczy. Bywało, że w jeszcze ciepłych łóżkach, na oczach Polaków śpiących w nich przed chwilą, nowi niemieccy lokatorzy układali swoje dzieci do snu. W Poznaniu – wreszcie, po 85 latach od tamtych wydarzeń – stanął pomnik poświęcony wypędzonym Wielkopolanom

Niemcy nie tracili czasu. Swoją doktrynę poszerzania przestrzeni życiowej zaczęli wcielać w życie już w pierwszych miesiącach okupacji Polski. W pierwszej kolejności pozbywano się Polaków i Żydów z Kraju Warty – ziem, które Niemcy uważali za swoje, które stracili tylko przejściowo. Trzeba je było tylko zgermanizować. W tym celu należało pozbyć się Polaków i Żydów, a na ich miejsce sprowadzić Niemców. „Heim ins Reich” – „do domu w Rzeszy”.

„Będzie tu kwitnący kraj niemiecki, gdzie nie będzie ani Polaka, ani Żyda! Taka jest prawda. Jeśli ktoś mnie spyta, gdzie będą, odpowiem: nie wiem. W Palestynie albo na pustyni Sahara, to mi zupełnie obojętne. Ale tu będą mieszkać ludzie niemieccy!” – zapowiadał Robert Ley, przywódca Niemieckiego Frontu Pracy DAF. Z kolei Arthur Karl Greiser, namiestnik III Rzeszy w Kraju Warty, nie pozostawiał złudzeń: „Kto zna polską mentalność, ten wie, że tylko ścisłe rozgraniczenie narodowości i zdecydowane odrzucenie wszystkich polskich pretensji może uchronić nas przed powtórzeniem błędów przeszłości [...] Stosunek do Polaków został z tego względu od samego początku ustalony według zasady, kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam, a kto

jest przeciw nam, ten zginie”. Uważał on Polaków za „element niegodny do włączenia w społeczeństwo niemieckie”.

Nie wszystkich dało się zabić, choć trzeba przyznać, że niemiecka machina śmierci pracowała z pełną mocą. Polaków i Żydów wyrzucano z ich mieszkań i domów. 5 listopada 1939 r. pierwsi Wielkopolanie zostali osadzeni w obozie przejściowym Lager Główna. Przez kilka miesięcy przewinęły się przez niego dziesiątki tysięcy ludzi. W całej akcji przesiedleńczej setki tysięcy osób wywieziono do Generalnego Gubernatorstwa, a kolejne setki tysięcy wyrzucono z ich domów i pozostawiono na obszarach wcielonych do Rzeszy jako obywateli drugiej kategorii. Wszak Niemcy potrzebowali niewolników.

„DOBRALI SIĘ DO MOJEJ MAMY”

Leokadia Wolniewicz miała 13 lat, gdy wybuchła wojna. Dobrze zapamiętała grozę tamtych dni. We wspomnieniach nagranych przez Poznańskie Archiwum Historii Mówionej przyznawała, że ani



ona, ani jej najbliżsi nie wierzyli do samego końca, że wybuchnie wojna. Nawet w momencie, gdy w Poznaniu słuchać już było strzały i wybuchy, łudzili się, że być może to tylko jakieś ćwiczenia. Nie dopuszczali myśli, że ich życie – tak jak wielu milionów innych ludzi – właśnie wywraca się do góry nogami.

A było to dobre życie niezłe sytuowanej siedmioosobowej rodziny, mieszkającej w nowym domu w Poznaniu. Ojciec pani Leokadii za późno próbował zgłosić się na ochotnika – nie było już dokąd się zgłaszać. Rodzina spakowała walizki i miała uciekać, ale ostatecznie – widząc tłumy uciekających ludzi na drogach i bombardowania ludności cywilnej – podjęła decyzję, że zostaje. – Mama powiedziała: „No ostatecznie Niemcy też ludzie”. Żyła przecież tyle lat pod zaborami. Nie spodziewaliśmy się, że to są tacy ludzie – wspominała pani Leokadia.

Jacy? Ano tacy, którzy zjawiali się późnym wieczorem, w środku nocy lub nad ranem. Uzbrojeni, brutalni, bezwzględni. Kazali się wynosić, dając kilkanaście

człowiek”?



Jedna z akcji wysiedleń Polaków w 1939 r.

FOT. BUNDESARCHIV; R 49 BILD-0131/WILHELM HOLTFRETER CC-BY-SA 3.0

minut na zabranie tylko najpotrzebniejszych rzeczy. Nic cennego. Ciepła odzież lub koc, trochę prowiantu, niewiele gotówki. Reszta musiała zostać dla nowych lokatorów. Do drzwi domu pani Leokadii Wolniewicz gestapowcy załomotali tuż przed Wigilią, 22 grudnia 1939 r. Jej ojca aresztowali i zabrali do obozu koncentracyjnego. Reszcie rodziny dali 20 minut na opuszczenie lokalu.

Z wygodnego domu trafili do biednej izdebki w Naramowicach. Mieli szczęście, bo większość nie dostawała lokali zastępczych, tylko trafiała do obozu przejściowego, gdzie warunki były dużo gorsze. Leokadia Wolniewicz – obywatelka drugiej kategorii Kraju Warty – wspominała, że najtrudniej było znieść upokorzenie. Jak wtedy, gdy została sama w domu i otworzyła drzwi niemieckiemu żołnierzowi. Nie знаła języka, nie rozumiała, co do niej mówi.

– Za to dostałam na odlew w twarz. Tę łapę pamiętam do dziś, chyba z żelaza była, bo jak dostałam w głowę, to przeleciałam przez cały pokój. Płakałam

„Kolbami karabinów trzaskali go po głowie, po plecach. Cały był zalany krwią”

nie z bólu, lecz z poniżenia. To było dla mnie okropne – opowiadała w nagraniu dla Poznańskiego Archiwum Historii Mówionej.

Rodzina wróciła do swojego domu po kapitulacji Niemców. – Dom był zrujnowany, góra była całkowicie zniszczona. Ale pozatykaliśmy dziury i mieszkaliśmy – relacjonowała Leokadia Wolniewicz. W końcu maja 1945 r. z obozu koncentracyjnego wrócił schorowany ojciec.

Marianna Dąbkowska, wspominając tragiczne wydarzenia z 1939 r., opowiadała, że dla jej rodziny to była prawdziwa tragedia, bo jej ojciec był bardzo przywiązany do ziemi, którą dostał od swojego ojca. Jednak konieczność porzucenia ojcowizny nie była najgorszym,

co ich spotkało. Rodzina doświadczyła niezwykłego bestialstwa ze strony Niemców. – Późnym wieczorem weszli do izby żołnierze. Byli uzbrojeni, umundurowani. Mój ojciec siedział w tym czasie na poznańskiej ryczce, drewnianym krzesiełeczku, które sam zrobił, i obierał ugotowane ziemniaki. Podeszli do niego i kazali mu z tego krzesiełeczka uklęknąć. Ojciec wiedział, co to znaczy. Że jeżeli uklęknie, to dostanie kulę w głowę. Nie zrobił tego – opowiadała pani Marianna w nagraniu udostępnionym na kanale YouTube Miasta Poznań. – Kolbami karabinów trzaskali go po głowie, po plecach. Cały był zalany krwią. Obserwował to m.in. mój czteroletni brat Mieczysław. Ja leżałam na pryczy pokrytej słomą, na której spaliśmy, a obok siedziała mama. Żołnierze, kiedy zorientowali się, że ojciec za wszelką cenę nie uklęknie, dobrali się do mojej mamy. Kilukrotnie wszyscy po kolei zgwałcili moją mamę. Kiedy o tym mówię, to pęka mi serce z żalości, co musiała czuć moja mama, tak skromna kobieta, tak dobra, co ona czuła w tym momencie. Gdyby jednak ojciec uklękł, to byłby zastrzelony mój brat Mieczu, moja mama, ja i Józio – dodawała pani Marianna.

„DO MIESZKANIA ŁADOWALI SIĘ BALTENDEUTSCHE”

Niemieckie plany zdobycia na wschodzie tzw. przestrzeni życiowej (Lebensraum) zakładały „germanizację ziemi”. Dotychczasowi mieszkańcy w większości byli zbędni. Rodziny do wysiedlenia typowano według kilku kryteriów. Wybiórano ludzi, którzy przed wojną zajmowali się działalnością polityczną, należeli do niepodległościowej konspiracji albo mieli zdolności przywódcze. Pozbywano się inteligencji, majątniejszych mieszkańców i tych, których wskazali miejscowi Niemcy.

Losy wysiedlonych były różne. Część od razu wywożono do Generalnego Gubernatorstwa. Inni trafiali do obozów przejściowych. Koniec dla tych, którzy przeżyją, zawsze miał być podobny. Jak pisał w swoim dzienniku Joseph Goebbels: „Führer nie chce asymilacji Polaków. Powinno się ich wtłoczyć do tego ich pomniejszonego państwa [Generalnego Gubernatorstwa] i tam pozostawić samych sobie”.



Pomnik Wypędzonych Wielkopolan odsłonięto 5 listopada 2024 r., w 85. rocznicę pierwszych wypędzeń. FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

■ Ten plan najszerzej realizowano w Kraju Warty (obszar wcielony do Rzeszy, składający się z przedwojennego województwa poznańskiego, południowej części województwa pomorskiego, części łódzkiego z Łodzią oraz powiatu gostynińskiego). Tylko w obozie Lager Glowna, stworzonym w Poznaniu przy ul. Bałtyckiej w okresie od 5 listopada 1939 r. do 20 maja 1940 r., osadzono 33,5 tys. ludzi, w większości Polaków, głównie mieszkańców Poznania. Do 1944 r. z Kraju Warty do Generalnego Gubernatorstwa wysiedlono ponad 280 tys. osób, kolejne 350 tys. wyrzucono z domów i osiedlono na tym samym terytorium, ale w innych lokalach. W sumie wysiedlenia do GG i przesiedlenia wewnętrzne ludności polskiej na całym obszarze wcielonym do III Rzeszy dotknęły w latach 1939–1944 niemalże 850 tys. osób.

Warunki w obozach były bardzo trudne. Skromne racje żywnościowe, zimno, do tego koszmarnie warunki sanitarne, gryzonie, insekty i pasożyty. Ludzie mieszkali w drewnianych barakach, spali na pryzkach albo na posadzkach. Szczęśliwcy mieli trochę słomy, inni nie. Teren otoczony był drutem kolczastym, a na wieżyczkach uzbrojeni strażnicy pilnowali, by nikt nie próbował ucieczki. Marta Przybyła w tym samym nagraniu na kanale YouTube Miasta Poznań opowiada, jak wyglądała jej – czyli wówczas dziecka – codzienność. – Co myśmy robili

jako dzieci w lagrach? Chodziliśmy żebrać. Były łózka zbite z desek. Jedni mieli słomę, inni nie. Co transport przyjeżdżał, to byli ludzie coraz biedniejsi, coraz bardziej zawaszewieni, zarobaczeni. I tam była taka koza, czyli piecyk. Żeby chociaż troszeczkę się ogrzać, to myśmy zbierali po niemieckich śmietnikach jakikolwiek papierek czy but jakiś, żeby przynieść, żeby stanąć przy tym piecyku i się ugrzać. Często się żebrało. Przeważnie Niemcy wyzywali nas

„W czasie, kiedy się pakowałam, Niemki układały swoje dzieci do mojego jeszcze ciepłego łózka”

od gówna polskiego, względnie od świni polskiej. Rzadko znalazł się Niemiec, który podał rękę i dał pół komisiaka. To było ogromne wielkie święto – mówiła.

W tym czasie w domach wysiedleńców mogły już mieszkać niemieckie rodziny, ściągnięte na kolonizowane tereny z krajów bałtyckich, Wołynia i innych miejsc na wschodzie. Planowano ściąganie Niemców z obu amerykańskich kontynentów. Czasem nowi lokatorzy zjawiali się od razu. To relacja Anny Błaszczuk, przytoczona w książce Agnieszki Cudały pt. „Wielkopoleanie ’44.

Jak mieszkańcy Wielkopolski walczyli w powstaniu warszawskim”: „W pewną mroźną noc, kiedy mój mąż był akurat na nocnej zmianie, ktoś ciężko zapukał do drzwi naszego mieszkania. Była druga w nocy. Przebudzona hałasem otworzyłam drzwi i struchlałam. W drzwiach stało trzech Niemców z karabinami, którzy oświadczyli, że muszę opuścić mieszkanie, ponieważ dla nas jest za duże, a niemieckie rodziny z dziećmi [...] nie mają gdzie mieszkać. Rzeczywiście do mieszkania ładowali się Baltendeutsche; było ich chyba z dziesięciu z dziećmi [...]. Chciałam zabrać trochę rzeczy, ale Niemiec krzyknął:

– Schnell, schnell, raus, raus!

W czasie, kiedy się pakowałam, Niemki układały swoje dzieci do mojego jeszcze ciepłego łózka”.

„MYŚMY NIE MIELI DZIECIŃSTWA”

Musiało minąć 85 lat od pierwszych wysiedleń, by w Poznaniu stanął pomnik Wypędzonych Wielkopolan. Od lat o upamiętnienie upominali się sami wypędzeni i ich rodziny. Monument projektu Karola Badyny stanął u zbiegu ulic Powstańców Wielkopolskich i Towarowej w Poznaniu. Przedstawia wypędzonych w różnym wieku, stłoczonych na małej przestrzeni.

– Marzeniem moim jest, aby powstał pomnik, żeby ludzie po naszym odejściu na drugą stronę, żeby młodsze pokolenie pamiętało na wsze czasy, ile krzywdy wyrządzili Polakom Niemcy – mówiła jeszcze przed powstaniem monumentu Marta Przybyła. – Moje wspomnienia i moje dzieciństwo, wspomnienia wszystkich takich ludzi jak my, którzy zostali wypędzeni z mieszkań, to było dzieciństwo zmarnowane. Myśmy nie mieli dzieciństwa. Nawet po wojnie przez kilka lat nie było dzieciństwa, bo nasze nerwy, nasze zdrowie były dosłownie wykończone. Na przykład w szkole, gdy pani mnie zapytała o cokolwiek, a potem głos uniosła, to już mi łyzy leciały. A w ogóle przez wszystkie lata jako dzieci umieliśmy po niemiecku liczyć, wołać i bawić się, ale jak człowiek słyszał po wojnie niemiecki język, to dosłownie gęsiej skóry dostawał – wspominała.

O czymś takim nie wolno zapomnieć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zachował się, jak trzeba

Wnatłoku sztucznie kreowanych bohaterów powstania warszawskiego w ramach postsanacyjnej polityki historycznej uchodzą naszej uwadze ci, którzy na takie miano zasłużyli szczególnie. Należy do nich ppłk Antoni Żurowski „Andrzej”, „Bober”, komendant Obwodu VI AK Warszawa Praga. Wywodził się z I Korpusu Polskiego gen. J. Dowbor-Muśnickiego, skąd trafił do odradzającego się Wojska Polskiego.

W listopadzie 1918 r. aktywnie uczestniczył w odzyskiwaniu niepodległości przez Polskę, rozbrajając Niemców i Austriaków w Radomiu. Brał udział w obronie polskiego Lwowa przed Ukraińcami, następnie w wojnie polsko-bolszewickiej. Podczas obrony Warszawy w sierpniu 1920 r. został ranny. Po wojnie pozostał w wojsku, w służbie zawodowej. We wrześniu 1939 r. służył w Korpusie Ochrony Pogranicza, walcząc z Armią Czerwoną. Epopeję wojenną zakończył dopiero w ostatnich walkach pod Kockiem, w Samodzielnej Grupie Operacyjnej „Polesie”.

Po kapitulacji nie poszedł do niewoli i natychmiast podjął służbę w konspiracji, cały czas w Obwodzie Praga. Tam przygotowywał swych podkomendnych do powstania. Na skutek przygniatającej przewagi Niemców (był to teren przyfrontowy), nie chcąc gubić swych żołnierzy i przede wszystkim ludności cywilnej, 6 sierpnia 1944 r. nakazał

zaprzymanie walk i ponowne przejście do konspiracji. Należy pamiętać, że Praga na ogół nie miała zwartej zabudowy, wiele budynków było drewnianych, nawet barykad nie było gdzie i jak stawiać. Na tym polegała rozważa dowódcy, którego nie nęciło hasło: „Poszli nasi w bój bez broni”.

Po wejściu Sowietów na Pragę próbował unormować sytuację i nawiązał kontakty z „ludowym” Wojskiem Polskim. Szybko jednak doszło do aresztowań żołnierzy AK i ich prześladowań. Podpułkownik Żurowski wraz z podkomendnymi wrócił do konspiracji. Jednak już w listopadzie 1944 r. został aresztowany przez NKWD. Propozycję współpracy z komunistami kategorycznie odrzucił. Szybko doszło do „rozprawy sądowej”. Otrzymał dwie kary śmierci ostatecznie zamienione na 10 lat więzienia. Miał dodatkowe szczęście – podczas transportu do więzień sowieckich w lipcu 1945 r. został odbity przez żołnierzy poakowskiego podziemia (ze zgrupowania mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”), udał się do Warszawy i skorzystał z tzw. amnestii. Wiedział jednak, co go czeka, zatem natychmiast zaczął się ukrywać. Trwało to aż 13 lat.

W polityce historycznej po 1989 r. więcej miejsca było dla „bohaterów” bardzo wątpliwych niż dla niezłomnych jego pokroju. Tym bardziej musimy doceniać i pamiętać takie postaci jak ppłk Żurowski. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wdowa po krwawym Felku

Jeden z największych bolszewickich oprawców był w młodości gorliwym katolikiem. Podczas nauki w I Męskim Gimnazjum w Wilnie działał również w organizacjach uczniowskich, a po latach największe wrażenie wywołuje członkostwo w organizacji Serce Jezusowe. Podobno zdarzało się, że kilkunastoletni Dzierżyński „krzyżem leżał w kościele, modląc się o odrodzenie Polski”. Uniesienia religijne szybko jednak mu przeszły, ale Zofię Muszkat poślubił 10 listopada 1910 r. według obrządku katolickiego. Inna sprawa, że w Galicji nie było wówczas ślubów cywilnych.

Zofia Dzierżyńska przeżyła męża o 42 lata. Do końca życia pozostała w Moskwie, zajmując się sprawami polskimi, a Zygmunt Berling uważał ją „za najbardziej ograniczonego człowieka, jakiego znał”. Do Polski na stałe już nie powróciła, ale po wojnie czasami jednak odwiedzała kraj. Podczas jej wizyty na zjeździe zjednoczeniowym PPR i PPS doszło do wydarzenia rzucającego interesujące światło na stosunek polskiego kierownictwa do wdowy po Felksie. Szkoda tylko, że dziesiątki ludzi przypłaciły to więzieniem.

Aresztowań dokonano po wybuchu w pałacyku, gdzie na czas zjazdu zatrzymała się Dzierżyńska. Nie była to jednak eksplozja bomby czy też ładunku wybuchowego, detonował... bojler z gorącą wodą. Władze jednak doszły

do wniosku, że towarzysza Zofia może uznać to za zamach na swoje życie, w efekcie aresztowano i skazano na więzienie dziesiątki ludzi. Były to osoby biorące udział w kupnie nieszczęsnego bojlera, transporcie i montażu.

Zofia Dzierżyńska zmarła w 1968 r. Przed śmiercią napisała wspomnienia o czasach konspiracji i rewolucji październikowej. Książka została również wydana w Polsce, wzbudzając negatywne odczucia. Ale Stefan Kisielewski miał wrażenie sentymentalnego powrotu w czasy młodości.

„Są to wspomnienia Zofii Dzierżyńskiej, żony Felksa, zatytułowane »Lata wielkich bojów«. Pierwsza część – zadziwiająca: występują w niej wszyscy starzy Żydzi warszawscy i krakowscy, znajomi moich rodziców, różni Warscy, Horwicowie, Sachsowie, Korczak etc., a i sama Dzierżyńska Żydówka, z domu Muszkat”.

Również i ja miałem okazję się z tą książką zapoznać. Ze względu na różnicę wieku i doświadczeń życiowych dzielące mnie ze słynnym Kisielem miałem odmienne wrażenie. Nie odczuwałem żadnych sentymentów. To była wyjątkowo ciężka pozycja wydawnicza napisana przez fanatyczkę, dla której czas zatrzymał się w pierwszych dekadach XX stulecia. Z trudem przebrnąłem przez tę książkę, chociaż jako historyk przyzwyczajony jestem do lektury bardzo różnych źródeł. ©

Udział Pjongjangu w wojnie po stronie Moskwy nie jest wielkim zaskoczeniem. Rosja po 24 lutego 2022 r. zwróciła się w stronę Azji w poszukiwaniu partnerów i sojuszników. W czerwcu oficjalnie zawarła sojusz wojskowy z Koreą Północną. Putina z Kim Dzong Unem łączy wspólny wróg, czyli Zachód. Do niedawna współpraca ograniczała się do wsparcia materiałowego ze strony Pjongjangu. Według informacji podawanych przez Kijów, Waszyngton i Seul na początku listopada Pjongjang wysłał do Rosji ok. 12 tys. żołnierzy celem udziału w walkach z Ukraińcami. Około 11 tys. z nich trafiło do obwodu kurskiego, gdzie ponoć Koreańcy z północy przeszli już swój chrzest bojowy.

– W istocie mamy wiele nieweryfikowalnych informacji, niekiedy wręcz sprzecznych co do obecności żołnierzy z KRLD w Rosji. Już sama liczba tych żołnierzy nie jest potwierdzona – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy” Michał Nowak z portalu Nowy Ład, analityk do spraw polityki międzynarodowej, konfliktów i terroryzmu. Najprawdopodobniej na ukraiński front trafili żołnierze sił specjalnych, przy czym znaczenie tego terminu jest inne niż na Zachodzie. – Nie są to więc bynajmniej komandosi czy sama elita tej armii, ale wydaje się, że nie są to też poborowi niedawno co zmobilizowani do wojska – mówi Nowak. – Żołnierze SZ KRLD nie posiadają żadnego doświadczenia bojowego, a jakość ich szkolenia jest nieznana z uwagi na zamknięty charakter tego państwa – dodaje.

PRZEKROCZENIE KOLEJNEJ GRANICY

To, czy armia KRLD odmieni sytuację na froncie na korzyść Moskwy, będzie zależeć od potencjału ilościowego i jakościowego wysłanych na pomoc Putinowi oddziałów. – Udział przedstawianych przez różne źródła żołnierzy w liczbie od 3 do 15 tys. żołnierzy nie będzie miał żadnego odczuwalnego wpływu na sytuację na froncie i nie zwiększy rosyjskiego potencjału ofensywnego. To może się zmienić, dopiero gdy liczba tych żołnierzy zbliży się do co najmniej 50–100 tys. – komentuje Michał Nowak. – Nie to jednak jest najważniejsze. Zwrócić uwagę trzeba na sam fakt przekroczenia kolejnej granicy w eskalacji działań oraz gotowości



FOT. CONTRIBUTOR/CITY IMAGES

Armia Kima u Putina



Maciej Pieczyński

Kim są żołnierze Kim Dzong Una oddelegowani na front ukraiński? I czy są w stanie odmienić losy wojny?



KOREA PÓŁNOCNA MUREM ZA ROSJĄ

i nieprzerwanych dostaw zaopatrzenia, przede wszystkim amunicji artyleryjskiej.

– Rosja przez ostatnie ponad dwa lata niemal pozbawiła się własnych zapasów, a nawet przestawienie gospodarki na tory wojenne nie daje wystarczającego potencjału produkcyjnego w tym zakresie. I tu właśnie pojawia się pomoc ze strony KRLD – komentuje ekspert Nowego Ładu. – Dostawy prawdopodobnie setek tysięcy pocisków artyleryjskich czy moździerzowych umożliwiają może nie tyle kontynuację wojny, ile prowadzenie szerokich działań ofensywnych na wielu kierunkach równocześnie. Z kolei dostawy północnokoreańskich kopii rosyjskich pocisków balistycznych Iskander, czyli pocisków KN-23, dają Rosji potencjał do regularnego prowadzenia ataków na ukraińskie zaplecze, w tym na infrastrukturę krytyczną.

Potencjał KRLD na tym się jednak nie zamyka. – Poza przekazaniem ochotników na front państwo Kimów może jeszcze: uruchomić własny przemysł zbrojeniowy do pracy na rzecz Rosji, przekazać pracowników do rosyjskich fabryk zbrojeniowych, przekazać żołnierzy do pracy na rosyjskim zapleczu, wzmocnić wsparcie materiałowe poprzez przekazywanie nie tylko amunicji artyleryjskiej czy pocisków balistycznych, lecz także sprzętu ciężkiego, który ma zmagazynowany – wymienia Michał Nowak. Również działania eskalacyjne wobec Seulu będą zgodne z rosyjskim interesem, bo zmuszą Amerykanów do zwrócenia większej uwagi na ten teatr działań, być może kosztem wsparcia dla Ukrainy.

Ekspert zaznacza jednak, że brakujące wizualnych dowodów na obecność żołnierzy KRLD nie tylko na ukraińskim froncie, lecz także w jego pobliżu. Wszystkie pojawiające się do tej pory zdjęcia stanowiły albo oddolny, albo państwowy (ukraińskie służby) PSYOPS (operacje psychologiczne wpływające na emocje) lub też były swego rodzaju trollingiem rosyjskich żołnierzy. Finalnie żołnierze z KRLD mogą, ale wcale nie muszą pojawić się na froncie.

ŻOŁNIERZE ZA RYŻ

Zdaniem ekspertów Rosję i Koreę Północną połączyły względy zarówno czysto pragmatyczne, jak i ideologiczne. Moskwa zyskuje żołnierzy i amunicję. W zamian Pjongjang może liczyć na rosyjskie technologie.

Według doniesień południowokoreańskiego wywiadu Moskwa płaci Korei Północnej 2 tys. dol. za każdego żołnierza. To równowartość 83 rocznych pensji jednego mieszkańca KRLD. Pjongjang otrzymał też od Rosji ok. 700 tys. ton ryżu, co wystarczy, aby pokryć ponad połowę rocznego zapotrzebowania w kraju.

Profesor Michał Lubina z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego zwraca uwagę na jeszcze jedną obopólną korzyść, niekoniernie dostrzegalną z europejskiej perspektywy, ale bardzo istotną w kontekście azjatyckiej geopolityki. – Zarówno Korea Północna, jak i Rosja są klientami, w pewnym sensie junior partnerami Chin. Zacieśniając współpracę dwustronną, jednocześnie wzmacniają swoją pozycję w relacjach z Pekinem. Sojusz Pjongjangu i Moskwy jest więc sposobem na zmniejszenie uzależnienia od Państwa Środka – mówi ekspert. Jego zdaniem więcej na zbliżeniu zyskuje Korea Północna. – Oba państwa są zainteresowane odrzuceniem porządku międzynarodowego. Oba są pariasami, choć w różnym stopniu. Korea Północna jest izolowana niemal przez cały świat, Rosja w zasadzie jedynie przez Zachód – wskazuje prof. Lubina. – Pjongjang nie ma wielkiego wyboru, przyjmie ofertę każdego państwa, które cokolwiek zaproponuje. A szczególnie mocarstwa atomowego, stałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ, który może się podzielić technologią wojskową.

Dla Koreańczyków z północy Ukraina, a nawet Rosja to zupełnie inny, w znacznym stopniu lepszy świat niż ten, w którym dotychczas żyli. Można więc się zastanawiać, czy po powrocie do kraju ich wspomnienia i wrażenia nie będą problemem dla totalitarnej władzy. To perspektywa znana z rosyjskiej historii. Oficerowie – weterani wojny ojczyźnianej z Napoleonem, którzy w pogoni za agresorem dotarli aż nad Sekwanę – niewiele ponad dekadę później zorganizowali nieudane powstanie, którego celami były obalenie cara i zmiana ustroju na bardziej liberalny.

Kim Dzong Un również potencjalnie ryzykuje, wysyłając swoje oddziały do Europy. Nawet jeśli nie zapragną zmian, to mogą np. trafić do ukraińskiej niewoli. A wtedy ich zeznania z pewnością zostaną wykorzystane przez Kijów albo przez

do podejmowania działań niezgodnych z „oczekiwaniem” Waszyngtonu. Jeżeli KRLD i Rosja nie doczekają się żadnej odczuwalnej odpowiedzi ze strony USA, a przecież trudno sobie wyobrazić, by Waszyngton mógł realnie jeszcze bardziej zaszkodzić państwu Kimów, to w dalszej perspektywie może pojawić się gotowość do wzmocnienia potencjału kontyngentu żołnierzy KRLD – dodaje.

Jak stwierdza ekspert, od liczby oddziałów wysłanych na front dla Rosji ważniejsze jest wsparcie otrzymywane od Kim Dzong Una – kolejne dostawy amunicji artyleryjskiej, pocisków balistycznych. KRLD staje się zapleczem materiałowym, pracującym na rzecz Moskwy. Ważniejsze od żołnierzy są i będą fabryki.

Prowadzenie wojny pełnoskalowej z nieustającymi działaniami bojowymi, a szczególnie z trwającymi już od ponad roku nieprzerwanymi działaniami ofensywnymi, wymaga równie nieustannych

Seul. Wiadomo bowiem, że Korea Południowa jest żywo zainteresowana obecnością wojsk KRLD nad Dnieprem. Jednak, jak przekonują eksperci, zagrożenia tego typu są niewielkie. – To ryzyko jest wkalulowane w koszty. Może gdyby doszło do jakiejś masowej dezercji, Pjongjang miałby problem. Na razie jednak na to się nie zapowiada. Ponadto Korea Północna ma do perfekcji opanowane mechanizmy kontroli swoich obywateli. Jeśli ktoś ucieka z kraju, to cała jego rodzina w najlepszym wypadku trafia do obozu koncentracyjnego, w najgorszym zostaje ukarana śmiercią. Życie swoich bliskich ryzykuje niewielu – komentuje prof. Michał Lubina. Poza tym, jak wskazuje ekspert, ryzyko dezercji czy rozbudzenia ewentualnej nadziei na zmiany w kraju jest o wiele mniejsze niż zysk, którym jest dla KRLD doświadczanie bojowe, zebrane na froncie przez północnokoreańskich żołnierzy. To zresztą również ciekawy wątek całej sprawy.

Od momentu zakończenia wojny koreańskiej, nie licząc pojedynczych operacji lotnictwa (wojna w Wietnamie czy wojna Jom Kippur), wojska KRLD nie brały udziału w regularnych walkach. Biorąc pod uwagę militarystyczną retorykę tego totalitarnego państwa, otrzymywanie żołnierzy w prawdziwym boju to ogromna wartość. A jeśli większość z nich tego chrztu bojowego nie przeżyje, to nikt za nimi nie zapłaci. Północnokoreańska propaganda natomiast zyskać może męczenników świętej wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Tak, z USA, bo Ukraina nie jest przez Pjongjang traktowana jako suwerenne państwo, a jedynie jako podnózek znienawidzonego Waszyngtonu.

WRÓCĄ BOGATS I O WIEDZĘ

Analitik do spraw Półwyspu Koreańskiego i Japonii w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych dr Oskar Pietrewicz zauważa, że Pjongjang dobrze sobie radzi z obywatelami, którzy mieli okazję zobaczyć „inny, lepszy świat”. – Północnokoreańscy dyplomaci po powrocie z zagranicznych placówek otrzymują coś w rodzaju przymusowego, wielomiesięcznego „urlupu”, podczas którego są ponownie indoktrynowani i pouczeni, w jaki sposób mają opowiadać o zagranicy w rozmowach z rodakami – mówi dr Pietrewicz. Ekspert PISM przypomina

również, że setki tysięcy północnokoreańskich robotników pracują sezonowo w Chinach i Rosji. Oni też kiedyś wracają do kraju i mogą potencjalnie opowiadać o tym, co przeżyli i zobaczyli. Skoro jednak z nimi nie ma większych problemów, to tym łatwiej władzom będzie poradzić sobie z kilkoma tysiącami żołnierzy. – Na razie temat wysłania żołnierzy na Ukrainę nie istnieje w północnokoreańskiej propagandzie. W przyszłości jednak ich udział w konflikcie może być wykorzystany i przedstawiony jako chwalebna wojna z amerykańskim imperializmem, której

Władimira Putina i Kim Dzong Una pod względem ideologicznym bez wątpienia łączy wrogość wobec Zachodu

weterani mogą otrzymać np. mieszkania w stolicy w kraju (co jest ogromną nobilitacją) – mówi dr Pietrewicz. – Niemniej powrót z innego, lepszego świata jest ryzykowny, dlatego w interesie Kim Dzong Una jest, aby na froncie zginęło możliwie najwięcej jego żołnierzy, a także by wróciła kadra dowódcza, bogatsza o wiedzę i doświadczenie, zdobyte na nowoczesnym polu walki.

Putina i Kim Dzong Una pod względem ideologicznym bez wątpienia łączy wrogość wobec Zachodu. – Pjongjang jest nie tyle nawet antyzachodni, ile konkretnie antyamerykański. Stany Zjednoczone, obok Japonii, od czasu wojny koreańskiej uważane są za największego wroga państwa Kimów. Postrzegane są jako „imperium zła”, które zagraża istnieniu Korei Północnej. A jako że wojna na Ukrainie traktowana jest jako konflikt amerykańsko-rosyjski, poparcie dla Moskwy jest w optyce Pjongjangu czymś oczywistym. Na razie jednak tamtejsza propaganda na użytek wewnętrzny mówi jedynie o wsparciu politycznym, a nie o wysyłaniu żołnierzy na front – mówi dr Pietrewicz.

Korea Północna jest chyba najbardziej zamkniętym, a także najbardziej totalitarnym państwem świata. Rosja to przy niej oaza demokracji i wolności słowa. Jakim cudem taka dyktatura jest możliwa

w XXI w.? Czy to Koreańczycy z północy z natury są ulegli władzy czy też władza dynastii Kimów jest tak bezwzględna i skuteczna, że jakikolwiek opór jest w tym kraju niewyobrażalny? Na te pytania trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Trzeba jednak pamiętać, że niecałe 100 lat temu Koreańczycy byli jednym narodem. Północ i południe kraju poszły jednak w zupełnie przeciwnych kierunkach – nie tylko politycznych, lecz także kulturowych, społecznych czy mentalnych. – Koreańczycy z południa niejednokrotnie pokazali, że potrafią buntować się przeciwko władzy. A to przecież praktycznie ten sam naród. Ich rodacy z północy nie tyle więc są z natury ulegli, ile zostali stłamszeni przez komunistyczną dyktaturę – zauważa dr Pietrewicz. Totalitarne rządy Kimów zostały zainstalowane przez Sowietów.

– W Korei przed podziałem na północ i południe panował prymitywny ustrój feudalny. Było to społeczeństwo bardzo zamknięte, przesiąknięte duchem neokonfucjanizmu, opartego na segregacji, kastowości, bezwzględnym posłuszeństwie władzy – objaśnia dr Pietrewicz. Dodaje jednak: – Na północy feudalizm został zastąpiony stalinowskim komunizmem. Na południu – autorytaryzmem i rządami wojskowymi, którzy wprowadzili też reformy kapitalistyczne. Dlatego północ poszła drogą prymitywnego totalitaryzmu, a południe w czasach w bólach wywalczyło demokrację.

Choć Rosja to przy Korei Północnej niemalże oaza wolności, to jednak obaj przywódcy należą do nieoficjalnej „międzynarodówki dyktatorów”, która wspólnie przeciwstawia się krajom demokracji liberalnej. Kremlowskie i prokremlowskie media, próbując uzasadnić alians z państwem cieszącym się opinią groteskowej satrapii, chwalą Kim Dzong Una za odporność na zachodnie sankcje, podkreślają potencjał ludnościowy i militarny nowego sojusznika, a nawet doszukują się rzekomej wspólnoty tradycyjnych wartości, jakoby wyznawanych w obu krajach. Przede wszystkim jednak podkreślają, że podczas gdy Zachód wysyła na Ukrainę jedynie broń i amunicję, Korea Północna nie boi się wysłać również żołnierzy. Czyli – Rosja ma „lepszych sojuszników”. Na pewno bardziej zdeterminowanych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



NOWY SYMBOL WATYKANU

Wydawałoby się, że od tysięcy lat katolicy mają swój symbol. Krzyż to chyba dobrze rozpoznawalny znak, niosący ze sobą przepiękne wartości wiary. A jednak Watykan zaprezentował swoją „oficjalną maskotkę” z okazji promocji Roku Jubileuszowego 2025. Maskotka to lalka w stylu anime o imieniu Luce. Arcybiskup Rino Fisichella tłumaczył, że jest ona częścią watykańskiego planu angażowania się w popkulturę. Bo młodzi ludzie popkulturę uwielbiają. Krzyż na szczęście się uchował – lalka mająca symbolizować pielgrzyma (ma płaszcz przeciwdeszczowy, laskę i ubłocone buty) ma go na szyi.

FOT. GREGORY CALZAK/ANDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

GOOGLE WYDAŁO UKRAIŃCÓW

Andrij Kowalenko, ukraiński szef Centrum Przeciwdziałania Dezinformacji, ujawnił, że Google Maps po ostatniej aktualizacji na zdjęciach satelitarnych pokazało... pozycje ukraińskich systemów wojskowych na froncie. Interweniował w koncernie, ale w odpowiedzi usłyszał, że... pracownicy mają wolny weekend. Dopiero po nagłośnieniu sprawy w mediach korporacja odezwała się do CPD, by pracować nad naprawieniem problematycznej sytuacji.

FRANCJA CZY MEKSYK?

We francuskim mieście Poitiers doszło do bójki na ulicach. Tak ogromnej, że brało w niej udział w sumie ok. 600 osób. Zaczęło się od strzelaniny w pobliżu jednej z restauracji. Potem – jak relacjonowały media – rozgorzały walki „między rywalizującymi między sobą grupami”. Francuski minister spraw wewnętrznych Bruno Retailleau

stwierdził, że kraj jest obecnie „w punkcie zwrotnym”. Jego zdaniem Francja stoi przed następującym wyborem: „albo powszechna mobilizacja, albo meksykanizacja kraju”.

BIERZCIE KRÓTSZE PRYSZNICE!

Nowy Jork obawia się suszy. Październik był bowiem wyjątkowo upalny, a deszczu spadło najmniej od 150 lat. W związku z tym burmistrz miasta zaapelował do mieszkańców, aby zaczęli oszczędzać wodę. Eric Adams w odezwie zaapelował do mieszkańców, by brali krótsze prysznice oraz żeby nie splukiwali toalety, gdy „jest to zbędne”.

JAJA W NORWEGII

Norwegom zaczęło brakować jaj. Deficyt tego towaru spożywczego oszacowano obecnie na poziomie 3,4 tys. ton, czyli ok. 54 mln sztuk. Media ostrzegają, że jajek może zabraknąć tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Władze rozważają interwencyjny import jajek z Danii. ©©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

America First... A co z Europą?



JACEK PRZYBYLSKI

Tytuł tekstu opublikowanego w poprzednim wydaniu „Do Rzeczy” („Trump idzie po Białą Dom”) okazał się proroczy. 47. prezydentem USA został właśnie Donald Trump, a republikanie przejęli pełnię władzy, czyli zachowali Izbę Reprezentantów i odbili Senat z rąk demokratów. Konserwatystom pod przywództwem Donalda Trumpa łatwiej więc będzie wcielać w życie kolejne punkty programu gospodarczego, który według deklaracji nowego prezydenta ma jeden główny cel: uczynić Amerykę znowu wielką (Make America Great Again).

Pierwotnie powyższy slogan został utworzony na potrzeby kampanii wyborczej Ronalda Reagana w roku 1980. I został przypomniany.

Polityka nowego rządu USA ma być jednoznacznie pro wzrostowa (i proinflacyjna). Prezydent elekt chce brutalnie rozgromić globalnych konkurentów i specjalnie nie zamierza się z tym kryć.

Przeciętny mieszkaniec którejkolwiek z państw UE mógłby w takiej sytuacji zapytać: Skoro Amerykanie znów będą mieli u sterów kogoś, kto dąży do tego, aby Ameryka stała się potężna, i chce stawiać interesy USA na pierwszym

miejscu (zgodnie z dewizą America First), to czy w Europie doczekamy się wreszcie podobnych przywódców? Czy znajdzie się ktoś, kto zamiast rzucać przedsiębiorcom kolejne kłody pod nogi, zamiast zastanawiać się, jak rozwiązać problem ubóstwa energetycznego (powstały wyłącznie z winy polityków), a także szukać wyjaśnień, dlaczego zakrętkę przytwierdzoną do butelki będzie trzeba jednak siłą oderwać, zajmie się odzyskaniem dawnej potęgi Europy, odbudową jej konkurencyjności, zwiększeniem bezpieczeństwa i sprawieniem, by Stary Kontynent odmłodził? ©©

Amerykanie z sukcesem przeprowadzili kolejne testy najpotężniejszego samolotu w dotychczasowej historii lotnictwa, czyli superbombowca B-21 Raider. FOT. NORTHROP GRUMMAN

Broń przyszłości



Jacek Przybylski

Tuż przed tym, jak Donald Trump ogłosił swą wygraną, armia USA przeprowadziła test potężnego pocisku Minuteman III. Postrach wrogów Ameryki budzi też superbombowiec B-21 Raider. Technologicznych nowinek, które dają konkretnym armiom przewagę na polu walki, szybko przybywa. Wydatki na zbrojenia są zaś rekordowe

Wzeszły wtorek, już po zamknięciu lokali wyborczych, amerykańska armia wystrzeliła z bazy Vandenberg Space Force Base w Kalifornii hipersoniczny pocisk Minuteman III. Wojskowi z USA podkreślali, że to „rutynowy test”, którego celem było zademonstrowanie gotowości nuklearnych sił Ameryki i odstraszenia nuklearnego. Najważniejszy obecnie element amerykańskiej triady strategicznej Minuteman III może lecieć z prędkością ponad 24 tys. km/h. Dzięki niemu Amerykanie potrzebują nie więcej niż pół godziny, aby uderzyć w dowolne miejsce na świecie (z kalifornijskiej bazy do Moskwy czy Pekinu ok. 9,5 tys. km). Czteryście pięćdziesiąt pocisków tego typu jeszcze pod koniec obecnej dekady ma zostać wycofanych. Zastąpić je mają nowoczesne i piekielnie drogie międzykontynentalne pociski balistyczne (ICBM) LGM-35A Sentinel. Kolejne testy nowej przebiegają pomyślnie. Gorzej wygląda kwestia budżetu. Cenę pojedynczego pocisku cztery lata temu szacowano na 118 mln dol., a koszt całego programu – z uwzględnieniem budowy nowych centrów dowodzenia oraz przebudową silosów – na niecałe

78 mld dol. W tym roku okazało się, że jedna sztuka nowego pocisku będzie kosztowała ok. 214 mln dol., a na cały program amerykańscy podatnicy wydadzą co najmniej 140, a niewykluczone, że nawet 160 mld dol.

Jako pierwszy międzykontynentalne rakiety balistyczne w podziemnych silosach rozmieścił Związek Sowiecki w 1958 r., w kolejnym roku zrobiły to Stany Zjednoczone, a dwie dekady później Chiny. USA dbają zatem o ciągłe unowocześnianie zdolności odstraszenia nuklearnego. 1 listopada Amerykanie z sukcesem przeprowadzili kolejne testy najpotężniejszego samolotu w dotychczasowej historii lotnictwa, czyli superbombowca B-21 Raider (pierwsze prawdziwe zdjęcia maszyny będącej następcą bombowców B-2 z lat 90. XX w. opublikowano dopiero we wrześniu 2023 r.). Według Pentagonu choć niewidoczne dla radarów wroga maszyny te są nadal testowane, to kilka superbombowców jest już gotowych, aby w razie potrzeby wystartować na misje bojowe. Maszyny tego typu budzą strach nie tylko w Moskwie (szacuje się, że wystarczą trzy takie amerykańskie superbombow-

ce, aby obrócić w proch wszystkie duże miasta w Rosji), lecz także w Pekinie. W tej kategorii Amerykanie wyprzedzają bowiem podobne maszyny z Chin czy Rosji co najmniej o 30 lat. Superbombowce mają pozwolić Amerykanom na skuteczne jądrowe uderzenie wyprzedzające z wysokości niemal 20 km nad powierzchnią Ziemi. Skutkiem takiego ataku ma być zniszczenie wszystkich rosyjskich silosów atomowych, zanim Rosjanie zdążą wystrzelić z nich jakąkolwiek rakietę w kierunku Stanów Zjednoczonych. Cena jednej maszyny, która może być wyposażona m.in. w potężne działo laserowe oraz pociski najnowszej generacji, szacowana jest na ponad pół miliarda (!) dolarów. Tanio nie jest, ale Siły Powietrzne USA rozważają rozszerzenie floty planowanej początkowo na 100 superbombowców o kolejne zamówienie. Superbombowce mogą bowiem nie tylko obracać w pył cele naziemne, lecz także prowadzić walkę w powietrzu, niszcząc wrogie drony czy rakiety.

ŻELAZNY PROMIEN

Iron Beam. Tak nazywa się wysokoenergetyczny laserowy system obrony

powietrznej, który ma stanowić istotne uzupełnienie systemów raketowych. Jego główną zaletą jest cena. Jeden strzał Żelaznym Promieniem o mocy do 100 kW i zasięgu skutecznego rażenia szacowanym na 7–10 km kosztuje od kilku do kilkudziesięciu dolarów, czyli równowartość od kilkunastu do kilkudziesięciu złotych. To bajecznie mało. Cena jednego pocisku dla systemu raketowego Iron Dome oscyluje w okolicach 50 tys. dol. Kolejna dobra wiadomość to czas potrzebny na zniszczenie wrogiego celu – na jego eliminację za pomocą laserowej wiązki potrzeba zaledwie kilku sekund.

Prace nad tym systemem trwają od lat 90. XX w. Pierwszym prototypowym systemem tego typu Izrael pochwalił się kilka lat temu. Według niepotwierdzonych informacji bliskowschodni chrzest bojowy technologia laserowej tarczy przeszła już w listopadzie 2023 r. i posłużyła do przechwycenia pocisku raketowego wystrzelonego w kierunku Izraela ze Strefy Gazy. Kilkanaście dni temu izraelski rząd podpisał kontrakt o wartości ponad 500 mln dol. (równowartość 2 mld zł) na przyspieszenie rozwoju systemu Iron Beam. Jak poinformowało ministerstwo obrony Izraela, Żelazny Promień zostanie zintegrowany z siecią izraelskiej obrony powietrznej już w ciągu najbliższego roku. Według izraelskich władz nowy system – wykorzystujący lasery dużej mocy do zwalczania różnego rodzaju rakiet, dronów czy pocisków moździerzowych – zapoczątkuje „nową erę działań wojennych”, zwłaszcza że zarówno Irańczycy, jak i Palestyńczycy, Jemeńczycy, Syryjczycy, Irakijczycy czy Libańczycy coraz częściej używają do walki z Izraelem nie tylko różnej jakości rakiet, lecz także właśnie dronów.

Izraelczycy rozwijają równolegle zminiaturyzowane wersje systemu (tzw. Lite Beam) o mocy ok. 10 km i zasięgu nieprzekraczającym 2 km, które mogą być montowane np. na pojazdach, których zadaniem jest osłona poszczególnych oddziałów przed atakami z powietrza.

Wiązkami lasera z pojazdów opancerzonych potrafią już też się posługiwać m.in. Brytyjczycy. Latem tego roku Brytyjska Agencja do spraw Sprzętu Obronnego i Wsparcia (DE&S) ogłosiła, że z powodzeniem przetestowano system broni laserowej dużej mocy (HELWS) firmy Raytheon,



Hipersoniczny pocisk Minuteman III

FOT. EARL C. LEATHERBERRY/FLICKR

który został umieszczony na pokładzie opancerzonego pojazdu Wolfhound klasy MRAP. To pierwszy lądowy system broni laserowej skutecznie sprawdzony w Wielkiej Brytanii. Wygląda więc na to, że lasery dużej mocy, podobnie jak drony, na dłuższą zagośćczą na współczesnym polu walki.

POLACY POTRAFIĄ

Supernowoczesne uzbrojenie tworzą również polscy inżynierowie. Na przykład założona w roku 2015 gdyńska firma Advanced Protection Systems (APS) zachwyliła świat antydronowym systemem o nazwie SKYctrl. Polacy opracowali własne specjalistyczne radary z rodziny FIELDctrl 3D MIMO, służące do wykrywania i identyfikacji niewielkich obiektów powietrznych oraz systemów antydronowych, które potrafią precyzyjnie wykrywać nawet bardzo małe obiekty i błyskawicznie je klasyfikować (odróżniając np. małe drony od ptaków, a także odróżniając wrogie obiekty od dronów wprowadzonych wcześniej na tzw. białą listę). SKYctrl – dostępny w zarówno w wersji stacjonarnej, jak i mobilnej i samochodowej – oferuje nie tylko możliwość dokładnego śledzenia wielu celów jednocześnie, lecz także neutrali-

zację dronów (w grę wchodzi zarówno zagłuszacze częstotliwości radiowych, jak i systemy małokalibrowe działa czy broń laserowa).

Według ukraińskiej armii system gdyńskiej firmy to jedna z najbardziej skutecznych broni służących do walki z dronami (na szczęście została ona również zakupiona przez Siły Zbrojne RP). Produkty opracowane przez Polaków kupiło również wiele innych krajów – od Arabii Saudyjskiej poczynając, przez Czechy, Danię, Estonię, Finlandię, Włochy i Wielką Brytanię, a na Indiach, Korei Południowej, Rwandzie czy Wybrzeżu Kości Słoniowej kończąc.

REKORDOWE WYDATKI

Jednocześnie wojskowi inżynierowie z wielu państw świata tworzą coraz to nowocześniejsze drony. Niedawno Turcja pochwaliła się udanym testem nowoczesnego drona ANKA-3, który porusza się z prędkością poddźwiękową i może być sterowany z pokładu sojuszniczego samolotu (np. przez pilota myśliwca), dzięki czemu może on służyć zarówno do zwiadu, jak i do precyzyjnych ataków na terytorium wroga. Armie udoskonalają również możliwość sterowania uzbrojeniem bezpośrednio przez sztuczną inteligencję (z pominięciem tak słabego ogniwa, którym jest człowiek). Systemy sztucznej inteligencji dają m.in. możliwość wzmocnienia odstraszania nuklearnego.

Różnego rodzaju nowoczesnych produktów mających na celu zdobycie przewagi na współczesnym polu walki szybko przybywa. Na rynku jest bowiem dużo więcej kupujących i o wiele więcej pieniędzy. Według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI) w ostatnich latach świat zaczął wydawać na zbrojenia najwięcej w kilkudziesięcioletniej historii SIPRI. Tylko w 2023 r. na rozwój zdolności wojskowych wszystkie państwa wydały łącznie 2443 mld dol. (po najwyższym wzroście w rządowych wydatkach na ten cel od ponad dekady). Innymi słowy: w przeliczeniu na jednego mieszkańca wydano na zbrojenia ponad 300 dol., z czego najbardziej szczerze łożą na ten cel Amerykanie (37 proc. światowych wydatków) i Chińczycy (12 proc.).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Węgierska nadzieja lewicy



Maciej Szymanowski

Czy polityk może urodzić się w drugiej połowie swojego życia, przynajmniej według oficjalnego życiorysu? Żywić do kobiet stosunek, który nie przynosi chwały? Głosić antyimigranckie hasła i być przy tym wszystkim oklaskiwany w Brukseli czy Berlinie? Może! Dokonał tego 43-letni Péter Magyar. Kolejna nadzieja lewicy na odsunięcie od władzy Viktora Orbána

Biogram polityka, który pragnie stać się przyszłym szefem rządu europejskiego państwa, według najbardziej rozbudowanej węgierskiej wersji Wikipedii liczy 1812 słów, pomijając przypisy. Zresztą według nie tylko Wikipedii, lecz także licznych artykułów Péter Magyar urodził się, aby następnie po tym fakcie odebrać dyplom na wydziale prawa uniwersytetu katolickiego PPKE w Budapeszcie. Niektóre źródła twierdzą jeszcze, że uczęszczał do szkoły (w innej wersji na uniwersytet) w Hamburgu. W jakich latach? Nie wiadomo.

Podróżując dalej w czasie, wcale nie jest łatwiej, o czym świadczy chociażby artykuł dziennikarza Radia Wolna Europa Bálinta Szalai z kwietnia, z którego dowiadujemy się o pracy Pétera Magyara dla międzynarodowych koncernów zaraz po studiach, choć bez wymienienia nazwy choć jednego z nich oraz późniejszym zatrudnieniu się w różnych rodzimych firmach typu przedsiębiorstwo transportowe Volán. W ślad za tymi informacjami nie idą jednak w parze żadne konkrety, które przyniosłyby jakkolwiek odpowiedź na proste pytanie: Czym omawiany polityk, było nie było w wieku mocno już pochrystusowym, zajmował się w swoim dorosłym życiu? Jakie działania czy projekt okazały się jego szczególnym sukcesem itp.?

Aby było jeszcze ciekawiej, poproszony przeze mnie w tej sytuacji o pomoc

Oficjalne biografie Pétera Magyara niewiele mówią o jego przeszłości

FOT. AKOS STILLER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

dyrektor jednego z czołowych węgierskich think tanków po kilku dniach zwłoki odesłał mnie do artykułu, który został opublikowany niedawno na popularnym lewicowym portalu Telex, dodając od siebie: „Faktycznie, jest z tym problem”. Czego można dowiedzieć się ze wspomnianego artykułu?

MAŁŻONEK Z DZIEĆMI

Najwięcej o historii związku małżeńskiego Pétera Magyara z Judit Vargą, skądinąd zawsze ciepło wyrażającą się o Polsce i Polakach prawniczką z górniczego Miskolca, doradcą europoła Jánosa Ádera (późniejszego prezydenta Węgier), od 2019 r. pełniącą funkcję minister sprawiedliwości. Ściślej, z artykułu dowiadujemy się o trudnych chwilach, które przeżywał Péter Magyar, kiedy małżonka z jednej strony szybko pięła się po szczeblach kariery, w 2019 r. stając się w ogóle jednym z najpopularniejszych polityków w kraju, a z drugiej strony przychodziły na świat kolejne dzieci. „Został w domu ze swoim rocznym dzieckiem w obcym mieście [Brukseli] [...], doświadczył dyskom-

Magyar na początku kariery wykorzystał nagrania żony, na których zachęcał ją do krytyki innych ministrów

fortu przebywania cały czas w domu”. Ale – jak dowiadujemy się z artykułu – wiele też się nauczył i nie przeżył tego okresu jako ofiara. „W Belgii spotkałem na placu zabaw mniej więcej tyle samo ojców co matek [...], od tamtej pory naprawdę rozumiem i doceniam poświęcenie kobiet” – cytuje Pétera Magyara Telex.

Małżeństwo doczekało się w sumie trzech synów. Sam Magyar z czasem zatrudnił się w Stałym Przedstawicielstwie Węgier przy Unii Europejskiej w Brukseli, a po powrocie do Budapesztu w 2015 r. – w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, a następnie w Węgierskim Banku Rozwoju.

O czym Telex już nie wspomina, w małżeństwie nie zawsze działo się

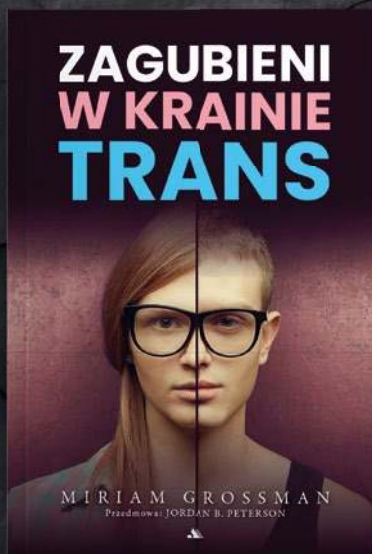
dobrze. Dochodziło do kłótni o takiej temperaturze, że Judit Varga poczuła się zmuszona wezwać policję. Według zachowanych urzędowych dokumentów stało się tak tylko raz. Sama Varga twierdzi, że takich przypadków było więcej, czemu jej były już mąż zaprzecza. Trudno sprawę wiarygodnie rozstrzygnąć, choć nietrudno sobie wyobrazić, że osobie pełniącej wówczas funkcję ministra sprawiedliwości raczej nie zależało na rozgłosie z powodu rodzinnych problemów.

NAGRANIA ŻONY I POLITYKA

Nie ma natomiast żadnych wątpliwości co do tego, że Péter Magyar nagrywał swoją żonę bez jej wiedzy. Ewidentnie zachęcając ją do wyrażania krytycznych uwag wobec innych ministrów węgierskiego rządu, co zostało później zręcznie wykorzystane przez niego samego na początku politycznej kariery. Faktem jest też to, że Evelin Vogel – nowa partnerka Magyara – opuściła go wiosną tego roku, publicznie twierdząc, że po prostu żyła w nieustannym strachu z powodu

REKLAMA

Trzy książki – jedno ostrzeżenie przed zagrożeniami, które czyhają na młode pokolenie



ZAMÓWIENIA:

Wydawnictwo AA

www.religijna.pl, klub@religijna.pl

tel. 12 345 42 00

■ krzyków i grózb w czasie, kiedy miał wybuchy gniewu.

Ponadto żadna ze wspomnianych kobiet nie wniosła aktu oskarżenia wobec Magyara. Jedyny prokuratorski zarzut, który na nim obecnie ciąży, dotyczy zupełnie innej sprawy – przywłaszczenia mienia, a dokładniej wyrwania i utopienia w Dunaju telefonu komórkowego osoby, która bez jego zgody sfilmowała go w jednej z budapeszteńskich dyskotek. Czy reakcja polityka była adekwatna do okoliczności, każdy sam może wyrobić sobie zdanie. Na dostępnym do dzisiaj na FB nagraniu (z innego smartfona) widać mężczyznę mającego ewidentne problemy ze swoją emocjonalnością. Na marginesie: niewykluczone, że w całej sprawie pojawi się wkrótce też polski wątek. Zadaniem procedowania wniosku

nowego zaczął oskarżać swoich adwersarzy politycznych w zasadzie o wszystko, niemal o popełnienie zbrodni przeciw ludzkości. Serwowane przy okazji proste recepty na skomplikowane problemy kraju okazały się dobrze trafiać do osób młodszych czy mniej wyrobionych politycznie.

Niewątpliwy fenomen Magyara głównie jednak wydaje się brać z tego, że miliony Węgrów zapragnęły zmiany – zarówno rządu, jak i opozycji. Co oczywiście nie oznacza, że Fidesz przestał być najpopularniejszą partią na Węgrzech, jak czasami twierdzi się w Polsce. Absolutna większość sondaży opinii publicznej wciąż daje tej partii stabilne poparcie na poziomie ok. 40 proc. Partia Magyara – Tisza – uzyskuje 5–10 proc. mniej i przede

można zaopatrzyć się w różne gadzety z partyjnym logo – od skarpetek, przez kubki, do T-shirtów. Przy odrobinie wysiłku da się odnaleźć również program partii prezentowany w formie 21 postulatów. Wyższe emerytury i pensje w sferze publicznej, podwojenie dodatków rodzinnych, obniżenie stawki podatku VAT, „przywiezienie z Brukseli miliardów należnych nam euro” czy „położenie kresu dzieleniu narodu”. Poza tym walka z korupcją i drożyzną. Brzmi znajomo? Inspiracje hasłami opozycji z ostatniej kampanii wyborczej w Polsce są trudne do ukrycia. Włącznie z zapewnieniami samego Magyara, że tzw. dobre rozwiązania jego rząd będzie kontynuował, czym ma na myśli niewpuszczanie do kraju nielegalnych imigrantów (za co Węgrom naliczana jest przez Komisję Europejską kara 1 mln euro dziennie, przy biernej postawie innych państw UE, w tym rządu polskiego).

Poza tym, cóż, oficjalny portal partii Tisza w warstwie informacyjnej przegrywa konkurencję z internetową stroną chyba każdej mleczarni czy producenta butów w Polsce. W zasadzie służy on wyłącznie promocji lidera partii, a zwłaszcza jego spotkań z rozpoznawalnymi politykami czy celebrytami. Z innych źródeł można się dowiedzieć, że partia jest pomyślana jako antypolityczna (!), antykorupcyjna, proeuropejska, patriotyczna, centroprawicowa. Pomijając deklarację wejścia przez Węgry do Prokuratury UE, polityką międzynarodową partia Tisza nie zawraca sobie głowy. NATO, Ukraina, Europa Środkowa, centralizacja UE i tym podobne kwestie pozostają na absolutnym marginesie zainteresowań także samego Magyara, pomimo lat spędzonych przez niego w dyplomacji. Wydaje się, że jedynym programem partii Tisza i jej lidera jest odniesienie zwycięstwa w wyborach parlamentarnych 2026 r. Reszta jest nieważna.

Podobnie jak nieważne to było wcześniej dla Andrása Fekete-Gyórfi, Kláry Dobrev, Pétera Marki Zaya i kilku jeszcze innych kandydatów na węgierskiego premiera, którzy pojawiali się przed wyborami parlamentarnymi i... znikali za politycznym horyzontem niczym kometa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą akademickim, współtwórcą Polsko-Czeskiego Forum oraz Instytutu Wacława Felczaka.

Fenomen Magyara wydaje się brać głównie z tego, że miliony Węgrów zapragnęły zmiany – zarówno rządu, jak i opozycji.

Co oczywiście nie oznacza, że Fidesz przestał być najpopularniejszą partią na Węgrzech

o uchylenie immunitetu europosłowi Magyarowi, przynajmniej według węgierskiej prasy, ma bowiem zostać obdarzony europoseł Krzysztof Śmiszek, choć sądząc po dotychczasowym tempie prac w sprawie wyrwanego z ręki właściciela telefonu, nie stanie się to raczej w dającej się przewidzieć przyszłości.

Wciąż dysponujący chłopięcą postawą, ubrany w markowe garnitury z najwyższej półki, lekko siwiejący blondyn o niebieskich oczach Magyar wskoczył obiema nogami do polityki tuż po rozwodzie, w momencie podania się jego żony do dymisji, w kontekście afery związanej z ułaskawieniem osoby tuszującej czyny pedofilskie w jednym z domów opiekuńczych dla młodych chłopców, w wyniku czego hotel prezydenta państwa w lutym tego roku opuściła także Katalin Novák.

Magyar dosłownie z dnia na dzień wcielił się w rolę gwałtownego krytyka rządu, którego różne ciemne mechanizmy, jak sam twierdzi, miał okazję poznać z bliska, niejako od wewnątrz.

Od tego momentu w wystąpieniach publicznych w tempie karabinu maszy-

wszystkim wciąż jest głównie internetowo-telewizyjnym produktem, a większość miejsc w węgierskim parlamencie trzeba uzyskać w jednomandatowych okręgach wyborczych. W niedawnych wyborach do Parlamentu Europejskiego partia Szacunek i Wolność Tisza uzyskała świetny wynik, sięgając po blisko 30 proc. głosów (i siedem mandatów). Ale w przeprowadzonych tego samego dnia wyborach samorządowych zdobyła ich pięć promili. Kandydaci na radnych nie dopisali ani pod względem ilościowym, ani jakościowym. Po prostu okazało się, że byłych komunistów czy ich dzieci, szemranych biznesmenów itp. żadne marketingowe techniki nie były w stanie przedstawić jako tzw. dobrą zmianę i Magyar, nie chcąc ryzykować wizerunkowej katastrofy, wycofał praktycznie wszystkich kandydatów partii z wyborów samorządowych.

ZNAJOMO BRZMIĄCE HASŁA

Zaglądając dziś na portal partii Tisza, dowiadujemy się z intro, że „poszukiwani są ojczyznę kochający liderzy”. Poza tym

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~869~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL:
„SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ. POLSKIE
DZIECI W RĘKACH NAZISTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

401,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 5e4521991d



Jakub Wozinski

Przeciwko nowym zasadom rozdziału pieniędzy z unijnego budżetu na lata 2028–2034 protestują nawet najwierniejsi słudzy europejskiego państwa federalnego

Określanie Unii Europejskiej mianem nowego Związku Sowieckiego uchodziło przez wiele lat za całkowicie przesadne i reprezentatywne dla środowisk tzw. radykalnej prawicy. Z czasem tego rodzaju osąd wszedł do politycznego mainstreamu i zaczął być wykorzystywany również przez ugrupowania centroprawicowe. Obecnie zaś już nikt, kto posiada trzeźwy ogląd sytuacji, nie jest w stanie zaprzeczyć temu, że przynajmniej w dziedzinie rozdziału unijnych funduszy Unia Europejska forsuje rozwiązania żywo przypominające gospodarkę nakazowo-rozdzielczą. Komisja Europejska bardzo dąży do tego, aby z pominięciem samorządów regionalnych rozdzielać środki liczące 450 mln mieszkańców wspólnocie państw własnego uznania.

OFENSYWA URSULI

Wybrana ponownie na przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen z nieskrywanym entuzjazmem przystąpiła właśnie do kolejnej ofensywy, którą zgodnie określono mianem „skoku po władzę”. Ów skok miałyby dokonać się wraz z przyjęciem nowego, sześcioletniego planu budżetowego. Pod pozorem zwiększenia kompetencji państw członkowskich von der Leyen zaproponowała, aby 530 wszystkich dotychczasowych programów realizowanych przez Brukselę zostało zredukowanych do zaledwie jednego funduszu określonego jako I Filar. Dysponentem środków z tego wielkiego zasobnika teoretycznie miałyby być odtąd poszczególne rządy, lecz w praktyce zawarte w propozycji mechanizmy nie pozostawiają złudzeń, że decydujący czy wręcz wyłączny głos w tym zakresie posiadałaby Bruksela.

Budżet centralnego planowania

Proponowane przez niemiecką przewodniczącą rozwiązanie zostało już przetestowane przy okazji uruchomienia covidowego funduszu NextGenerationEU (tzw. Funduszu Odbudowy). Ów nadprogramowy względem zwykłych wieloletnich budżetów unijnych mechanizm finansowy otworzył przed krajami członkowskimi teoretyczną możliwość wydawania nieuwzględnianych w narodowym bilansie fiskalnym środków. Wszystkie kraje, gwooli formalności nawet Niemcy, musiały jednak zobowiązać się do spełnienia szczegółowo rozpisanych „kamieni milowych”.

Mechanizm „kamieni milowych”, czyli szczegółowo rozpisanych zaleceń dla

rządów państw członkowskich, ma stać się odtąd fundamentem nowego budżetu na lata 2028–2034. Von der Leyen chce stworzyć złudzenie wzmocnienia kompetencji rządów centralnych, aby w istocie skupić jeszcze więcej władzy w swoich rękach. Dostęp do opiewającego na 1,2 bln euro budżetu ma być bowiem mocno uzależniony od przeprowadzania ściśle określonych gospodarczych i ekonomicznych reform.

POLSKI LISTEK FIGOWY

Uzależnienie wypłaty należnych środków od spełnienia oczekiwań Brukseli to polityczna broń o naprawdę sporej sile rażenia. Przekonała się o tym najbardziej





FOT. ANDRZEJ STOK

To nie pierwszy raz, gdy Ursula von der Leyen umiejętnie wykorzystuje Polaków jako twarze najbardziej uderzających w polską suwerenność machinacji. W czasie jej poprzedniej kadencji, gdy wprowadzano w życie „Fit for 55”, komisarzem do spraw rolnictwa był reprezentujący Zjednoczoną Prawicę Janusz Wojciechowski. Użycie Serafina do wielkiego skoku po władzę będzie mogło być wszem wobec ukazywane jako dzieło komisarza wywodzącego się z Europy Środkowo-Wschodniej.

Media informujące o tym, że Piotr Serafin został „prawą ręką Ursuli von der Leyen”, biorą udział w żenującym spektaklu, ponieważ wiadomo już, że bezpośredni nadzór nad projektem budżetu ma mieć sama przewodnicząca i sekretarz generalna KE, która jest urzędniczką całkowicie zależną od von der Leyen. Jak informowała niedawno „Rzeczpospolita”, przewidziane jest także stworzenie komitetu sterującego, w którym oprócz Serafina obecne byłyby wspomniane dwie osoby. W tak zdefiniowanym gronie byłyby współpracownik Tuska będzie mógł oczywiście potwierdzić opinię chodzącego „kalkulatora”, ale nic ponadto.

Ursula von der Leyen może tradycyjnie liczyć na poparcie krajów bogatej północy kontynentu, które są płatnikami netto i od lat niechętnie patrzą na dotowanie biedniejszych krajów. Niemka obiecała, że będzie wymuszała na poszczególnych krajach reformy fiskalne, co siłą rzeczy musi podobać się bardziej zdyscyplinowanym członkom strefy euro. Inicjatywie z pewnością nie będzie zanadto sprzeciwił się Emmanuel Macron, który od wielu miesięcy wzywa do podwojenia wartości unijnego budżetu.

JĘK SAMORZĄDOWEGO ZAWODU

Nieoczekiwanie jednak swoją dezaprobatę wobec projektu von der Leyen zaczęły wyrażać liczne środowiska, które do tej pory na ogół przychylnie odnosiły się do kolejnych etapów centralizacji władzy w Unii. Krytyczne głosy wyrazili m.in. przedstawiciele Europejskiego Komitetu Regionów oraz Europejskiego Trybunału Obrachunkowego. Swoje wątpliwości zaczęli wyrażać, na razie w dość zawołanej formie, nawet przedstawiciele rządu Donalda Tuska, m.in. wiceminister funduszy i polityki regionalnej Jan Szysz-

ko. Jego zdaniem Polska może znacząco uciec na tym, że jej własne inwestycje infrastrukturalne zostaną podporządkowane tym, które za strategicznie ważne uzna europejskie państwo federalne.

W środowiskach rządzącej koalicji pojawiły się również obawy, że planowany przez Ursulę von der Leyen wielki skok po władzę może się skończyć źle dla samorządów. W razie powrotu do władzy PiS lewicowi włodarze dużych miast byłiby przy podziale unijnych środków w większym stopniu zdani na wolę rządu, nawet gdyby nad wszystkim czuwała ostatecznie Komisja Europejska. Cała reforma unijnego budżetu została zresztą przyjęta w środowisku lewicowych samorządowców z wyraźną konsternacją. Do zdecydowanych krytyków tego rozwiązania zalicza się choćby Rafał

1,2 bln euro

DOSTĘP DO TAKICH ŚRODKÓW Z BUDŻETU MA BYĆ MOCNO UZALEŻNIONY OD PRZEPROWADZANIA ŚCIŚLE OKREŚLONYCH GOSPODARCZYCH I EKONOMICZNYCH REFORM

Trzaskowski. Powrót do władzy Donalda Tuska miał się wiązać z finansowym eldorado dla samorządów, którym m.in. przyznano niedawno większe środki z podatku PIT. Tymczasem okazuje się, że „prawa ręka Donalda Tuska” firmuje swoją osobą rozwiązanie, które stanowi bodajże największy od lat cios w niezależność polskich samorządów.

Spotykający się cyklicznie na wspólnym finansowanym przez niemiecki rząd Campusie Polska lewicowi samorządowi będą najprawdopodobniej musieli w końcu ugiąć kark przed niemieckim panem. Na dodatek zyskają dodatkową motywację, aby już nigdy więcej nie dopuścić do władzy żadnych „populistów”, ponieważ poważnie zagrażałoby to podziałowi wielomiliardowych środków.

STRATEGICZNE INWESTYCJE

Sama zasadność utrzymywania polityki spójności czy wspólnej polityki rolnej to osobne zagadnienie, ale nie ulega wątpliwości, że gdy już mamy z nimi do

formacja Jarosława Kaczyńskiego, której zeszłoroczna porażka wynikała w znacznej mierze z zamrożenia dostępu do europejskich funduszy. Dlatego właśnie, aby odpowiednio zakamuflować podjętą próbę wielkiego skoku po władzę, Ursula von der Leyen posłużyła się listkiem figowym w postaci polskiego komisarza do spraw budżetu, Piotra Serafina. Wieleletniemu współpracownikowi Donalda Tuska i Janusza Lewandowskiego przeznaczono rolę głównego odpowiedzialnego za skuteczne wdrożenie niemieckiego planu centralizacji przez budżet, a w lewicowo-liberalnej prasie zdążono już go obsypać niezliczonymi komplementami, ukazującymi go wręcz jako geniusza.

■ czynienia, najlepiej byłoby, gdyby w jak największym stopniu mogły je wydatkować władze lokalne. Na dodatek przez minione 20 lat utrwały się już pewne klarowne procedury i mechanizmy, które w razie wdrożenia nowych zasad zostałyby w większości pominięte. To jednak zdaje się nie robić na Ursuli von der Leyen i jej sojusznikach żadnego wrażenia, ponieważ ich zamiarem jest przesunięcie możliwości jak największej liczby środków do funduszy mających wesprzeć tworzenie nowych technologii (m.in. Platformy STEP, czyli Strategic Technologies for Europe).

Działania niemieckiej przewodniczącej KE na rzecz zmian w unijnym budżecie należy wyraźnie wiązać z zaprezentowanym niedawno tzw. planem Dragiego, postulującym wydawanie przez Unię Europejską nawet 800 mld euro rocznie na inwestycje. Środki na ten cel mają zostać pozyskane przede wszystkim z kolejnych emisji wspólnego długu, zwiększonych tzw. zasobów własnych Unii (czyli z podatków nakładanych ponad państwami członkowskimi) oraz zmienionego budżetu na lata 2028–2034. Innymi słowy, von der Leyen chce zmobilizować wszystkie dostępne środki i przeznaczyć je na rozwój nowych technologii.

Już wkrótce ma zostać oficjalnie zaprezentowany nowy i być może największy z unijnych funduszy: Europejski Fundusz Konkurencyjności. Przejmie on środki, które dotąd były rozproszone po wielu mniejszych funduszach (m.in. Funduszu Innowacyjnego czy Funduszu InvestEU) oraz zostanie zasilony nowymi z wieloletniego budżetu. Zakłada się, że dzięki niemu Unia będzie w stanie wydatkować środki na badania i rozwój w sposób bardziej efektywny niż do tej pory, ponieważ bezpośredni nadzór nad całym przedsięwzięciem będzie sprawowała Komisja Europejska.

Wstępny zarys utworzenia Europejskiego Funduszu Innowacyjności został przedstawiony jeszcze przed prezentacją planu Dragiego. Von der Leyen potrzebowała jednak raportu włoskiego ekonomisty, podobnie jak potrzebuje figuranta w postaci polskiego komisarza do spraw budżetu, aby uwiarygodnić medialny przekaz, że to nie Niemcy i Komisja Europejska chcą kolejnego fundamentu europejskiego państwa, lecz

Coraz bardziej realne jest to, że Polska w nowym budżecie na lata 2028–2034 stanie się płatnikiem netto

eksperci i kraje Nowej Europy. W istocie jednak cała reforma dokonywana w imię innowacyjności i ratowania gospodarki stanowi jedną wielką uzurpację władzy.

Wspólnota będzie decydowała o ostatecznym kształcie reformy unijnego budżetu w przyszłym roku. Wielkim sprzymierzeńcem Komisji Europejskiej będzie niewątpliwie pogłębiająca się z każdym miesiącem stagnacja gospodarki. Bogate kraje północne będą z pewnością nęczone wizją uruchomienia znacznych środków dla wielkiego biznesu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w proponowanym nowym podejściu do wydatkowania unijnych środków priorytetyzowane będą duże podmioty. Budowane mozolnie europejskie państwo federalne chce poprzez reformę budżetu dorobić się własnych gigantów nowoczesnych technologii, gdyż obecnie ich zwyczajnie nie posiada.

CICHA REWOLUCJA

Podporządkowanie wszelkich unijnych zasobów finansowych chęci zbudowania europejskiego przemysłu technologicznego zdolnego do konkurowania z amerykańskim czy chińskim jest dla Polski wybitnie niekorzystne. Po pierwsze dlatego, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby polski biznes i instytucje cieszyły się jakimikolwiek szczególnymi względami zdominowanych przez Niemcy unijnych instytucji. Bardzo wymowne było już to, że przygotowując swój raport, Mario Draghi nie skorzystał w ogóle z pomocy polskich ekonomistów. Niemiecki plan na Polskę demonstrują zresztą najlepiej rządy Donalda Tuska, który w ostatnim czasie doprowadził do destrukcji wielu instytutów i programów badawczych.

Po drugie zaś, nasz kraj zacznie w jeszcze większym zakresie pracować na cudze konto. Coraz bardziej realne jest to, że Polska w nowym budżecie na lata 2028–2034 stanie się płatnikiem netto, a na dodatek będzie miała jeszcze mniej do powiedzenia na temat swojego

finansowego przydziału. Wprowadzone niedawno nowe unijne zasady fiskalne przewidują ściślejszą niż dotąd kontrolę nad krajowym budżetem, a ten w następstwie nieodpowiedzialnej polityki ministra finansów Andrzeja Domańskiego oraz Donalda Tuska znalazł się w naprawdę trudnym położeniu.

Przedstawiony przez Ursulę von der Leyen plan to w rzeczywistości wcale nie reforma, lecz prawdziwa rewolucja. Unia Europejska, która zawsze szczyła się swoją polityką regionalną, może z dnia na dzień zastąpić ją ścisłym nadzorem podporządkowanym przewodniczącej Komisji Europejskiej. Pod płaszczykiem wzmocnienia rządów krajowych centralny unijny urząd chce samodzielnie decydować o podziale ogromnych środków.

Zamiast spodziewanego podniesienia konkurencyjności przynieść to może jeszcze większe niż kiedykolwiek dotąd marnotrawstwo publicznych środków. Najlepszym tego przykładem był choćby zawarty przez Ursulę von der Leyen kontrakt stulecia z firmą Pfizer z 2021 r. na zakup preparatów dla całej wspólnoty. Po kilku latach okazało się, że we wszystkich krajach członkowskich wyrzucono do śmieci szczepionki o łącznej wartości 4 mld euro. Tak ogromna niegospodarność nie dość, że nie została niestety nigdy ukarana, to na dodatek nie wyciągnięto z niej należytych wniosków, gdyż von der Leyen została przecież ponownie wybrana na najwyższy europejski urząd.

Wypełniający starannie wolę niemieckich zleceniodawców obóz uśmiechniętej Polski przekazuje się właśnie, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Podział unijnych funduszy stanowił dotąd jeden z głównych politycznych łupów, lecz ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich zainteresowanych znaczna część środków ma już niedługo płynąć w zupełnie innych kierunkach.

W tej sytuacji zasadne staje się pytanie o to, czy przy tak skonstruowanym podziale środków z unijnego budżetu niegasnący od lat w narodzie polskim entuzjazm wobec Unii Europejskiej nie zacznie wreszcie słabnąć. Byłby to bez wątpienia jeden z najmniej spodziewanych zwrotów akcji w naszym politycznym życiu od wielu lat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGAKIEM

Czy Berlin nagrodzi Tuska?

Czym lekkomyślność różni się od bezmyślności? A czym one obie od – po prostu – głupoty? Bezdennej głupoty?

Dwa tygodnie temu napisałem w tym miejscu, że Polska za lekkomyślne/bezmyślne poparcie udzielone przez swój rząd dla nałożenia wysokich ceł na chińskie auta na baterie sprowadzane do UE spotka się z chińskimi retorsjami – w odróżnieniu od tych państw, których rządzący nimi politycy w tej sprawie wstrzymali się od głosu albo byli przeciwni nałożeniu ceł. I właśnie mamy zapowiedź, że retorsje te dotkną nas szybciej, niż przypuszczałem. A dotkną, rzecz jasna, nie rządzących nami lekkomyślnych/bezmyślnych polityków, lecz miliony Polaków, którzy pracują w firmach eksportujących do Chin.

Jak wiadomo, przeciw nałożeniu ceł na chińskie „elektryki” zagłosowało pięć państw – jak zawsze ostatnio rozważne Węgry, jak zawsze „od zawsze” sprytnie Niemcy, które wolą takie sprawy (czyli np. leżące w interesie ich fabryk aut cła na auta z Chin) załatwiać cudzymi, np. polskimi rękami, a oprócz nich także Malta, Słowenia i Słowacja, natomiast 12 państw – Belgia, Czechy, Grecja, Hiszpania, Chorwacja, Cypr, Luksemburg, Austria, Portugalia, Rumunia, Szwecja i Finlandia – wstrzymało się od głosu. A pozostałe 10 państw – Francja, Holandia, Dania, Włochy, Litwa, Łotwa, Estonia, Bułgaria, Grecja i oczywiście (jak prawie

zawsze w takich absurdalnych przypadkach) Polska – zagłosowało za ich nałożeniem.

Podczas dyskusji na temat ceł na chińskie auta król politycznej gry – premier Węgier Viktor Orbán – otwarcie i twardo zaznaczył, że jego kraj dąży do neutralności gospodarczej, a cła na chińskie „elektryki” rozpętają kolejną gospodarczą zimną wojnę. Natomiast przebiegły kanclerz Niemiec Olaf Scholz tak długo kluczył, aż przevorsował decyzję o niepoparci przez jego kraj nałożenia ceł, mimo braku jednomyślności we własnym rządzie. Ale oczywiście Scholz mógł liczyć na „swojego drogiego przyjaciela Donalda Tuska”, premiera Polski, który nałożenie ceł na Chiny poparł.

No i teraz nadszedł rachunek z Chin. Także dla Polaków – za lekkomyślność/bezmyślność rządzących nią polityków. Jak donosi Agencja Reutera, chiński producent aut, m.in. BYD, SAIC oraz Geely, mieli usłyszeć na spotkaniu w ministerstwie handlu, że powinni śmiało inwestować w krajach, które były przeciw nałożeniu ceł na ich auta (czyli m.in. na Węgrzech i w Niemczech), być ostrożnymi w inwestowaniu w krajach, które wstrzymały się od głosu, i zamrozić plany dużych inwestycji (np. w fabryki) w krajach, które poparły podniesienie ceł – czyli m.in. w Polsce.

I co? Będzie nagroda niemieckiego biznesu dla Tuska? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

„Lucyna” rządzi w policji

Dlaczego „Lucyna”? Dalibóg, nie wiem, a chętnie bym się dowiedział. Może to na cześć żony albo dziewczyny pomysłodawcy akcji? A może to od L4, czyli nazwy druku zwolnienia lekarskiego?

To drugie jest chyba bardziej prawdopodobne, bo z takiego właśnie wybiegu skorzystała masa funkcjonariuszy policji akurat przed 11 listopada, nazywając swoją akcję właśnie „Lucyna” – co jest swego rodzaju tradycją policyjną i zdarzało się wielokrotnie. Celem było

cjantów na 100 tys. mieszkańców. W 2020 r. według Eurostatu było to 258 funkcjonariuszy, podczas gdy we Włoszech – 399, we Francji – 322, w Niemczech – 301, w Czechach – 375, na Węgrzech – 384, na Litwie – 281. Od tamtego czasu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Usiłując ją ratować, policja obniża kryteria, skracza szkolenie czy pozwala na wstępowanie w szeregi ludziom tak wytatuowanym, że mogą być raczej wzięci za gangusów przebiegaczy niż policjantów. Wszystko to wpływa na pogorszenie jakości służby, a co za tym idzie – rosnącą liczbę wątpliwych przypadków łamania prawa przez policjantów i malejącego zaufania do nich.

Tymczasem w czerwcu, podczas dwudniowej narady kierownictwa policji z szefem MSWiA, policja wydała komunikat stwierdzający, że rosnącym problemem w Polsce jest przestępczość „rosyjskojęzyczna”. Czytaj: plenią się znów w naszym kraju ukraińskie gangi ze wschodu tego kraju, które mieliśmy już w Polsce wiele lat temu i który to rodzaj wyjątkowo brutalnej przestępczości ogromnym wysiłkiem udało się po latach zwalczyć. Teraz się on odradza. Co zresztą było do przewidzenia w kontekście szerokiego otwarcia drzwi na ukraińskich uchodźców.

Ani poprzednia, ani obecna władza nie ma żadnego pomysłu, co z tym zrobić. ©©

**Plenią się znów
w naszym kraju
ukraińskie gangi.
Co zresztą było do
przewidzenia**

wywarcie nacisku na władzę, aby zaproponowała korzystne dla funkcjonariuszy rozwiązania socjalne, płacowe czy emerytalne. Przy czym wobec kilkunastu tysięcy wakatów w policji masowe zwolnienia lekarskie (gdzie kontrolerzy z ZUS?) są już gigantycznym problemem. Ściągnięcie na 11 listopada funkcjonariuszy z całego kraju do Warszawy oznacza zaś, że wiele miejsc zostaje bez ochrony i ze szczątkową obsadą.

Polska i tak ma jeden z najniższych w Europie współczynników liczby poli-

Kiedy Robert Kennedy Jr. niespodziewanie poparł kandydaturę Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich, obiecał, parafrazując hasło MAGA na MAHA (Make America Healthy Again), pomóc mu w uzdrowieniu amerykańskich dzieci i dorosłych. W wywiadzie udzielonym stacji Fox News Kennedy powiedział, że w USA panuje epidemia chorób przewlekłych, która dotyka wszystkich, ale szczególnie dzieci, bo aż 60 proc. z nich cierpi z powodu takich schorzeń. Jest to w dużej mierze spowodowane sojuszem dwóch gałęzi przemysłu – spożywczego i farmaceutycznego – których model biznesowy opiera się na masowej produkcji wysoce przetworzonej żywności, a następnie leczeniu chorób spowodowanych przez jej nadmierne spożycie. A najbardziej opłacalną rzeczą w tym łańcuszku jest przewlekłe chore dziecko.

SKALA PROBLEMU

Podczas zorganizowanego przez senatora Rona Johnsona okrągłego stołu dotyczącego amerykańskiego kryzysu zdrowotnego biorący w nim udział lekarze i dietetycy zwrócili uwagę, że w ciągu ostatnich 50 lat w Stanach Zjednoczonych zaobserwowano gwałtownie rosnące wskaźniki chorób przewlekłych, takich jak stan przedcukrzycowy i cukrzyca typu drugiego, otyłość, choroby serca, udary, choroby autoimmunologiczne, migreny, niepłodność, choroba Alzheimera, demencja, rak, choroby psychiczne, przewlekły ból, zmęczenie, wady wrodzone, przewlekłe choroby wątroby, autyzm. Średnia długość życia Amerykanów sukcesywnie spada: z 78,9 roku w 2014 do 76,1 roku w 2021 – to największy spadek od czasów drugiej wojny światowej. Przeciętny Amerykanin żyje o osiem lat krócej niż Japończyk czy Szwajcar.

74 proc. dorosłych Amerykanów i aż 60 proc. dzieci cierpi obecnie z powodu nadwagi lub otyłości, aż 77 proc. młodych Amerykanów nie nadaje się do służby wojskowej z powodu nadwagi. 50 proc. dorosłych i aż 30 proc. nastolatków ma stan przedcukrzycowy lub cukrzycę typu drugiego. 18 proc. nastolatków ma stłuszczenie wątroby, chorobę, która kiedyś występowała u osób starszych, i do tego w późnym stadium



Pandemia chorób przewlekłych



Mariusz Jagóra

Wysokoprzetworzona żywność powoduje wiele problemów zdrowotnych. To napędza z kolei biznes farmaceutyczny. Najlepszym klientem są chorzy przewlekłe, najlepiej już od dziecka

alkoholizmu. Wskaźniki zachorowalności na raka gwałtownie rosną – wśród osób młodych aż o 79 proc. Szacuje się, że w tym roku po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych liczba zachorowań na raka przekroczy 2 mln.

25 proc. amerykańskich kobiet przyjmuje leki przeciwdepresyjne, a 40 proc.

18-latków ma zdiagnozowane zaburzenia psychiczne. USA ma najwyższy wskaźnik umieralności niemowląt, a ryzyko śmierci kobiety rodzącej w Ameryce jest wyższe niż w jakimkolwiek innym rozwiniętym kraju na świecie. Wskaźnik autyzmu u dzieci wynosi 1 na 36 w skali kraju, 1 na 22 w Kalifornii, podczas gdy

w latach 50. ubiegłego stulecia autyzm występował u 1 na 10 tys. dzieci. Notuje się gwałtowne wzrosty chorób autoimmunologicznych, niepłodność wzrasta o 1 proc. rocznie.

Według Amerykańskiego Kolegium Kardiologicznego źródłem epidemii chorób przewlekłych jest dysfunkcja metaboliczna, która dotyka 93,2 proc. dorosłych Amerykanów. Dysfunkcja metaboliczna nie jest kwestią genetyczną – struktura genetyczna naszego gatunku nie zmieniła się w ciągu ostatnich 50 lat. Jest ona powodowana toksyczną, ultraprzetworzoną żywnością przemysłową, toksycznymi chemikaliami używanymi jako środki ochrony roślin oraz toksycznymi lekami. Nawet Światowa Organizacja Zdrowia przyznaje, że dieta jest głównym czynnikiem ryzyka śmiertelności, potencjalnie przewyższającym tytoń, a wynikające z niej zakłócenia metabolizmu i choroby niezakaźne – jak choroby serca, udar mózgu, rak i cukrzyca – odpowiadają za 74 proc. wszystkich zgonów na świecie.

UPF – ŻYWNÓŚĆ ULTRAPRZETWORZONA

Badanie opublikowane w „British Medical Journal” w 2019 r. wykazało, że ultraprzetworzona żywność stanowi 56,8 proc. całkowitej energii spożywanej w diecie mieszkańców Wielkiej Brytanii. Także w Polsce żywność wysokoprzetworzona stanowi duży procent dziennego spożycia kalorii. Według danych z raportów Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego i Narodowego Centrum Edukacji Żywnościowej w Polsce od 10 proc. do nawet 60 proc. dziennego spożycia kalorii pochodzi z żywności wysokoprzetworzonej. Dotyczy to zarówno dzieci, jak i dorosłych, przy czym udział ten jest szczególnie wysoki wśród młodszych grup wiekowych. Ale najgorsza sytuacja jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie już ponad 70 proc. – a w biedniejszych społecznościach nawet 90 proc. – spożywanych kalorii pochodzi z ultraprzetworzonej żywności.

Co to znaczy, że żywność jest ultraprzetworzona? Brazylijscy naukowcy stworzyli system kategoryzacji produktów spożywczych, który dzieli żywność na cztery grupy, opierając się na stopniu i celu ich przetworzenia. Klasyfikacja

NOVA rozróżnia cztery grupy produktów: żywność nieprzetworzoną lub przetworzoną w stopniu minimalnym, składniki kulinarne przetworzone (używane do przygotowania i gotowania posiłków, ale które samodzielnie nie są zwykle spożywane), przetworzone produkty spożywcze (ale takie, które wciąż są rozpoznawalne jako wersje swoich oryginalnych form, jak marynowane warzywa, suszone owoce, solone orzechy, ser, chleb) oraz żywność ultraprzetworzoną, która tak naprawdę nie jest już żywnością. Są to preparaty substancji uzyskanych przez frakcjonowanie żywności z pierwszej grupy, do których dodaje się barwniki, aromaty, emulgatory, zagęszczacze i inne dodatki, które nadają im właściwości sensoryczne podobne do tych występujących w żywności nieprzetworzonej lub „o smaku winogronowym”, gdzie nie znajdziemy truskawek czy winogron, czy w napojach o smaku pomarańczowym barwionych żółcieniem pomarańczowym FCF, gdzie nie ma grama pomarańczy.

Niewiele osób wie, że intensywny żółty kolor wielu produktów spożywczych – napojów gazowanych i owocowych, żelków, ciasteczek, galaretek, sosów, a także leków – zawdzięczamy tartrazynie, która pierwotnie była produktem ubocznym syntezy smoły węglowej, kłopotliwym w utylizacji, wykorzystywanym w procesach utwardzania i stabilizacji gruntów, gdzie mieszana z asfaltem, żwirem lub innymi materiałami miała zwiększać stabilność i wytrzymałość nawierzchni drogowych. Pod koniec XIX w. brytyjscy chemicy odkryli jej potencjał jako barwnik i zaczęto wykorzystywać ją w przemyśle tekstylnym oraz przy produkcji farb.

W XX w. tartrazyna stała się popularnym barwnikiem stosowanym w przemyśle spożywczym, tekstylnym, kosmetycznym oraz farmaceutycznym. Problem w tym, że ten żółty barwnik o symbolu E102 może powodować ast-

mę, opóźnienia rozwojowe, uszkodzenia neurologiczne, ADD, ADHD, zaburzenia hormonalne, uszkodzenia genów, niepokój, depresję i może mieć potencjał onkogenny. E102 to tylko jedna z co najmniej 100 trucizn chemicznych, które agencje regulujące rynek leków i żywności dopuszczają do używania w produkcji ultraprzetworzonych produktów udających jedzenie – i nikt nigdy nie zbadał, jak mogą wpływać na zdrowie w połączeniu. Baza danych portalu informacyjnego dotyczącego żywności i pasz Komisji Europejskiej zawiera 411 substancji dopuszczonych jako dodatki do żywności.

Ultraprzetworzona żywność została opracowana z zastosowaniem składników i procesów, które sprawiają, że jest wysoce dochodowa – zawiera tanie składniki, ma długi okres trwałości, jest często produktem markowym. Trwałość, gotowość do natychmiastowego spożycia, smak i aromat, w połączeniu z agresywnym marketingiem, dają ultraprze-

W Polsce nawet 60 proc. dziennego spożycia kalorii pochodzi z żywności wysokoprzetworzonej

tworzonej żywności ogromną przewagę rynkową nad innymi grupami żywności. To „jedzenie”, zwykle gotowe do spożycia po minimalnym przygotowaniu lub jego braku, reklamowane jako wygodne i atrakcyjne dla konsumenta, jest ściśle powiązane z negatywnymi skutkami zdrowotnymi związanymi z zakłóceniem metabolizmu.

Klasyfikacja NOVA zalicza do grupy wysokoprzetworzonej żywności m.in. napoje bezalkoholowe, w tym gazowane, napoje mleczne, nektary owocowe, sproszkowane mieszanki do produkcji napojów o smaku owocowym, przekąski, słodycze i czekoladki, batony zbożowe, lody, pakowany chleb i inne produkty piekarnicze, margarynę i inne substytuty masła, herbatniki, ciasta i mieszanki ciast, płatki zbożowe, ciasta, dania z makaronu i wstępnie przygotowane pizze, nuggetsy z kurczaka i ryb,

■ kiełbaski, hamburgery i inne odtworzone produkty mięsne, makaron instant, sproszkowane mieszanki do przygotowywania zup lub deserów i wiele innych produktów.

MILIARDOWE ZYSKI

W latach 80. i 90. XX w. przemysł spożywczy został przejęty przez firmy tytoniowe po tym, jak rząd USA w końcu przyznał, że palenie może być szkodliwe. Firmy takie jak Philip Morris i RJ Reynolds kupiły największe firmy spożywcze, przenosząc naukowców od uzależnień do sektora żywności. Dwie największe transakcje fuzji i przejęć do 1990 r. dotyczyły właśnie tych firm, które zainwestowały w przemysł spożywczy i przeniosły tysiące swoich pracowników, którzy byli ekspertami w uzależnianiu od papierosów, do pracy w przemyśle wysokoprzetworzonej żywności, aby uczynić ją bardziej smaczną i uzależniającą. Pod koniec lat 90. najwięksi producenci żywności na świecie byli jednocześnie właścicielami firm tytoniowych. Firmy te zastosowały te same metody w swojej działalności lobbingskiej, wpływając na Departament Rolnictwa USA, i stworzyły piramidę żywnościową promującą ultraprzetworzoną żywność.

Dzisiaj wartość rynku żywności wysokoprzetworzonej w Stanach Zjednoczonych szacowana jest na 1,08 bln dol. (dane z 2022 r.). Prognozy wskazują, że do 2030 r. wartość rynku wzrośnie do 1,58 bln dol., co oznacza roczny wzrost na poziomie ok. 4,8 proc. Przewidywany wzrost wartości rynku żywności wysokoprzetworzonej napędzany jest m.in. reklamami i rosnącym zapotrzebowaniem na wygodne, gotowe do spożycia produkty spożywcze, a także dopłatami federalnymi w ramach programu pomocowego Food Stamp (Supplemental Nutrition Assistance Program – SNAP), który zapewnia wsparcie finansowe osobom i rodzinom o niskich dochodach na zakup żywności. Uczestnicy programu otrzymują elektroniczną kartę (Electronic Benefits Transfer), której mogą używać do kupowania zatwierdzonych produktów spożywczych w wybranych sklepach. Program jest zarządzany przez Departament Rolnictwa Stanów Zjednoczonych, organizację w 95 proc. opłacaną przez firmy branży spożywczej, której wytyczne ustalają standardy żywienia-

Dla przemysłu farmaceutycznego najważniejszą sprawą jest zysk, a nie zdrowie pacjenta

we. Aż 90 proc. dotacji przeznaczanych jest na zakup wysokoprzetworzonej żywności, rząd de facto dotacjami wspiera jej producentów. 10 proc. wszystkich funduszy z bonów żywnościowych przeznaczonych jest na napoje gazowane, jak Coca-Cola, ale karty EBT mogą być używane do zakupu słonych przekąsek – jak chipsy czy krakersy – słodczy, czekolad, ciastek, płatków owsianych z dodatkiem cukru, fast foodów – jak hamburgery czy frytki – żywności instant (zupki chińskie) czy mrożonej żywności gotowej do spożycia po podgrzaniu w mikrofalówce. Samo zdrowie. Ponad 10 mld dol. rocznie trafia bezpośrednio ze skarbu federalnego do firm produkujących napoje gazowane za pośrednictwem programu bonów żywnościowych.

BENEFICJENT KOŃCOWY

Beneficjentem problemów wynikających z nadmiernej konsumpcji wysokoprzetworzonej żywności jest nie tylko przemysł spożywczy. Jak wspomniałem na początku, zawiązany został nieformalny sojusz dwóch gałęzi przemysłu – spożywczej i farmaceutycznej – oraz agencji regulujących rynek żywności i leków.

Zła jakość żywności powoduje, że najszybciej rozwijającą się obecnie branżą w Ameryce jest opieka zdrowotna. Licząc od lat 50., przychody firm farmaceutycznych wrosły o 15 tys. proc., od ok. 10 mld dol. do 1,5 bln dol. w 2023 r., w tym samym czasie całkowite wydatki na służbę zdrowia wzrosły o ok. 35 833 proc. (16,4 tys. proc. per capita), co daje aż czterokrotny wzrost udziału PKB.

W miarę upływu lat zdrowie stawało się coraz większym obciążeniem dla gospodarki USA. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia najbardziej dochodowym pacjentem dla tej branży jest przewlekle chore dziecko. Kiedy dziecko zachoruje na chorobę przewlekłą – cukrzycę, otyłość, chorobę nerek, chorobę serca – musi przez całe życie przyjmować

leki, rozwijając po drodze coraz więcej chorób współistniejących. Osoba cierpiąca na cukrzycę ma średnio cztery inne choroby współistniejące. Dojrzewając, dzieci mają coraz więcej schorzeń, na które co prawda nie umierają – po prostu cierpią.

Amerykańska polityka zdrowotna, napędzana przez agencje regulacyjne dotowane przez przemysły farmaceutyczny i spożywczy, polega na likwidowaniu objawów, a nie usuwaniu przyczyn. Świetnym przykładem tej polityki są zalecenia dotyczące postępowania z dziećmi otyłymi. W ciągu ostatnich 10 lat nadwaga wśród dzieci w szkołach stała się wskazaniem do przepisania metforminy, leku na cukrzycę, już w wieku 6–10 lat. Inny cudowny lek, Ozempic, przepisywany jest profilaktycznie dzieciom z otyłością. Lek w postaci zastrzyku, który osoby zagrożone muszą przyjmować do końca życia, to koszt od 800 do 1 tys. dol. miesięcznie na pacjenta. Pamiętajmy – blisko 80 proc. dorosłych Amerykanów ma nadwagę lub cierpi na otyłość – w zeszłym roku sprzedaż Ozempicu osiągnęła wartość ok. 10,7 mld dol. Lek nie usuwa przyczyn nadwagi, a często przyczynia się do powstania innych problemów zdrowotnych – kojarzony jest z częstymi przypadkami paralizu żołądka.

Dla przemysłu farmaceutycznego najważniejszą sprawą jest zysk, a nie zdrowie pacjenta. Wyleczony pacjent przestaje być klientem, dlatego tak cenne są osoby przewlekle chore. Przemysł farmaceutyczny będzie przeznaczał olbrzymie pieniądze, żeby ośmieszyć terapie holistyczne, leczenie naturalne, zdrową dietę, ziołolecznictwo jako pozabawione podstaw naukowych zabobony. Bez głębokiej reformy polegającej na odebraniu producentom żywności i leków prawa do prowadzenia badań nad bezpieczeństwem preparatów, które powinny być prowadzone przez niezależnych, niezwiązanych z branżą naukowców, na zabronieniu przyjmowania jakichkolwiek korzyści finansowych przez agencje regulujące od przemysłu czy przechodzeniu, na zasadzie drzwi obrotowych, urzędników do przemysłu i odwrotnie – zysk inwestorów będzie ważniejszy niż zdrowie publiczne, a koncentracja pieniędzy i władzy będzie pozwalała przemysłowi farmaceutycznemu wpływać na politykę opieki zdrowotnej. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczmy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



w każdą niedzielę

11:30

w Republice



W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika



SKANUJ KOD QR
**WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA**

HYUNDAI ELANTRA



FOT. JAP

Testowany model po tegorocznym liftingu stał się ciekawą propozycją dla nowoczesnego konserwatyisty. Nadwozie: klasyczny sedan, i to jeden z ładniejszych dostępnych obecnie w polskich salonach (zwłaszcza przód po odświeżeniu nabrał dużo więcej stanowczości czy wręcz – nie bójmy się tego słowa – odwagi). Pod maską: klasyczny, wolnossący czterocylindrowy silnik 1.6 MPI. Bez turbo. Ta benzynowa jednostka uznawana jest przez wielu mechaników za wyjątkowo odporną. Innymi słowy, to silnik, który choć może nie jest idealny, to na pewno pozbawiony jest zbędnych pseudoekologicznych „usprawnień”, dzięki czemu auto powinno przejechać wiele tysięcy kilometrów bez konieczności poważniejszych napraw.

Dostępna moc silnika to 123 KM, a maksymalny moment obrotowy wynosi 153 Nm. Na papierze szалу nie ma. Elantra od zera do 100 km/h rozpędza się aż 10,7 s. Z małolátami w tuningowanych beemkach na długiej prostej ścigać się więc będzie trudno. Ale nie w takim celu kupuje się klasycznego sedana. Zresztą Elantra potrafi być dynamiczna, dobrze się prowadzi, ma precyzyjny układ kierowniczy i minimalne przechyły nadwozia przy szybkim pokonywaniu serpentyn. Średnie spalanie podczas testu w mieście, na trasie i na autostradzie wyniosło 6,5 l/100 km. Na drogach krajowych bez większego trudu można zejść do średniej w okolicach 5 l/100 km.

Nowocześnie wykończona kabina jest przestronna, wygodna i dobrze wyciszona. Centralne elementy deski rozdzielczej to ekran systemu multimedialnego (o przekątnej 10,25 cala) oraz cyfrowy kokpit tej samej wielkości. Do dyspozycji jest też indukcyjna ładowarka do smartfonów oraz – co warto pochwalić – porty USB typu A i typu C. Samochód bezproblemowo współpracuje również z systemami Android Auto i Apple CarPlay (choć wymaga niestety podłączenia smartfona za pomocą kabla). Auto jest też wyposażone w dwustrefową klimatyzację. Fotele są wygodne. Na pochwałę zasługuje też ustawny kufer o pojemności wynoszącej 474 l. Kompletnie niestandardowym elementem wnętrza nowej Elantry jest plastikowy pałąk oddzielający kierowcę od siedzącego z przodu pasażera.

Nad bezpieczeństwem kierowcy i pasażera czuwają systemy komputerowe przypominające o mijanych znakach, informujące o samochodach w martwym polu lusterek oraz ostrzegające w przypadku wykrycia ruchu poprzecznego (wyjątkowo przydatna funkcja na zatłoczonych parkingach).

Elantra jest też uczciwie wyceniona. Za egzemplarz z manualną skrzynią biegów w najniższej wersji wyposażenia trzeba zapłacić 97,4 tys. zł, a z bezstopniowym automatem (CVT) 104,4 tys. zł. Najdroższa wersja (Executive) kosztuje odpowiednio 115,9 i 123,4 tys. zł, co w czasach wszechobecnej drożyzny w salonach wydaje się być bardzo atrakcyjną ofertą.

GŁOŚNIK SAMSUNG MUSIC FRAME

Nowoczesne wzornictwo, wysoka jakość wykonania, dobre brzmienie, wsparcie dla Dolby Atmos oraz banalnie prosta obsługa – to największe zalety głośnika Music Frame HW-LS60D południowokoreańskiej firmy Samsung.

Coraz więcej producentów wprowadza na rynek głośniki, które można ukryć. I nie chodzi o możliwość montażu w ścianie lub w suficie, lecz o ukrycie głośnika w przedmiotach codziennego użytku, takich jak lampa czy ramka na zdjęcie. Do tej ostatniej kategorii zalicza się testowany model Music Frame.

Ramkę można postawić na stole przy użyciu stojaka lub powiesić na ścianie. Następnie należy podłączyć ją do prądu i do domowej/firmowej sieci wi-fi. Urządzenie odtwarza muzykę z serwisów streamingowych na smartfonie bezprzewodowo przez wi-fi lub przy użyciu modułu Bluetooth. Urządzenie można skonfigurować za pomocą aplikacji SmartThings. Właściciele smartfonów spod znaku nadgryzionego jabłka ucieszy z kolei informacja, że Music Frame można też sterować przy pomocy aplikacji Air Play. Przydatna jest też funkcja „Dotknij i Odtwórz”, która pozwala w prosty sposób przełączać się ze słuchania danego utworu na smartfonie na głośnik (rzeczywiście wystarczy dotknąć grającej ramki, a ta automatycznie wykryje telefon

i zacznie grać wybrany utwór). Dla wymagających jest też opcja podłączenia przewodu optycznego.

Na pierwszy rzut oka nic nie zdradza, że w ramce ukryte są głośniki niskotonowe, wysokotonowe oraz średniotonowe. Zwłaszcza że można do niej wstawić własne zdjęcie (lub wykorzystać jeden z paneli artystycznych). Jak na dość płaską konstrukcję głośnik ten gra zaskakująco dobrze, a dźwięk rozchodzi się równomiernie. Ważną zaletą jest także wsparcie dla Dolby Atmos.

Urządzenie można połączyć w zestaw z drugim głośnikiem Music Frame oraz/lub z soundbarem Samsunga. Można też dwie ramki połączyć z głośnikami wybranych modeli telewizorów. Wówczas dostępna jest m.in. funkcja wzmacniania wyrazistości dialogów w filmach i serialach bez konieczności zwiększania głośności. Tym, którzy chcieliby, aby Music Frame działał w ramach funkcji Q-Symphony, przed zakupem radzę się jednak upewnić, czy głośnik będzie działał z posiadanym telewizorem.

Minusy? Poza wysoką ceną wadą jest brak możliwości zasilania bateryjnego. Na szczęście przewód jest cienki i długi, więc nie jest to duży problem. Druga wada: niedopracowany system sterowania dotykowymi przyciskami z tyłu ramki. Cena: 1399 zł.





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kmicic swawoli w Krośnie

Wszyscy pamiętamy z „Potopu”, jak Andrzej Kmicic wychłostał w Upicie na Litwie mieszczan za to, że sprzeciwiali się rabunkom żołnierzy z jego chorągwi wolen-tarskiej. Mało kto wie, że zdarzenie to jest prawdziwe i miało miejsce w grudniu 1655 r., tyle że w Krośnie. Jego sprawcą był zaś oficer jazdy polskiej Gabriel Wojniłowicz, postać autentyczna i być może człowiek, na podstawie którego losów Henryk Sienkiewicz stworzył fikcyjną postać Andrzeja Kmicica, chorążego orszańskiego.

Wojniłowicz – jak pisze Sławomir Augustyniewicz w jego biografii – był postacią o wiele bardziej patriotyczną od początkowych losów powieściowego Kmicica.

Jako pierwszy bowiem z oficerów porzucił służbę u władcy Szwecji Karola X Gustawa, którego uznała za króla armia koronna. 7 grudnia okazało się, że niejaki Pracki, który w Krakowie obwoływał konfederację przeciwko Janowi Kazimierzowi, przeszedł

na stronę Szwedów i wzięwszy od ich króla pieniądze na utworzenie chorągwi, zaciągał żołnierzy w Krosno. A przy okazji, jak pisze Mikołaj Jemiołowski: „Z drużyną swoją, której niemało nawerbował, ludzi ubogich dał, nie tylko tych, do których miał jakiegokolwiek prawo, ale i na innych chorągwi następował konsystencję i z nich sówite wybierał chleby, nawet i samej chorągwi hetmańskiej nie wytrwał, ale jej właśnie należące przez asygnację wsie górne sanockie gwałtownie napadł i wypędziwszy towarzystwo hetmańskie, swoich tam osadził, a sam do Krosna jechał”.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wojniłowicz, który był porucznikiem chorągwi hetmańskiej, dowiedziawszy się o tym, ruszył ze swoją chorągwią z Przemyśla i najpierw uderzył na rabusiów grasujących w wioskach. Część rozbił, a tych, których wziął w niewolę, kazał związanych prowadzić do miasta. Przypadłszy z samego rana na przedmieścia, zaskoczył Prackiego w jednej z gospód, a watażka wpadł w takie przerażenie, że... schronił się w piecu – zapewne do pieczenia chleba. Pan Gabriel kazał go jednak wywlec i rozstrzelać. Natomiast ludzi zdrajcy rozkazał obedrzeć z szat i wypędzić z miasta, gnając nagich po śniegu kańczugami.

Historycy uważają, że Wojniłowiczowi wcale nie chodziło o to, iż swawolna kompania Prackiego rabowała chłopów, ale rozpoczął akcję, aby dać sygnał do powstania przeciwko Szwedom i wspierającym ich sprzedawczykom. Prawdopodobnie działał w porozumieniu z marszałkiem wielkim koronnym Jerzym Sebastianem Lubomirskim, gdyż zaraz po rozprawieniu się z rabusiami ruszył do Łącica i 10 grudnia wysłał list do przebywającego na Śląsku Jana Kazimierza, zawiadamiając o sukcesie. Już sześć dni później hetmani

koronni wyjechali z Lublina i wydali uniwersały wzywające szlachtę do powstania, do którego pierwszy wystrzał padł właśnie w Krośnie. Wojniłowicz walczył wówczas na Podgórzu, ponieważ połączył się z chorągwiami Krzysztofa Tyszkiewicza i zaczął atakować Szwedów rabujących okolice Biecha, Tarnowa i Wojnicz. Być może to właśnie on stał za zajęciem Nowego Sącza, z którego już 13 grudnia górale wypędzili wroga. 21 grudnia została tam zawiązana konfederacja przeciwko okupantowi.

Ciekawe, że Wojniłowicz, być może pierwowzór Kmicica, był także prawie jego krajanem, pochodził bowiem ze szlachty litewskiej osiadłej w województwie nowogródzkim, w powiecie słonimskim. Karierę wojskową zaczynał być może w wojskach Kozaków rejestrowych, źródła historyczne wymieniają bowiem pułkownika pułku kaniowskiego o nazwisku Wojniłowicz lub Womełowicz. 14 kwietnia został on wzięty przez Tatarów do niewoli, kiedy wspólnie ze Stefanem Czarnieckim udawali się do Tuhaj-beja jako zakładnicy. Sam był zresztą związany z księciem Jerzym Wiśniowieckim, zapewne brał udział w licznych walkach z Kozakami, uniknął też śmierci w tragicznej bitwie pod Batochem w 1652 r., gdyż przebywał wówczas z częścią wojsk na Zadnieprzu. W 1655 r. dowodził już dużymi jednostkami jazdy pod Buczaczem, w walkach z Moskwą i pod Gródkiem. W listopadzie w beznadziejnej sytuacji militarnej przeszedł na stronę Szwedów, być może jako ostatni z wyższych oficerów armii koronnej. Na pewno zaś porzucił ją jako pierwszy, w Krośnie. Zginął na służbie Rzeczypospolitej w czasie kampanii zadnieprzańskiej 1664 r. ©

I RZECZYPOSPOLITA

Krosno



SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

Brownie, dawniej zwane murzynkiem

Czy jesienią także macie – podobnie jak my – nieodpartą ochotę na małe słodkie co nieco? I czy wy także ignorujecie wszelkie mocne postanowienia niejedzenia słodczych, węglowodanów i cukrów prostych? Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, może to te listopadowe wiatry i chłody, ale trudno nam się oprzeć słodkim pokusom.

A często bywa i tak, że same te pokusy prowokujemy!

Ku zadowoleniu zresztą wszystkich domowników i przyjaciół. Uważamy, że o tej porze roku trzeba się wzmacniać, by przetrwać. A zatem ciasto, które nie będzie obszerne objętościowo, ale da nam skoncentrowaną zdrową energię, będzie idealne.

Wybór często pada na brownie. Podczas tegorocznej wizyty na Śląsku przy okazji odwiedzin grobów bliskich zostaliśmy zaproszone do kuzynkę na obiad. Bożena i Gosia, nie umawiając się ze sobą, upiekły brownie. Każda według nieco innego przepisu. Mogłyśmy więc porównywać jego dwa warianty. Jeden był upieczony zupełnie bez mąki, zamiast niej były tylko mielone migdały. Drugi, bardziej klasyczny, z mąką. Podajemy oba przepisy – do wyboru.

Gosia upiekła bezmąkowe brownie, które kusi intensywnym smakiem czekolady. Zaczęła od rozpuszczenia ok. 220 g gorzkiej czekolady z takim samym kawałkiem masła na małym ogniu. Kiedy składniki się połączyły, dodała 200 g cukru i dwie łyżki ekstraktu waniliowego,

by nadać ciastu głębi. Następnie, wciąż mieszając, wbiła trzy roztrzepane jajka oraz dodała posiekane orzechy. (Tu można wybierać między migdałami a orzechami włoskimi lub połączyć oba rodzaje). Całość trafiła do prostokątnej foremki o boku ok. 25 cm, a brownie piekło się w piekarniku nagrzanym do 170 st. C przez ok. 25–30 min.



Efektom jest pyszne, wilgotne brownie, które po ostygnięciu stanowi idealny deser na jesienne popołudnia.

Bożena natomiast postawiła na tradycyjne brownie z kawałkami czekolady. Upiekła większą wersję dla całej rodziny. Rozpoczęła od przesiania 225 g mąki z łyżeczką soli. Następnie rozpuściła 375 g czekolady z taką samą ilością masła, aż uzyskała jednolity sos. Kolejnym krokiem było delikatne ubicie sześciu jajek z 350 g cukru i łyżeczką ekstraktu waniliowego. Po przestudzeniu sosu czekoladowego połączyła go z mieszanką jajek, cukru i mąki, a na końcu dodała ok. 300 g posiekanych orzechów. (Bożena wybrała orzechy włoskie, ale migdały również będą świetne). Brownie piekło się w formie o wymiarach 30 cm x 20 cm w temperaturze 180 st. C przez 20–25 min. Gotowe ciasto jest sprężyste w środku, z kuszącym zapachem czekolady na zewnątrz. Staje się ulubionym deserem zarówno dla małych, jak i dużych.

Dajcie znać, które brownie bardziej wam smakuje. Osobiście nie mogłyśmy się oprzeć żadnemu z nich! ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sztuka życia Marthy S.

W czasie krótkich pobyków w Nowym Jorku w latach 90. lubiłam oglądać w telewizji poranne programy Marthy Stewart. Ich użyteczność byłaby znikoma w polskich warunkach: jak wykrawać wzorki na kanapkach do szkoły, jak dekorować krzesła na przyjęcie... Było to nierealne, ale oglądało się przyjemnie. Martha, zawsze elegancka, z włosami prosto od fryzjera, krzątała się po swojej kuchni wielkości polskiego M4, gdzie w osobnej szufladzie znajdowały się tylko trzepaczki do piany, a w innej widelczyki do tortu. Jak robić gołąbki? „Polish golabki” – tłumaczyła pani Stewart, z domu Kostyra. Jedną z jej porad wprowadziłam w życie: gotowanie gara mocnego, esencjonalnego rosółu i po odparowaniu zamrażanie go w porcjach. Przydało się na zimowe zupy.

Nowy film „Martha” na Netflixie pokazuje tę nieprawdopodobną kobietę, która podbiła Amerykę lekcjami prowadzenia eleganckiego domu. Zaczynała od firmy cateringowej. Sukces był tak wielki, że ekspansja nastąpiła nieuchronnie. Ładna, obdarzona darem, który dziś nazwalibyśmy talentem komunikacji, Martha była wkrótce w magazynach, potem w telewizji – wszędzie. Znała i podziwiała ją Ameryka; udało się jej to, czego przedtem nikt nie próbował: z prowadzenia domu zdjęć odium niewdzięcznego

znoju i uczynić je sztuką. Jej programy ogarniały wszystko: gotowanie, zarządzanie domu, ogród, kwiaty, śluby, przyjęcia.

W rozmowach biznesowych z mężczyznami była nieustępliwa. Wypuszczając wciąż nowe magazyny, zawsze ze swoim nazwiskiem w tytule, twardo negocjowała warunki. W końcu doszła do własnej firmy, która na fali sukcesu właścicielki z przytupem weszła na giełdę.

Pierwszy miliard, nowy mężczyzna, z poprzednim się rozwiodła. Było tak dobrze, że musiało coś pójść źle. W rozmowie telefonicznej ze swoim maklerem dowiedziała się, że akcje pewnej firmy spadają. On je już sprzedał i ona postanowiła zrobić to samo – sprzedała cały pakiet, nie zdając sobie sprawy, że to ściągnie na nią pasmo problemów. Skorzystała z informacji poufnej, a za to amerykańskie prawo przewiduje karę bezwzględного więzienia. Martha dostała pięć miesięcy. Odsiedziała karę, wykorzystując ją, aby współwłaścicielkom urządzić kursy tego, na czym znała się najlepiej – prowadzenia domu. Trudno powiedzieć, czy kiedykolwiek im się to przydało. Po 150 dniach wyszła z paki w glorii triumfującej, niezłomnej damy i znów była gwiazdą telewizyjnych show.

Takie rzeczy tylko w Stanach. Obejrzyjcie film, nawet jeśli nie lubicie Ameryki i nie macie zamiaru robić pierniczków na Boże Narodzenie. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zbyszek
na bruku

Szwagra mi zwolnili. Zbyszek jest emerytem, ale trudno o lepszego pracownika – sumien-ny, obowiązkowy, szybko się uczy, obce mu jest obijanie się za tokarką. Ale go zwolnili.

Wszędzie dookoła słyszę o takich przypadkach. Zwalniają, nie za karę, ale dlatego, że muszą. A czemu muszą? Zaczniemy od początku. No, trzeba przyznać, że mieliśmy do tej pory jedyny pewnik – rośło, gospodarka przodowała w tempie wzrostu, i to nie tylko w rozleniwionej Europie, bo co to za porównanie, ale i w świecie. Byliśmy przykładem dla innych. Byliśmy. Co poszło nie tak?

No, przede wszystkim wypadliśmy z wąskiej ścieżki atrakcyjności do inwestycji stymulowanej niskimi zarobkami i niezłymi kwalifikacjami, bo z drugiej strony była polityka – ciągle podwyższanie pensji minimalnej przez polityków. To diabelska sztuczka: „obdarowani” cieszą się, bo państwo daje. Ale ono daje nie swoje pieniądze, ale pieniądze pracodawców, a prawie 20 proc. z podwyżki płacy minimalnej łąduje od razu w kieszeni żarłocznego budżetu. I cieszą się – naiwnie – pracownicy, że niżej pracodawca dać nie może, cieszy się państwo, że zarabia. Kto się smuci? Sponsor. A to nie wróży długiej kontynuacji procedury.

Niestety, praca jest towarem, nie prawem, o czym przekonują się codziennie

Zbyszeki. Nie ma popytu na ich towary, bo niżej nie można zapłacić. A więc nie płaci się w ogóle. Bo wycena pracy jest podstawowym elementem rynkowym. Płaca minimalna to to samo co ceny regulowane na towary konsumpcyjne kiedyś, za komuny. Było przecież sprawiedliwie, bo spekulanci nie mogli się napaść. Ale szybko zniknęły... towary. I tak będzie z pracą i płacą. Politycy podlizują się ludowi za kasę przedsiębiorców, a ci mają do wyboru trzy wyjścia: albo płacić (na lewo, przy obopólnej zgodzie) tyle, ile praca jest warta, albo tyle, ile każe rząd. Albo nie płacić nic, co jest immanentną cechą przedsiębiorstw upadłych.

Za chwilę będziemy mieli najlepszy poziom relacji płacy minimalnej do (oszukiwanej zresztą wwyż) płacy średniej. I tłumy szukających pracy w pośredniaku. Ale coraz bardziej bezrobotny lud wraz z politykami będzie się cieszył. Z obietnic na cudzy koszt. Nie rozumiejąc, że prawo do pracy realizuje się tylko wtedy, kiedy ta wyceniana jest odpowiednio jako towar.

Musimy się przygotować, że cud polskiego wzrostu to już przeszłość, i to nie z powodu dekonunktury, ale z powodu złych wyborów złe wybranych polityków. Do tej pory rozwijaliśmy się pomimo rzucanych systemowo kłód. Dziś ten zapas cudu jest na wyczerpaniu. Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Cześć i chwała
bohaterom!

Podczas obchodów Święta Niepodległości w oficjalnych wystąpieniach wspominani są Józef Piłsudski, Roman Dmowski i Ignacy Jan Paderewski. Bywa, że wymienia się również Wincentego Witosa, Wojciecha Korfańskiego i Ignacego Daszyńskiego. Nieraz pojawia się też wspomnienie o twórcach kultury, którzy przenieśli przez czas zaborów ducha polskości. Ale wśród tych, którym winniśmy pamięć, brak istotnego wątku. Brak szczególnego grona postaci o ogromnych zasługach. Zdumiewa mnie, że nie ma o nich kompetentnego opracowania.

Wiemy co nieco o roli Kościoła w czasie zaborów, pamiętamy o kilku osobach. Janek Pietrzak śpiewa o ks. Ściegiennym, jest w Warszawie ulica ks. Kłopotowskiego i ks. Ignacego Skorupki, natomiast lista bohaterów jest naprawdę imponująca. Tylko w okresie od powstania listopadowego do Bitwy Warszawskiej we wszystkich zaborach, a także na emigracji i na Syberii pojawia się kilkadziesiąt wybitnych kobiet i mężczyzn, którzy wywarli znaczący wpływ na losy Polaków i mają w biografii pewien wspólny rys.

Najpierw walczą w powstaniach, konspirują, prowadzą tajne nauczanie, wszelaką działalność niepodległościową, a potem w ich życiu następuje zwrot, przeżywają spektakularne nawrócenie – odkrywają powołanie. Wielu

z nich skupia wokół siebie grono podobnych szaleńców i zakłada zgromadzenia zakonne. Najlepiej tę ideę wyrażał Bogdan Jański (1807–1840), fenomenalnie utalentowany młody ekonomista, stypendysta Johna Stuarta Milla, emisariusz rządu powstania listopadowego, sekretarz i przyjaciel Adama Mickiewicza. Jański w Paryżu przeżył głęboki zwrot duchowy i wraz z grupą przyjaciół pracował na rzecz odrodzenia religijnego i narodowego. – Nie będzie zmartwychwstania Polski – mówił Jański – bez duchowego zmartwychwstania Polaków. Po śmierci Jańskiego dzieło kontynuowali m.in. byli powstańcy (walczyli u boku Dezyderygo Chłapowskiego) Piotr Semenkenko i Hieronim Kajsiewicz, którzy stworzyli zgromadzenie zmartwychwstańców.

Ponad 30 podobnych biografii znalazłem i odkrywam ciągle nowe. Wśród nich są znani – Honorat Koźmiński, Edmund Bojanowski, Marcelina Darowska, Franciszka Siedliska, Rafał Kalinowski, Adam Chmielowski – a także mniej znani, np. apostoł Syberii Krzysztof Maria Szwerwicki, Celina Borzęcka, Ewa w Sułkowskich Potocka, Zygmunt Gorzodowski. Ich dziełem są ok. 40 dobroczynnych zgromadzeń zakonnych, a także m.in. szkoły ludowe, wydawnictwa. Romantyczni z ducha, pozytywistyczni w działaniu zmienili Polskę. Bez nich inaczej potoczyłyby się nasze losy. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Era jawnego klejenia

W kraju nad Wisłą nastała era kłamania w żywe oczy i jawnego klejenia (jak mawiał Janusz Korwin-Mikke) głupa. Stop. Tuskowi podczas konferencji prasowej dziennikarka przypomniła kłamliwą wypowiedź z ubiegłego roku dotyczącą świeżutko wybranego prezydenta USA: „Trump i jego zależność od rosyjskich służb dziś już nie podlega dyskusji i to nie jest moje przypuszczenie, to jest efekt dochodzenia amerykańskich służb”. I poprosiła o komentarz. Stop. A na to Tusk: „Nie, tego typu sugestii nigdy nie zgłaszałem”. Stop. Obie wypowiedzi są oczywiście nagrane i zostały zestawione przez internautów. Stop. Być może patologiczne kłamstwa Tuska nie są jednak efektem jego wyrachowania. Może nasz premier potrzebuje specjalistycznej pomocy i pochylenia się nad nim z troską? Stop. Dziennikarce, która zadała Tuskowi proste pytanie, oznajmiono, że nie będzie już wpuszczana na spotkania z najbardziej znanym polskim Pinokiem.

Opłacany przez nas za wicepremierowanie Kosiniak-Kamysz z PSL, jakkolwiek by patrzeć – koalicjant Platformy, zapytany został o tę wypowiedź Tuska dotyczącą rzekomej współpracy Trumpa ze służbami rosyjskimi. Stop. „Tusk nie był wtedy premierem” – odpowiedział zastępca Donalda. I tu rodzi się pytanie: Władku, czyli uważasz, że można łąć bezkarnie, jak nie jest się premierem, a jak się

nim zostaje, to można sobie zapomnieć o kłamstwach? Czy może jakoś inaczej powinniśmy to rozumieć? Stop.

Rafał Zdejmij Krzyż Trzaskowski zdaje się rozpoczął kampanię prezydencką, choć jeszcze bez namaszczenia. Stop. Bardzo nam się podoba styl, w którym chce kampanię prowadzić, gdyż postawił na tę, no, jak jej tam... szczerść. Stop. O PiS powiedziała: „Zniszczyli część tego wymiaru sprawiedliwości, na szczęście NASI sędziowie byli na tyle twardzi, że się nie dali zniszczyć”. Stop. W sumie nie od dziś wiadomo, że duża część sędziów to zwykli partyjniacy pracujący dla Platformy, ale szanujemy, że Trzaskowski wypowiedział to wprost. Stop. Następnym razem poprosimy o najbardziej zasłużone dla Platformy nazwiska sędziów. W sumie możemy podpowiedzieć, to żadna tajemnica.

Ze zwycięstwa Trumpa nie ucieszył się za nadto chłopak byłego wiceministra sprawiedliwości Krzysztofa Śmieszka. Stop. Robert Biedroń, obecnie na utrzymaniu Parlamentu Europejskiego, na portalu X napisał: „Donald Trump zwyciężył wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. To straszne, że miliony Amerykanów są gotowe zagłosować na skazanego przestępcę i patologicznego kłamcę zamiast na wykwalifikowaną i doświadczoną kobietę... Feminizm jest szalenie aktualny”. Naprawdę napisał: „na wykwalifikowaną i doświadczoną kobietę”, przysięgam. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Zbawcy ojczyzny w tournée

Radosne wieści dobiegają ze Stanów Zjednoczonych. Zwycięstwo Donalda Trumpa powinno być wzorem także dla polskich środowisk konserwatywnych. W jakim stopniu możemy z tego przykładu skorzystać?

Donald Trump jest niewątpliwie politykiem charyzmatycznym. Nie obawia się kontrowersyjnych sądów i ostrych, antagonizujących wpływów środowiska wypowiedzi. Nie można mu odmówić ogromnej wyrazistości, umiejętności skupiania na sobie uwagi i „wywracania stolika” – kiedy reguły gry usiłują ustalić za niego inni. Z pewnością nie jest to polityk „partyjny” – jego kariera upstrzona jest konfliktami z prominentnymi postaciami własnej Partii Republikańskiej, których wielokrotnie nazywał „bagnem”. Trudno mi wyobrazić sobie Donalda Trumpa wyciekającego w korytarzach partyjnych bossów na wyniki badania fokusowego, na którym werdykt wydają dobrane przypadkowo gospodynie domowe.

Polscy kandydaci na odnowicieli prawicy prezentują się z innej strony. Cechami, które najbardziej podkreślają w wywiadach, są skromność, „usłuchanie”, brak ambicji i „znajomość miejsca w szeregu”. Niczym Tobiasz Bocheński wyrażają co najwyżej gotowość do startu w wyborach, jeśli Partia (czytaj – Umiełowany Przywódca) zdecyduje się postawić na niego.

„Nie jestem taką osobą, która wchodzi drzwiami do siedziby PiS-u na ulicy Nowogrodzkiej i mówi »ja [...] chcę, żądam«. Jestem wyrzucany drzwiami, a wchodzi oknem. Tak nie jest. Nie za wszelką cenę”. Kandydaci na kandydatów prześcigają się co najwyżej w posłuszeństwie i pokorze. „To, że świadomie jestem na liście potencjalnych kandydatów po stronie obozu patriotycznego, wynika nie z moich ambicji, czyli planów, tylko właśnie z odpowiedzialności za Polskę” – zapewnia Karol Nawrocki. Czy nie przyszło mu na myśl, że ambicje i plany mogą być cennymi atutami politycznego lidera?

W podobnym tonie wypowiada się o swoich zamiarach Przemysław Czarnek: „Jarosław Kaczyński nie podjął decyzji o wystawieniu mnie na kandydata. W dalszym ciągu trwają badania [...]”. Ławka kandydatów to jest kilka osób. Wymienia się moją osobę. Podchodzę do tego z wielkim spokojem. Jestem przygotowany, rozpoczynam tournée po Polsce”.

„Tournée po Polsce” odbywać mogli utalentowani tenorzy z ciepłego gniazda, które uwił sobie niegdyś w Opercie Warszawskiej przy ulicy Nowogrodzkiej jej charyzmatyczny dyrektor – Bogusław Kaczyński. Od kandydata na prezydenta, walczącego o uratowanie swojego kraju, oczekuje się wyruszenia na podbój. W takim stylu, w jakim podbił Amerykę Donald Trump. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Zgasilem światło w knajpie”



JOANNA SIEDLECKA

Flaki zawsze słabsze od nadbudowy” – mawiał Zbigniew Herbert i nawet podłączony do aparatury tłoczącej tlen żartował, śmiał się, ratował humorem. „Na szczęście nic mi jeszcze nie odpadło, nie mogę tylko zdobyć K2” – zapewniał przyjaciół. „Już się wydobywam” – pisał zwykle o swoich chorobach do Kota, Jeleńskiego, np. że w sanatorium badano mu siodełko tureckie. „Myślałem, że to jakaś nowa pozycja erotyczna, ale okazało się, że to się mieści w głowie. Było bardzo wesoło. Piliśmy dużo wódki, którą w razie kontroli wlewaliśmy do flakonów. Ostatki spędziłem na zabawie w prosektorium”.

Gdy chciał się naprawdę pośmiać, sięgał po pracę o językoznawstwie Józefa Stalina, która nigdy go nie zawiodła. Żartował ze wszystkich świętych krów, np. redaktorów paryskiej „Kultury”, Giedroycia i Hertza, za lansowanie i goszczenie rewizjonistów, a potem ekskomunistów, postępowiczów. Napisał nawet „Małą odę” do wuja Hertza, który im tylko fundował alkohole: „Ach, wspomnij Wujku, załkam głucho / gdy razem w Paryż my chodzili / na cous-cous, ale nie na sucho / bożole tegośmy tam pili / szczęśliwi, syci, tłuści, kragli / (zziajany kelner nie mógł zdążyć) / Lecz mówią ludzie, co Cię znają, / że lewiczowcom Wuj nie

o „Cesiu” Miłoszu, „który za sławą umiał się uwijać”, przewidując jego wściekłość, wysłał mu kartkę z rysunkiem wielkiej nogi słonia uniesionej nad malutkim, bezbronnym kurczaczkiem i z dopiskiem: „Nie depcz!”. Miłosz nie uznał jednak tego za żart, ale za niewybaczalną zniewagę i gdy już po śmierci Herberta wdowa prosiła „Cesia” o wstęp do wyboru wierszy męża w USA, odmówił z powodu nieszcześniejszej karteczki.

Herbert nie pogodził się też z nim podczas ich ostatniej rozmowy, gdy Miłosz zadzwonił do niego, namawiając, aby darował Michnikowi, ale obruszył się: „Nie mogę, bo na jednym kolanie ma Kiszczaka, na drugim Jaruzelskiego!”.

Kpił też z lewiczowych, zachodnich elit. „Intelektualistów francuskich należy kopać w dupę, a jeśli to nie pomaga, w krocze (w jądra) [...] Allen Ginsberg namawiał mnie na haszysz i orgie, ale ja jestem barbarzyńca i wystarczy mi D.W.P. (dziwki, wódka, papierosy)” – pisał. Niepoprawny pod każdym względem palił do końca jak smok. Ułożył nawet wierszyk: „Na sam zapach nikotyny / Lecą wdowy i dziewczyny / Jednym forsa, drugim eros / Mądry sięga po papieros / Choć lekarze rakiem straszą / Papierosa nam nie zgaszą”.

„Zawsze mówiłem to, co myślę, i nie byłem zapraszany na salony, powtarzałem nawet nieelegancki zwrot: »je pisze sur vous«, siusiam na was [...] Zamieszałem w każdym razie. Zgasilem światło w knajpie i niech się teraz biją po mordzie, ja idę na spacer” – mówił podczas wywiadu z Bogdanem Rymanowskim. ©©

Herbert zerwał z Adamem Michnikiem, oburzony jego brataniem się z gen. Jaruzelskim i Kiszczakiem, a gdy Michnik próbował go przebłagać, mówiąc: „Jesteś moim Bogiem!”, powiedział twardo: „Musisz sobie znaleźć innego Boga”

Nie miał długo mieszkania, przyjeżdżał więc często do domu pracy twórczej w Oborach, wzbogacając tamtejszą bibliotekę o socrealistyczne gnioty bywających tam literatów – Kazimierza Brandysa, Ważyka, Woroszyńskiego, a gdy je wykradali, przywoził nowe. Razem z poetą Zbigniewem Bieńkowskim wykreślił też nocą korki i gdy pałac tonął w ciemnościach, łomotali do drzwi partyjnych literatek, m.in. sekretarz Hanny Ożogowskiej, i zaśmiewali się, widząc, jak wybiegają na korytarz w nocnych koszulach. „Powywieszamy was na latarniach, ale gwałcić nie będziemy, nie liczcie na to!” – pokrzykiwali.

skapi / jak się marksista jakiś zjawi / z marksistą wóde Wujek rąbie, /a Polak – Patriota z kraju / tu ani kropli nie dostaje”.

Zerwał z Adamem Michnikiem, oburzony jego brataniem się z gen. Jaruzelskim i Kiszczakiem, a gdy Michnik próbował go przebłagać, mówiąc: „Jesteś moim Bogiem!”, powiedział twardo: „Musisz sobie znaleźć innego Boga”. Mimo to Michnik zadzwonił do Herberta po jego słynnym wywiadzie dla tygodnika „Solidarność”. Ten jednak nie chciał z nim rozmawiać. „Adam dzwoni aż z Tokio” – namawiała go żona. „Z Tokio też nie” – odpowiedział.

Po „Chodasiewiczu”, prześmiewczym wierszu Herberta

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI/UTD/ARND BRONKHORST

Czy Polska jest niepodległa? Pytanie absurdałne? Tylko dlatego, że przyzwyczailiśmy się myśleć, że żyjemy w wolnym kraju, wolnym czyli suwerennym, niepodległym. A to już od dawna nieprawda. Nie zauważyliśmy, kiedy konkretnie niepodległość RP została utracona, bo tym razem utrata niepodległości była procesem bez konkretnej daty początkowej. Była jak stopniowe gotowanie żaby. Poprzednie utraty niepodległości to zawsze jakiś dzień w kalendarzu, no np. trzeci i ostateczny rozbiór Polski albo początek drugiej wojny światowej.

Polska nie jest niepodległa. Sprawdziłem definicje – nie spełniamy warunków. Niemcy spełniają, Francja, Rosja, Chiny, Szwecja, Maroko... Ale Polska nie spełnia. Zajrzałem do słownika PWN. Nie spełniamy żadnego z podanych tam warunków. Cytuję: „Niepodległość to niezależność jednego państwa (narodu) od innych państw w sprawach wewnętrznych (wykonywanie przez nie zwierzchnictwa terytorialnego i prawa do normowania stosunków wewnętrznych) i w stosunkach zewnętrznych (zdolność do samodzielnego, niezależnego od jakiegokolwiek podmiotu występowania w stosunkach międzynarodowych)”.

Z powyższego wynika, że Polska nie jest państwem suwerennym, bo... każdą ustawę dotyczącą naszych spraw wewnętrznych musi dostosowywać do przepisów unijnych. Nawet takie duperele, wydawałoby się, jak nasza wewnętrzna stawka podatku VAT na konkretne produkty muszą być zatwierdzone

przez czynniki zewnętrzne, czyli państwo polskie nie ma prawa samodzielnie decydować o własnych podatkach. Państwo polskie pozbyło się tego suwerennego prawa – oddało je w obce ręce dobrowolnie. Zrzekliśmy się naszej niepodległości w sprawach podatkowych i gospodarczych. Podlegamy zagranicznym sądom i płacimy kary finansowe, gdy chcemy produkować prąd na naszym terenie w elektrowni położonej w pobliżu granicy z Czechami. Nasze kutry nie mają prawa do połowów, bo o tym, ile ryb wolno łowić na polskich wodach, decyduje Bruksela.

Przykłady sami państwa znają, jest ich mrowie, a ogólnie o wszystkim decyduje Unia, wszystko musi zatwierdzić, a gdy coś jest niezgodne z prawem unijnym, to my musimy to zmienić u siebie, a nie oni po tamtej stronie. Zawsze i wszędzie to Polska musi dostosować swoje prawo. Polska nie stanowi już własnych praw, a jedynie DOSTOSOWUJE swoje przepisy wewnętrzne do czegoś, co ustalono za granicą. Polska jest w tym układzie jak wasal, jak zamorska kolonia.

Niemcy w ramach Unii zachowali prawo do ignorowania przepisów unijnych, gdy im one nie pasują. Niemcy są w Unii, ale zachowali niepodległość. Polska też jest w Unii, ale utraciła niepodległość.

Zajrzałem do innych definicji. No np. do definicji cytowanej przez Wikipedię. Cytuję: „Suwerenność zewnętrzna gwarantuje, że państwo jest

niezależne od innych państw w podejmowaniu decyzji. Suwerenność ta polega także na braku możliwości wpływu na państwo za pośrednictwem organizacji międzynarodowych, międzynarodowych grup nacisku i sojuszy politycznych”. Koniec cytatu.

Sami państwa widzą, że nie spełniamy tej definicji. W czasie pandemii wykonywaliśmy bierne rozkazy WHO (Szwecja nie wykonywała! – suwerenność), w sprawie imigrantów podajemy się biernie rozkazom organizacji międzynarodowych oraz grup nacisku, w sprawie sankcji wobec Roskich to samo. Gdzie jest polska suwerenność w polityce zagranicznej, klimatycznej, w sprawach wojskowych? Nie ma.

Francuzi handlują bronią z Putinem pomimo sankcji. Nie pochwalam tego, ale jednocześnie na tym przykładzie widać, że Francja jest suwerenna pomimo przynależności do Unii i do NATO. Polska nie jest. Czyli można należeć do sojuszy i organizacji międzynarodowych, ale jednocześnie być suwerennym. Można, ale Polska tego nie robi. Polska ulega i podlega. Niepodległości Polski nie ma.

Ktoś uważa, że chrzanię i bredzę, bo przecież mamy język i godła, i hymn, i granice, i rządzą nami Polacy wybierani w wyborach wewnętrznych, a nie namiestnicy i gubernatorzy. To wszystko pozory niepodległości. Takie same istniały w czasach PRL.

Wtedy też była na mapie Polska, tyle że Ludowa.

Formalnie była, ale nie była w żaden sposób niepodległa. Mieliliśmy wtedy granice te same co teraz. Czyli były i granice, i godła narodowe, tyle że orzeł nie miał korony. Ktoś powie „detal”, a ja mówię, że pomimo flagi i godła, i języka, i granic nie byliśmy wtedy krajem niepodległym. Byliśmy sowiecką strefą okupacyjną, a decyzje gospodarcze oraz militarne nie były nasze, samodzielne i suwerenne, i nie zapadały w Warszawie, tylko wszystko trzeba było uzgadniać za granicą.

Tak, tak, teraz jest trochę więcej wolności osobistych niż wtedy, teraz paszport można trzymać w szufladzie i wyjechać w każdej chwili – wtedy nie. Teraz dolary można kupić legalnie – wtedy nie. Teraz wolno krytykować władzę i nie idzie się do więzienia za publiczne podważanie sojuszy międzynarodowych, ale to nadal nie oznacza, że spełniamy definicję państwa niepodległego.

Rządzą nami Polacy. I to ma być dowód na niepodległość? Wtedy też rządzą nami Polacy, a to Gierek, a to Jaruzelski, a wcześniej Gomułka. No sami Polacy, a o Jaruzelu krążyły nawet opowieści, że to Polak herbowy. Krążyły też inne, że zamiast prawdziwego Jaruzelskiego z herbem Ruscy podstawili swojego agenta, a tamtego herbowego utrupili. Tak czy owak rządzą nami Polacy, gadaliśmy po polsku, były flaga i granice, ale NIE BYŁO NIEPODLEGŁOŚCI. Teraz też nie ma.

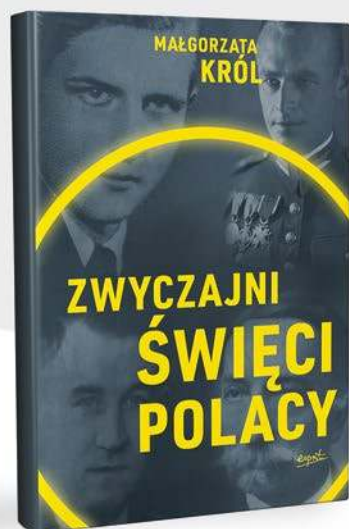
Gdy w święta narodowe śpiewaliśmy „Boże, coś Polskę”, końcówka była taka: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. I ja tak śpiewam także dziś. Zasłużymy, to Bóg nam odda niepodległość utraconą. I wtedy też „nie będzie Niemiec pluć nam w twarz”. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~1348~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA KRÓL:
„ZWYCZAJNI ŚWIĘCI POLACY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

421,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 927zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 5e4521991d

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



BATORY – POGROMCA IWANA GROŹNEGO

Rzeczpospolita miażdży Moskwę – Stefan Batory zreformował państwo i obronił Inflanty przed Iwanem Groźnym, zamykając Moskwie to „okno” na Zachód

Tajemnica śmierci Batorego – Dwaj włoscy medycy przez lata obwiniali się nawzajem o spowodowanie śmierci króla Polski, wytaczając najcięższe zarzuty

Złoty amok USA – Pogoń za tym drogocennym kruszczem dla większości poszukiwaczy okazywała się trudem ponad siły. Muzeum w Seattle bardzo prawdziwie pokazuje dramat ofiar gorączki złota

Złota ręka Żeliszawa – Jednym z zaufanych rycerzy Bolesława Krzywoustego był komes Żeliszaw. W „Kronice polskiej” Galla Anonima jego imię pada tylko jeden raz, ale za to w spektakularnych okolicznościach

Polskie ucieczki z białego piekła – Zesłańcy wykazywali się ogromną inwencją, by wyrwać się z Syberii

Ścięte głowy katów wielkiego terroru – Stalinowska machina represji dopadła w końcu samych morderców z NKWD. Szczególnie skrupulatnie wyniszczeni zostali oprawcy polskiego pochodzenia

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**